

PRACOWALIŚMY W TRUDNYCH, ALE CIEKAWYCH ZASACH

WSPOMNIENIA PRACOWNIKÓW
(PAŃSTWOWEGO) INSTYTUTU GEOLOGICZNEGO



*Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego*

Warszawa - 2015

Dotychczas wydane pozycje
Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego
Seria Wspomnienia

- Nr 1. Janusz Uberna, 2012, Gobijska przygoda, Warszawa.
Nr 2. Stefan Cieśliński, 2013, Sahara moich wspomnień, Warszawa.
Nr 3. Janusz Uberna, 2013, Życie pełne podróży, Warszawa.
Nr 4. Aleksander Jeliński, 2013, W środku Europy, Warszawa.
Nr 5. Stefan Cieśliński, 2014, Geologia moją pasją, Warszawa.
Nr 6. Stefan Cieśliński, 2014, Moje korzenie. Dzieciństwo i młodość,
Warszawa.

**PRACOWALIŚMY
W TRUDNYCH, ALE CIEKAWYCH
CZASACH**

**WSPOMNIENIA PRACOWNIKÓW
PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU GEOLOGICZNEGO**

*Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego
Wspomnienia Nr 7*

Warszawa - 2015

Redakcja: Maciej Podemski

Projekt okładki: Maciej Podemski

W książce zamieszczono zdjęcia z archiwum Elżbiety Barei, Bożenny Budzickiej, Eugeniusza Cieśli, Adama Dąbrowskiego, Aleksandra Jelińskiego, Teresy Marcinkiewicz, Ireny Olkowicz-Paprockiej, Macieja Podemskiego, Sławomira Smoleńskiego i Wiesława Ślizewskiego.

ISBN: 978-83-62989-75-1

© Copyright by Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników
Państwowego Instytutu Geologicznego

Druk i oprawa: ACAD, www.acad.pl, tel. 22 789-4-789

Zdjęcie na tytułowej stronie:

*Tak dojeżdżaliśmy w latach 1950-tych z hotelu w Iwicznej
do Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie.*

SPIS TREŚCI

Maciej Podemski

Słowo wstępne

Aleksander Jeliński

Życie związane z Państwowym Instytutem Geologicznym (1947-1980)

Delegacja do Paryża (1971)

Adam Józef Dąbrowski

Wspomnienia z pobytu w Państwowym Instytucie Geologicznym (1948-1988)

Eugeniusz Cieśla

Rudy żelaza pasją mojego życia (1948-2005)

Wiesław Jan Śliżewski

60 lat w służbie geologii i współpracy z Państwowym Instytutem Geologicznym (1949-2009)

Sławomir Smoleński

Pokoleniowe wspomnienia (1939-1951)

Kilka wspomnień sprzed pół wieku o moich szefach w Państwowym Instytucie Geologicznym (1953-1966)

Bolesław Kubica

Życie poświęcone siarce (1953-2008)

Teresa Marcinkiewicz

Przygoda z megasporami mezozoicznymi (1955-1993)

Nieoczekiwane stypendium w Szwecji (1961)

Maciej Podemski

Początek pracy w Państwowym Instytucie Geologicznym w Warszawie
(1959-1965)

Marian Stępniewski

Nieprosta droga do geologii (1960-2001)

Irena Olkowicz-Paprocka

Ukochałam surowce skalne (1963-1997)

Elżbieta Bareja

Praca z pierwiastkami promieniotwórczymi (1968-1991)

MOTTO

Przeszłość ocalala przede wszystkim na zapisanych lub zadrukowanych kartkach papieru.

EARLE HAVENS

Maciej Podemski*

SŁOWO WSTĘPNE

Szybkimi krokami zbliża się jubileusz 100-lecia działalności Państwowego Instytutu Geologicznego. Rok 2019 mamy bowiem za pasem. Stowarzyszenie Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego skupia liczne grono byłych pracowników Instytutu, którzy pracowali w nim czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat, a zatem połowę okresu tego stulecia. Są wśród nas nawet tacy, którzy rozpoczęli pracę jeszcze przed drugą wojną światową!

Nasi członkowie byli zatem świadkami i uczestnikami najważniejszych dokonań Państwowego Instytutu Geologicznego, a można także śmiało powiedzieć – najważniejszych osiągnięć polskiej geologii. Brali oni udział w rozwiązywaniu podstawowych zagadnień budowy geologicznej Polski, zwłaszcza Polskiego Niżu, który do ich czasów był właściwie geologiczną białą plamą, przykrytą lodowcowymi utworami czwartorzędowymi. Badali litologię, petrografię i geochemię skał napotykanymi w coraz głębszych otworach wiertniczych, ich przynależność stratygraficzną, zaangażowanie tektoniczne oraz wpływ i zasięg zjawisk magmowych i metamorficznych. Nie wdając się w dalsze szczegóły należy podkreślić, że również dzięki ich badaniom znajomość budowy geologicznej Polski sięga obecnie głębokości kilku tysięcy metrów.

Nie mniej istotne były osiągnięcia naszych Koleżanek i Kolegów w dziedzinie poszukiwań złóż surowców mineralnych. I w tym przypadku znajomość występowania surowców, zwłaszcza pod pokrywą czwartorzędową, była bliska zeru. Poszukiwania surowcowe Instytutu, z aktywnym udziałem obecnych członków Stowarzyszenia, przyniosły w okresie powojennym bogaty zestaw odkryć, począwszy od światowej wielkości dwóch zagłębi surowcowych: miedziowego i siarkowego, przez złoża rud cynku i ołowiu, żelaza, węgla kamiennych i brunatnych, ropy naftowej i gazu ziem-

nego, soli kamiennej i potasowo-magnezowej, a także wielu złóż surowców skalnych.

Członkowie naszego Stowarzyszenia byli zatem świadkami i uczestnikami niezwykle wydarzeń na polu badań geologicznych Polski. Ich pamięć o tych wydarzeniach, a także o trudnych warunkach pracy geologów instytutowych w Polsce, zarówno w terenie, jak i podczas badań laboratoryjnych i prac kameralnych, jest bezcenną skarbnicą historii Państwowego Instytutu Geologicznego. Powinna zatem zostać pieczołowicie zachowana, zwłaszcza że z powodów naturalnych szybko zanika.

Jednym z głównych zadań Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego jest właśnie zbieranie i publikowanie wspomnień jego członków. Niniejszy zbiór relacji jest jednym z praktycznych efektów wysiłków Stowarzyszenia na tym polu. Mamy nadzieję, że i inni nasi członkowie, zachęceni tym wydaniem, podejmą trud spisania swoich wspomnień o pracach i przeżyciach geologa instytutowego z czasów swojej aktywności zawodowej.

*Prezes Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego, maciej.podemski@pgi.gov.pl

Aleksander Jeliński*

ŻYCIE ZWIĄZANE Z PAŃSTWOWYM INSTYTUTEM GEOLOGICZNYM (1947-1980)

Urodziłem się w Warszawie 13 kwietnia 1920 roku, tuż przed cudem nad Wisłą. Możliwość zwycięstwa nad atakującymi bolszewikami była tak nieprawdopodobna; że do walki starano się zaangażować siły pozaziemskie. No i chyba się udało. Podobno niektórzy widzieli w chmurach osoby święte.

Ja jednak do dziś jestem przekonany, że to ja odpędziłem napastników swoimi wrzaskami wywołanymi katarą kiszek. A katar kiszek spowodowała sąsiadka, która poradziła matce, żeby z braku pokarmu karmiła mnie świeżym krowim mlekiem. Lekarz wydumał diagnozę, że przed świtem odejdę do nieba. Mamusia była niezadowolona z takiej beatyfikacji, co wyrażała niskimi ocenami kwalifikacji lekarza. No i okazało się, że miała rację. Przeżyłem. Ale nie brakło opinii, że trzeba zaliczyć moje uzdrowienie do kategorii cudów.

Ja jednak mam co do tego wątpliwości. Bo produkt cudu powinien wykazywać właściwości nadzwyczajne. Tymczasem według opinii tatusia wcale takich cech nie wykazywałem. Stale zmieniałem zamiary dotyczące zawodu: od kowboja, do skrzypka. Kiedy powiedziałem ojcu, że dyrygent szkolnej orkiestry, w której grałem, wróży mi muzyczną karierę, tatuś omal nie dostał zawału. „*Chcesz być muzykantem? Przecież ustaliłem, że będziesz inżynierem.*”

Zajmowałem się różnymi gałęziami sportu traktując naukę jako kłopotliwy obowiązek. Ale zanim zdołałem na cokolwiek się zdecydować wybuchła II Wojna Światowa. Niemcy wywieźli mnie do Reichu i zaproponowali posadę parobka. Dyskusji nie było. Zatrudniono mnie u bauera koło Kostrzyna nad Odrą, dzisiaj po polskiej stronie. Rodzina bauera, do którego mnie przydzielono, gospodarowała na tym samym gospodarstwie od trzydziestu lat. Gospodarz nie traktował mnie jak niewolnika, lecz jak zwykłego robotnika i starał się nauczyć dobrej roboty. Niestety, trwała wojna i gospodarza powołano do wojska. Po upływie pół roku przyszła wiadomość, że gospodarz zginął na Ukrainie.



Aleksander Jeliński, robotnik rolny w Niemczech, lata 1940-te.



Naszywka „P” (Polen) na ubiorze Aleksandra Jelińskiego.



Oryginalny wzór naszywki „P” (Polen) (Wikipedia)

Do wdowy przydzielono jej siostrzeńca, szesnastoletniego chłopca, który miał zastąpić zmarłego gospodarza w robocie oraz pełnić rolę przyzwoitki. Ta rola wynikała z praw hitlerowskich, według których zbliżenie Niemki z Polakiem karane było dla Niemki obozem karnym, dla Polaka śmiercią. Wieszanie realizowano przy licznej publiczności składającej się z robotników polskich. Ciężkie karabiny maszynowe ustawiano naprzeciw. Przy szubienicy stała grupa oficerów.

Pracowałem u bauera prawie pięć lat. Przez te lata nauczyłem się różnych prac. Od dojenia krów, do pracy na snopowiązałce, co było zajęciem trudnym i odpowiedzialnym. Trzeba było pracować bardzo uważnie. Niemcy byli bardzo podejrzliwi i każdy wypadek przy pracy traktowali jako sabotaż. Jakoś udało mi się przeżyć do wkroczenia wojsk radzieckich w lutym 1945 r.

Natychmiast po ich wkroczeniu skierowano wszystkich obcokrajowców na wschód. Po długiej pieszej wędrówce udało mi się wsiąść gdzieś w okolicy Wrześni do pociągu towarowego jadącego w stronę Warszawy. Wisłę przeszedłem po deskach leżących na lodzie. Kiedy szedłem przez Warszawę zrozumiałem, co mnie ominęło. Niekończąca się panorama ruin i woń spalenizny nasuwały obrazy zdarzeń, które musiały mieć tu miejsce. Na każdym placu, na każdym trawniku, groby. Trzeba było gdzieś pochować dwieście tysięcy zwłok. Generał Anders nazwał decyzję o wybuchu powstania zbrodnią. Nie wiem, czy teraz za taką wypowiedź nie pociągnięto by generała do odpowiedzialności.

W domu zastałem matkę w niezłym zdrowiu. Ojciec zmarł na serce w czasie powstania. Pierwszą sprawą do załatwienia była sprawa pieniędzy. Jak większość moich znajomych zająłem się handlem. Oczywiście nie miałem o tym zielonego pojęcia i po kilku dniach straciłem wszystkie, zresztą niewielkie, oszczędności. Przypadkiem dowiedziałem się, że są możliwości udzielania korepetycji z języka niemieckiego. Uczniowie młodszych klas mogli wybrać angielski, starsze klasy musiały zakończyć matury na niemieckim. Stosunkowo szybko rozeszła się wieść, że jest tani korepetytor mówiący po niemiecku. I tak dzięki znajomości języka, z którego przed wojną otrzymywałem co najwyżej trójkę z minusem, mogłem cokolwiek zarobić.

Oczywiście korepetycje nie wystarczały na życie i już miałem zamiar zatrudnić się w charakterze tragarza - miałem wprawę w noszeniu ciężarów, - gdy zjawił się dawny klient ojca z prośbą o zreperowanie zegarka. Długo zastanawiałem się, czy podjąć się tej pracy, ponieważ wiadomości moje

dotyczące tej dziedziny były raczej teoretyczne. To ojciec był zegarmistrzem. Głód zwyciężył. Szybko rozeszła się wiadomość, że wprawdzie majster zmarł, ale syn działa. Po kilku udanych reperacjach poczułem się fachowcem.

Teraz miałem do wykonania ważne zadanie, mianowicie zdać maturę. Do uzyskania tego dokumentu brakował mi przed wojną jeden rok. Lecz szkoła, do której uczęszczałem (Państwowe Liceum Chemiczne), była przed wojną trzyletnia, a w czasie wojny skrócono ją do dwuletniej. Zaraz po wojnie wrócili do trzyletniej, ale do klasy ostatniej brakło uczniów. Musiałem więc wrócić do klasy przedostatniej. W ten sposób miałem przed sobą jeszcze dwa lata nauki zamiast jednego.

Dostałem się do klasy, w której od razu poczułem się starszkiem. Różnice wieku pomiędzy mną, a pozostałymi uczniami, dochodziły do sześciu lat. Wreszcie dostałem dyplom technika chemika. Znajomi i koledzy uważali mnie za przygłupa, ponieważ już dawno zdobyli różne dyplomy na tajnych kursach.



*Od lewej: Jerzy Kanasiewicz, Janusz Uberna, Aleksander Jeliński,
lata 1960.*

Następnego dnia po otrzymaniu dyplomu dostałem pracę w olejarni. Ale nie była to praca interesująca. Ot, co dzień takie same analizy surowca i produktu. Po pół roku spotkałem na ulicy koleżankę z liceum, która z zachwytem mówiła o swoim miejscu pracy. Tym miejscem okazał się Państwowy Instytut Geologiczny, któremu od grudnia 1947 roku pozostałem wierny aż do emerytury.



*Aleksander Jeliński z zespołem Zakładu Pierwiastków Rzadkich
i Promieniotwórczych IG, 1970*

Na zdjęciu stoją od góry, od lewej: Teresa Morawska, Regina Frontczak, Elżbieta Jancelewicz, Magdalena Jęczynek, Barbara Lis, Jerzy Mikuszewski, Bożenna Budzicka, Elżbieta Barejowa; rząd niżej, siedzą od lewej: Augustyn Jęczalik, Marian Saldan, Aleksander Jeliński, Tadeusz Depciuch i Tadeusz Wątkowski; pierwszy rząd, siedzą od lewej: Mieczysław Kruszewski, Ewa Przeniosło, Jerzy Kanasiewicz, Irina Pietrzak i Józef Lis.

Instytut umożliwiał pracownikom studia wyższe. Skorzystałem z tych możliwości i w 1948 r. wstąpiłem na Wydział Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, który ukończyłem w czerwcu roku 1952, około pół roku przed terminem, ponieważ na studiach uznano mi szereg ćwiczeń laboratoryjnych, które zaliczyłem w Liceum. Po ukończeniu studiów zostałem mianowany

Kierownikiem Zakładu Pierwiastków Promieniotwórczych.

W roku 1963 obroniłem pracę doktorską. W roku 1970 zostałem powołany na stanowisko Zastępcy Dyrektora Instytutu, z którego w roku 1980 odszedłem na własną prośbę na wcześniejszą emeryturę.

Moją działalność naukową reprezentuje około pięćdziesięciu prac, głównie archiwalnych. Zakład, który prowadziłem, zajmował się problemami dotyczącymi złóż uranu i pierwiastków rzadkich, które to zagadnienia w tamtym okresie otoczone były tajemnicą. Prace, które miały zostać opublikowane jako jawne były bardzo dokładnie "czyszczone" z elementów mogących nasuwać najmniejsze wątpliwości cenzury.

W roku 1947 wstąpiłem w związki małżeńskie, jak prawie wszyscy koledzy z klasy, z koleżanką z liceum, młodszą ode mnie o sześć lat. Była absolwentką Politechniki Warszawskiej, osobą o niespotykanej dobroci i szlachetności. Niestety zmarła przed paroma laty.

Żona, jej ojciec i brat uczestniczyli w powstaniu warszawskim. Brat żony był ranny w ramię i z kulą w ramieniu żył do śmierci. Ojciec żony był kawalerem orderu *Virtuti Militari* za wojnę dwudziestego roku. O tym mówiono jedynie w kręgach bliskiej rodziny. Oczywiście, władze dobrze o tym wiedziały. Znalazły pretekst i skazały teścia na kilkanaście lat więzienia. Po trzech latach został jednak zwolniony. Nasz syn ukończył Politechnikę Warszawską, Wydział Elektryczny. Obecnie jest emerytem. Wnuk ukończył szkołę dla ministrów, to znaczy Szkołę Główną Handlową.

Mój ojciec i wszyscy stryjkowie byli w dziewiętnastym wieku socjalistami i członkami PPS. Panie nie zajmowały się w ogóle polityką uważając, że jest to zajęcie dla gadułów. Mnie zaproponowano członkostwo w partii robotniczej. Taka propozycja uważana była w pewnych kołach za zaszczyt. W innych wprost przeciwnie. Odmowa takiej propozycji wymagała jednak dużej odwagi. Nie jestem orłem. Należałem do partii do końca jej istnienia. Moja działalność polityczna była raczej skromna. Nie wstąpiłem i nie zamierzałem wstępować do jakiegokolwiek innej partii.

DELEGACJA DO PARYŻA (1971)

To był rok 1971. Byliśmy jakby nieco młodszy niż teraz, pełni złudzeń, stale przy nadziei. Ale proszę bez dowcipów. To oznacza, że wciąż mieliśmy nadzieję, że spotka nas coś miłego. I rzeczywiście. Wezwał Stefana Cieślińskiego i mnie Naczelną, prof. Roman Osika i oświadczył stanowczo, że mamy pojechać do Paryża. Powiedział, że wysłałby kogoś innego (czytaj: godniejszego), ale z różnych powodów wszyscy tacy mają już terminy zajęte. Serca skoczyły nam do gardeł. Oczywiście nie z radości, jeno ze strachu. Żaden z nas nie mówił po francusku, ani po angielsku.

Wprawdzie mieliśmy przyjemność uczenia się tych języków, ale nigdy nie wysunęliśmy się zbyt daleko poza „comment ça va” lub „how do you do”. Niemiecki, z którym byliśmy nieco lepiej spoufaleri, nie był jeszcze językiem konferencyjnym. Pozostawał język rosyjski. Zналиśmy piosenkę „Ja w kałhozie urodziła”, ale wydawało się nam, że to nie był dobry przykład znajomości języka rosyjskiego. Jednak z konieczności było to już coś, co umożliwiało jakieś porozumienie. Mimo tych braków nie wykrzesaliśmy z siebie aż tyle heroizmu, żeby wykręcić się od wyjazdu. Poza tym coś nas korciło, żeby zobaczyć Paryż.

Konferencja, na którą nas wysłano, dotyczyła przygotowania „Międzynarodowego Programu Korelacji Geologicznej”. Centralny Urząd Geologii załatwił paszporty i bilety na pociąg Moskwa-Warszawa-Paryż. Przybyliśmy na dworzec godzinę wcześniej w obawie, że pociąg odjedzie bez nas. Już po dwóch godzinach czekania pasażerowie zaczęli zdradzać objawy zniecierpliwienia. Zupełnie, jakby po raz pierwszy w życiu musieli czekać. Po upływie trzech godzin pociąg wjechał dumnie na stację, witany westchnieniami ulgi. Domyśliliśmy się, że nastąpią zmiany w rozkładzie jazdy. I rzeczywiście, po półgodzinnym wyczekiwaniu konduktor poinformował nas, że z powodu opóźnienia prawdopodobnie nie zdążymy na pociąg, który czeka na nas w Aachen. Dowiozą nas do Paryża inną trasą. No, ale na szczęście nie musieliśmy o nic zabiegać, bo wszystko załatwiono poza nami. Notabene, nie mogliśmy zrozumieć, z jakiego powodu piękną, rzymską nazwę Akwizgran zmieniono na Aachen.

Kolej o nas nie zapomniała i doczepiono nasze wagony do pociągu jadącego do Brukseli. Tu poproszono nas o opuszczenie pociągu na około

pięć godzin. Dawało to nam nieoczekiwaną możliwość zwiedzenia jeszcze jednej stolicy. Łaziliśmy więc po nieznanym nam mieście, bez planu, co ustawiało nas w pozycji zagubionych turystów. We wspomnieniach pozostał nam jedynie obraz pięknego rynku oraz skandalicznie amoralnej fontanny. Ta fontanna nazywana jest „manekinem” (*Manneken pis – sikający chłopiec*). Jaki tam manekin. Przecież każde ubranko byłoby natychmiast mokre. Ta fontanna przedstawia gołego chłopczyka, który nie dość, że goły, to jeszcze publicznie siusia. U nas dostałby spory mandat. Ta fontanna powstała podobno na początku siedemnastego wieku. Co to? Nie było policji? U nas zaraz powstałby komitet ochrony moralności. Może nawet dwa. W każdym razie ten skandal autorowi nie przyniósłby sławy. Chyba, że o sławę zabiegliby zieloni.

Po powrocie na dworzec zastaliśmy, ku naszemu zdumieniu, wszystkie nasze rzeczy w całkowitym porządku. Pociąg ruszył, a na wszystkie nasze pytania konduktor spokojnie odpowiadał „*Tout est en regle*”. Z wrodzoną nam bystrością domyślaliśmy się, że wszystko jest w porządku, ale w głębi serc czuliśmy lekkie niepokój.

Pociąg jechał bez zatrzymywania się, według naszej oceny ponad sto km na godzinę. Mimo tej szybkości dotarliśmy do Paryża dopiero o pierwszej w nocy. Łatwo sobie wyobrazić naszą rozterkę. Całkowita niezajomość miasta, ciemna noc, brak rozeznania, gdzie możemy nocować. Jednym słowem, rozpacz.

Zabraliśmy nasze bagaże i opuściliśmy dworzec. Jeden krok i tuż za drzwiami zatrzymaliśmy się oszołomieni. Przed nami duży budynek, bardzo jasno oświetlony, ze znanym ze starego filmu napisem „Hotel du Nord”. W naturze ten hotel wyglądał zupełnie inaczej niż w filmie. Zakwaterowano nas w dwuosobowym pokoju urządzonym z wyjątkową elegancją. Rano, kiedy doszło do rozliczenia wcale nie tak drogiego, jak przewidywaliśmy, poprosiliśmy o oddzielny rachunek dla każdego z nas. Kasjerka nie rozumiała o co nam chodzi, ale wyłonił się z boku należący prawdopodobnie do służby hotelowej mężczyzna, który zainteresował się, czy mówimy po niemiecku. Dzięki przypadkowemu tłumaczowi dostaliśmy dwa rachunki. Zapytany, jak odgadł, że mówimy po niemiecku, odpowiedział, że wyglądamy na Polaków, a jak wiadomo, wszyscy Polacy mówią po niemiecku.

Przy realizowaniu zapłaty zauważyliśmy, że osoby, które słyszały naszą rozmowę przyglądają się nam z zainteresowaniem i że to zainteresowanie połączone jest z lekko ironicznymi uśmiechami. Nie domyślaliśmy się o co chodzi. Ale wszystko wyjaśniło się nieco później. Po zameldowaniu się u

organizatora konferencji (UNESCO) przystąpiliśmy do szukania możliwie taniego noclegu. Pomógł nam przypadek. W czasie tych wędrówek niespodzianie znaleźliśmy się przed drzwiami polskiej ambasady. Sekretarka ambasady, młoda i uroczą damą, ulitowała się nad niedołączami i postanowiła pomóc.

Po kilkunastominutowym telefonowaniu znalazła hotel, do którego niezwłocznie podążyliśmy. Kierowniczką hotelu po wysłuchaniu naszych perypetii przydzieliła nam pokoje: pokój dwuosobowy dla Jelińskiego na pierwszym piętrze oraz pokój dwuosobowy dla Cieślińskiego na trzecim piętrze. Zdziwieni taką rozrzutnością, ale szczęśliwi, że nie będziemy musieli nocować na ulicy, akceptowaliśmy ten przydział bez dyskusji. Jednak nie rozumieliśmy przyczyn takiego postępowania. Kilka dni później spotkaliśmy koleżankę Stefana mieszkającą od dłuższego czasu w Paryżu, która wyjaśniła, że idzie tu o utrudnienie praktyk homoseksualnych. Taka wiadomość była dla nas zupełnym zaskoczeniem. U nas w kraju należało raczej udowodnić prawo do zamieszkania we wspólnym pokoju z osobą płci odmiennej.

Następnego dnia rozpoczęła się konferencja. Obrady odbywały się w gmachu UNESCO w czterech językach: angielskim, francuskim, hiszpańskim i rosyjskim. W tychże językach przygotowywano też wszystkie materiały. Na każdym stole znajdowały się słuchawki z regulacją językową. Zadanie naszej delegacji, to znaczy nas dwóch, polegało na zapoznaniu się z projektem Programu Korelacji Geologicznej oraz dokonaniu oceny możliwości udziału polskiej służby geologicznej w tym programie.

Tematyka konferencji dotyczyła chronostratygrafii zjawisk geologicznych w czasie i przestrzeni, rozmieszczenia złóż i ich znaczenia ekonomicznego, metod przetwarzania danych oraz realizacji międzynarodowego programu korelacji geologicznej. Stosownie do tej tematyki powołano pięć grup roboczych, których skład przedstawiliśmy w naszym sprawozdaniu z konferencji, sporządzonym po powrocie do Kraju. Nasza delegacja, to znaczy my dwaj, brała udział w posiedzeniach trzech grup. Jak zwykle na takich konferencjach, największe trudności mieliśmy z dobrym zrozumieniem przedstawianych referatów. Osoby referujące na ogół świetnie znały język, w którym się wypowiadały i robiły to z elegancją oraz szybkością trudną do osiągnięcia. Na przykład, przedstawiciel Rumunii mówił po francusku z taką szybkością, że zastanawialiśmy się, czy jego myśli nadążają za wypowiedzianymi słowami. Oczywiście wiedzieliśmy, że streszczenia referatów w czterech językach zostaną przesłane do kraju i nasze zakłopotanie spowo-

dowane nie dość dobrym rozumieniem nie było zbyt duże.

Pierwszego dnia, po odsłuchaniu kilku referatów poczuliśmy się zmęczeni i głodni. Wyszliśmy więc na miasto w poszukiwaniu baru mlecznego. Niestety, ta naprawdę przydatna instytucja zupełnie nie była w Paryżu znana. Ponieważ głód po dwóch dobach żywienia się zabranymi z domu kanapkami odczuwaliśmy bardzo dotkliwie, postanowiliśmy zaryzykować i weszliśmy do pierwszej spotkanej restauracji. Restauracja robiła wrażenie maleńkiej, taniej restauracyjki. Usiedliśmy. Przed nami pojawiła się karta, a właściwie księga z mnóstwem pozycji. Przystąpiliśmy do czytania. Oczy nasze pobiegły prawą stroną kart. Wrażenie piorunujące. Jednak ucieczka nie mogła być brana pod uwagę przez potomków zdobywców Somosierry. Gorączkowo szukaliśmy możliwie niskiej ceny. Wreszcie trafiliśmy na pozycję stosunkowo przystępną. Kelner postawił przed nami butelkę wina i przywłókł ze sobą piecyk na kółkach. Gdyby nie widmo rachunku byłibyśmy bardzo zadowoleni, bo pieczeń była pyszna. Nazwa tej pieczeni uciekła nam z pamięci, ale w smaku podobna była do znanej nam w kraju pieczeni chateaubriand. Wino, które nam podano, kosztowało, jak później odczytaliśmy, w przuniku cztery franki. Tu dwadzieścia. Przysięgliśmy sobie żywić się do końca delegacji tylko bananami i popijać wodą mineralną.

Zakończenie konferencji miało miejsce na najwyższym piętrze domu UNESCO. W bankiecie pożegnalnym wzięło udział kilkaset osób. Odnieśliśmy wrażenie, że nie tylko my oszczędzaliśmy. Stoły były bardzo obficie zaopatrzone. Ale aktywność uczestników konferencji była oszałamiająca. Zauważyliśmy, że największym powodzeniem cieszyła się szynka, którą zdobywano za pomocą łokci. My z uboższego kraju byliśmy jakby bardziej do szynki przyzwyczajeni i ograniczyliśmy się do konsumpcji oliwek nadziewanych świetnym farszem. Popijaliśmy whisky sans l'eau. Była znakomita, a wiadomo, że bardzo dobrych płynów rozcieńczać nie należy.

Po powrocie do kraju złożyliśmy Dyrekcji Instytutu sprawozdanie zawierające opis przebiegu obrad oraz wnioski dotyczące dalszych działań w ramach International Geological Correlation Programme (IGCP). Jednym z najważniejszych wniosków była konieczność podjęcia współpracy między narodami w zakresie poszukiwań złóż mineralnych wobec rosnących zagrożeń ich wyczerpania.

* *ALEKSANDER JELIŃSKI:*

Urodzony w 1920 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego z 1952 r. Dr nauk przyrodniczych. Pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego w latach 1947-1980. W latach 1952-1970 był kierownikiem Zakładu Pierwiastków Promieniotwórczych IG. Zastępca Dyrektora Instytutu Geologicznego w latach 1970-1980. Emeryt od 1980 r. Członek Honorowy Stowarzyszenia EP PIG.

Adam Dąbrowski*

MOJE WSPOMNIENIA Z POBYTU
W PAŃSTWOWYM INSTYTUCIE GEOLOGICZNYM
(1948-1988)

W roku 1947 kończyłem studia na Wydziale Geodezji Politechniki Warszawskiej, gdzie 26 czerwca 1948 r. uzyskałem tytuł inżyniera geodety (uznany później za równoważnik tytułu magistra inżyniera).

Któregoś dnia Wiktor Witkowski, mój kolega z Powstania Warszawskiego i ze studiów, zwrócił się do mnie z propozycją zaangażowania do pracy w Wydziale Geofizyki Stosowanej Państwowego Instytutu Geologicznego. Propozycję przyjąłem chętnie, tym bardziej, że moja rodzina znajdowała się w trudnych warunkach materialnych (ojciec zginął na wojnie).

Zgłosiłem się do kierownika tego Wydziału, doktora Tadeusza Olczaka, ucznia Tadeusza Banachewicza, znanego astronoma, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wstępna rozmowa przebiegła pomyślnie i po uzyskaniu dwóch referencji od moich profesorów z Politechniki Warszawskiej, w styczniu 1948 r. rozpocząłem pracę w PIG, początkowo na podstawie umów o dzieło, a następnie, pod koniec 1948 r., zostałem zatrudniony jako pracownik etatowy.

W owym czasie Wydział Geofizyki Stosowanej PIG sam wykonywał wszystkie prace dla potrzeb Instytutu. Początkowo opracowywałem wyniki pomiarów wagą skręceń, wykonanych na terenie Polski przez niemieckie przedsiębiorstwo „Seismos” w okresie II Wojny Światowej, a następnie różne badania dotyczące magnetyzmu ziemskiego.

Jednakże w pewnym momencie doktor Olczak stwierdził, że Wydział nie jest sam w stanie wykonywać wszystkich prac potrzebnych dla PIG. W związku z tym opracował memoriał, w którym postulował powołanie przedsiębiorstwa, które by wykonywało badania na zlecenie Instytutu. Nie przypuszczał, nieszczęsny, że otwiera puszkę Pandory i uwalnia demony, które go zniszczą.

I rzeczywiście, w r. 1950 Ministerstwo Górnictwa i Energetyki powołało do życia Przedsiębiorstwo Poszukiwań Geofizycznych (PPG), którego zadaniem miało być wykonywanie badań geofizycznych, głównie na zlece-

nie PIG. Kadre kierowniczą zorganizowano z geofizyków zatrudnionych w przemyśle naftowym w Krakowie. Byli to głównie pracownicy dawnego Instytutu Geofizyki Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, kierowanego do 1939 r. przez profesora Henryka Arctowskiego. Resztę pracowników, nie pytając ich o zdanie, przeniesiono służbowo z PIG, wręczając im nakazy pracy.



Adam Dąbrowski, lata 1950-te (?)

Od początku powstania Przedsiębiorstwa zaczęły się konflikty między dyrekcją PPG, a Wydziałem Geofizyki Stosowanej PIG. Dyrekcja PPG słała do Ministerstwa ciągle skargi i donosy na Instytut motywując to niedostarczeniem w porę planów, projektów i innych materiałów. Wydaje się, że u podstaw tych konfliktów leżały urażone ambicje kierownictwa PPG, które uważało, że nie musi się podporządkowywać geofizykom PIG. Być może grały także rolę jakieś zastarzałe animozje między ośrodkami lwowskim i warszawskim, reprezentowanymi przez profesorów Henryka Arctowskiego i Antoniego Dobrowolskiego, od czasu, jak obaj profesorowie po wspólnej wyprawie statkiem „Belgica” na Antarktydę serdecznie się znienawidzili.

Pierwszą ofiarą tych konfliktów stał się doktor Olczak, projektodawca utworzenia PPG, zwolniony ze stanowiska kierownika Wydziału Geofizyki Stosowanej PIG, a następnie, otrzymawszy propozycję nie do odrzucenia, zmuszony do odejścia z Instytutu i objęcia stanowiska wykładowcy na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie wykładał geofizykę teoretyczną, niezbyt przydatną dla studentów geologii. Po kilku latach objął katedrę geofizyki na Wydziale Fizyki UW, gdzie pracował do przejścia na emeryturę.

Jego następcą w PIG był doktor Stanisław Pawłowski, znakomity geofizyk, który nie mogąc się porozumieć z PPG ustąpił z zajmowanego stanowiska. On również przez jeden rok akademicki wykładał geofizykę na Wydziale Geologii UW ku zadowoleniu studentów, jednakże z braku odpowiednich warunków pracy wrócił do PIG, gdzie zajął się problematyką geologiczno-poszukiwawczą. Ostatnim kierownikiem Wydziału Geofizyki Stosowanej PIG był magister inżynier Romuald Wielądek, którego również zdymisjonowano po jakimś czasie.

Nastał początek roku 1953, a z nim wielka reorganizacja polskiej służby geologicznej. Utworzono Centralny Urząd Geologii, któremu podporządkowano instytucje zajmujące się geologią. Państwowy Instytut Geologiczny przekształcono w Instytut Geologiczny podległy także CUG-owi, przy okazji likwidując Wydział Geofizyki Stosowanej, którego resztę pracowników przekazano do PPG. W IG pozostał tylko pełnomocnik do spraw geofizyki, inżynier Włodzimierz Uhrynowski, który przy pomocy tzw. geologicznych opiekunów tematów miał współpracować z PPG.

Po przeniesieniu do PPG zostałem mianowany kierownikiem grupy magnetycznej, która w latach 1951-1953 wykonywała zdjęcia magnetyczne okolic Nysy-Głucholazów oraz pasa puszczy wzdłuż wschodniej granicy Państwa, od Włodawy począwszy, na Suwałkach kończąc. Praca była bardzo ciekawa. Pomiary wykonywano w bardzo malowniczych okolicach, często na kompletnym odludziu. Warunki były bardzo trudne. Ze względu na fatalny stan dróg samochody prawie co dzień grzęzły w błocie. Było również niebezpiecznie. W lasach utrzymywały się oddziały zbrojnego oporu przeciw władzy komunistycznej (koło Włodawy oddział „Żelaznego”, zaś w okolicach Bielska Podlaskiego – oddział „Huzara”). Trafiały się jeszcze pola minowe. W takie pole minowe wjechaliśmy nad kanałem Augustowskim.

W lipcu 1953 r. zostałem wezwany do Warszawy, do dyrekcji PPG. Okazało się, że znów bez porozumienia ze mną przeniesiono mnie z dniem

1 sierpnia 1953 r. do Instytutu Geologicznego, tym razem do komórki nazywanej Zakładem Geofizyki, w której przydzielono mi pełnienie obowiązków kierownika. Jak można było przewidzieć z góry, eksperyment z pełnomocnikiem do spraw geofizyki i opiekunami geologicznymi tematów geofizycznych się nie udał ze względu na znikomą u nich znajomość geofizyki. Wraz ze mną przeniesiono z PPG do IG magistra inżyniera Krzysztofa Sojkę, absolwenta AGH, specjalistę od pomiarów grawimetrycznych i magistra fizyki oraz Zdzisława Kruszewskiego, specjalistę od badań geoelektrycznych. Krzysztof Sojka odszedł z IG po bardzo krótkim czasie.

W dniu 1 kwietnia 1954 r. zostałem mianowany kierownikiem Zakładu Geofizyki IG. Nominację podpisał ówczesny dyrektor IG, profesor Stefan Zbigniew Różycki, wybitny znawca geologii utworów czwartorzędowych, jeden z niewielu geologów, którzy rozumieli materiały geofizyczne i potrafili je interpretować. Niestety, był to histeryk i hipochondryk. W tym samym czasie prezesem Centralnego Urzędu Geologii był profesor Andrzej Bolewski, znany petrograf i mineralog, ale impetyk i choleryk. Dwaj panowie o tak wybuchowych charakterach nie potrafili współpracować ze sobą i po krótkim czasie profesor Różycki był zmuszony do odejścia z Instytutu i poświęcenia się wyłącznie pracy dydaktycznej na Wydziale Geologii UW.

Jego następcą na stanowisku dyrektora IG został profesor Edward Rühle, żołnierz Armii Krajowej, człowiek łagodny i zrównoważony, zajmujący się kartografią geologiczną, ostatni dyrektor IG, który za moich czasów interesował się pracą poszczególnych specjalistów i który znajdował czas na odwiedzanie poszczególnych pracowników i rozmowy na temat wyników ich badań.

Stopniowo zaczęli wracać dalsi byli pracownicy PIG: magister inżynier Romuald Wielądek, Maria i Konstanty Karaczunowie oraz inżynier Jan Skorupa z Centralnego Urzędu Geologii, gdzie mianowano go docentem mając nadzieję, że zostanie wykładowcą na Wydziale Geologii UW, na co on, pomny perypetii doktorów Pawłowskiego i Olczaka, którego zresztą był szwagrem, nie miał najmniejszej ochoty. Był to człowiek niesłuchanie pracowity i rzetelny, ale pełen kompleksów, apodyktyczny i arbitralny. Jego mianowanie zastępcą kierownika Zakładu Geofizyki niewątpliwie przyczyniło się do zaostżenia stosunków z PPG. Pojawił się także inżynier Lucjan Roman, pracownik PIG do 1939 r., ostatnio doradca wicepremiera Stefana Jędrzychowskiego.

Głównym zadaniem, jakie postawiono Zakładowi Geofizyki, była współpraca z PPG. Polegała ona na opracowywaniu na podstawie zgłoszeń poszczególnych geologów rocznych planów badań geofizycznych, planów technicznych poszczególnych tematów, koreferatów do tych planów, prowadzeniu w terenie nadzoru prac wykonywanych przez PPG oraz analizie dokumentacji tych badań i ich komisyjnym przyjmowaniu.

Opisany powyżej system, nie wnoszący żadnych nowych wartości naukowych, a zajmujący masę czasu, wynikał z całkowitego braku zaufania do uczciwości specjalistów - geofizyków. Z drugiej strony stwarzał on odpowiedzialność zbiorową, a więc taką, w której właściwie nikt nie był za nic odpowiedzialny. Jeden z wybitnych geologów IG, docent Władysław Karaszewski, nazwał ten system trafnie „geologią policyjną”.

Ponieważ Zakład Geofizyki liczył początkowo niewielu pracowników, konieczne było zlecenie niektórych z tych prac geofizykom spoza IG. W owym czasie zarobki były niewielkie, tak że dopiero dochody z prac zleconych pozwalały żyć na jakim takim poziomie, przede wszystkim starszym specjalistom, którzy pozwalali sobie na luksus posiadania niepracujących żon. Wielu z nich pracując ponad siły popołudniami, w nocy i w święta, nadwyrężało zdrowie, co prowadziło do przedwczesnych zgonów. Byli jednak i tacy, którzy wbrew przepisom wykonywali prace zleczone w godzinach służbowych. Powstało wówczas żartobliwe powiedzenie: „*Cześć pracy zleconej w godzinach służbowych*”. Kursował także dowcip: „*Czy można w Polsce zbudować komunizm?*” – „*Można, ale tylko przy pomocy prac zleconych*”.

Czas pozostały po wykonaniu obowiązków wynikających ze współpracy z PPG mogli pracownicy Zakładu Geofizyki poświęcać na prace naukowe. Początkowo koncentrowano się na opracowywaniu map grawimetrycznych i magnetycznych. Do prac tych przywiązywał wielką wagę dyrektor IG, profesor E. Rühle, a także prezes CUG, profesor Andrzej Bolewski. Temu ostatniemu zależało nie tylko na wartości poznawczej tych map, ale także na zapewnieniu pracy niedawno powstałym „Wydawnictwom Geologicznym”, a w szczególności maszynie offsetowej, przeznaczonej do drukowania map.

Wspomniane mapy, aczkolwiek ujmujące po raz pierwszy całokształt danych grawimetrycznych i magnetycznych, miały wartość tylko połówczą ze względu na panującą wówczas manię utajniania wszystkiego, co się da, bez żadnego sensownego merytorycznego uzasadnienia. Skutek był taki, że wielu potencjalnych użytkowników map geofizycznych nie wiedzia-

ło nawet o ich istnieniu, zaś ci co wiedzieli, nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego, bojąc się odpowiedzialności.

W roku 1956 zjawił się w Polsce radziecki geolog, profesor Jelin. Jak się okazało, miał on pełnić funkcję komisarycznego nadzorca nad polską geologią. Jego zadaniem było spowodowanie intensyfikacji wglębnych badań geologicznych w celu odkrycia na Niżu Polskim „wielkiej ropy”, która miała stanowić bazę paliwową dla radzieckich dywizji pancernych stacjonujących w zachodniej Polsce i w NRD.

Profesor Bolewski, nie mogąc się pogodzić z ograniczoną suwerennością, po kilku utarczkach z profesorem Jelinem musiał opuścić stanowisko prezesa CUG i objął katedrę w AGH w Krakowie. Kierownictwo CUG objęli technokraci o słabej znajomości geologii, często nie odróżniający kambru od karbonu, ulegli wobec żądań geologów i geofizyków radzieckich, którzy masowo zaczęli napływać do Polski. Radzieccy specjaliści dostawali z miejsca przydziały w pełni wyposażonych mieszkań, tak że czuli się jak Anglicy lub Francuzi w koloniach.

Na terenie Polski zaczęły działać trzy przedsiębiorstwa geofizyczne: PPG i dwa przedsiębiorstwa przemysłu naftowego (w Krakowie i Toruniu), które w kulminacyjnym okresie dysponowały ponad pięćdziesięcioma grupami sejsmicznymi, wyposażonymi w nienajnowocześniejszą aparaturę radziecką.

Grupy te ze względu na niewielki obszar Polski często badały po kilka razy ten sam teren, niszcząc przy okazji uprawy rolne i powodując ucieczki wód gruntowych. W niektórych grupach przemysłu naftowego było jednocześnie dwóch kierowników: Polak i obywatel ZSRR. Przedsiębiorstwa były rozliczane z wykonania planu finansowego, co rodziło pokusę szybkiego i nienajlepszego wykonywania badań. Na szczęście, kierownicy grup mieli w większości przypadków ambicję wykonywania prac na wysokim poziomie, co często było niezgodne z zaleceniami ich dyrekcji.

Aby wykazać, że plan finansowy jest zawsze wykonany, zatrudniano w przedsiębiorstwach planistów, względnie ekonomistów, którzy to osiągalni żonglując odpowiednimi wskaźnikami. Rodziło to ciągle zatargi między PPG a Zakładem Geofizyki IG. Ponieważ CUG był rozliczany z wykonania planów przez podległe mu przedsiębiorstwa, w sporach stawał zawsze po stronie PPG, Instytut Geologiczny zaś był traktowany jako niekochane dziecko.

W roku 1964 dyrektor IG, profesor Rühle, wszedł w konflikt m.in. z Radą Zakładową Związku Zawodowego Górników i musiał ustąpić z zaj-

mowanego stanowiska. Odszedł człowiek, który dzięki swojemu autorytetowi potrafił się przeciwstawić CUG-owi, a także zakusom Polskiej Akademii Nauk, wyższych uczelni i przedsiębiorstw, które w Instytucie widziały jedynie źródło pieniędzy i materiałów.

Jemu to wdzięczam, że otworzyłem przewód doktorski. Pracę obroniłem w roku 1968, już po jego odejściu. Zgodnie ze zwyczajem złożyłem ją w Zakładzie Wydawnictw IG z przeznaczeniem do opublikowania w jednym z tomów serii „Prace IG”. Niestety, okazało się, że CUG uzyskał uprawnienia do wstępnej kwalifikacji wszelkich publikacji geologicznych. Dokonywanie takich kwalifikacji powierzono inżynierowi Jerzemu Sochockińskiemu, sekretarzowi podstawowej organizacji PZPR przy CUG. Ten bez sensownego uzasadnienia uznał, że praca nie może być jawną publikacją. Jednakże z kierowniczką Zakładu Wydawnictw IG, mgr Barbarą Słowańską, postanowiliśmy nie kapitulować i posyłaliśmy pracę kolejno do oceny cenzury cywilnej, cenzury wojskowej i do Wydziału Topograficznego Sztabu Generalnego. Żadna z tych instytucji, poza drugorzędnymi uwagami, nie miała zastrzeżeń co do opublikowania mojej pracy jako jawnej. Tymczasem CUG-owi odebrano uprawnienia dotyczące kwalifikacji publikacji i w roku 1974 moja praca doktorska ukazała się drukiem.

Po profesorze Rühle na stanowisku dyrektora IG nastąpił poczet dyrektorów, członków PZPR, względnie SD. Oczywiście nie mogło być mowy o pełnej niezależności IG. Dyscyplina partyjna obowiązywała nawet dyrektora.

Pod koniec lat 1960. zastępcą dyrektora IG został docent Julian Sokołowski, człowiek o błyskotliwej inteligencji, niesłuchanie pracowity, typowy „pracoholik”, ale jednocześnie fantasta, zupełnie nie liczący się z realiami. Był to jeden z niewielu geologów, który cenił badania geofizyczne i potrafił je interpretować. Dzięki jego pomocy Zakład Geofizyki IG rozrósł się do takich rozmiarów, jakich nie było ani przedtem, ani potem i zatrudniał ponad czterdziestu pracowników. Niestety, stawianie nierealnych zadań (np. opracowanie mapy geologicznej całej Europy) i wymaganie nadmiernego wysiłku od pracowników, często obciążonych różnymi obowiązkami pozasłużbowymi, wywołało bunt samodzielnych pracowników nauki, którzy na ręce Dyrektora Instytutu złożyli memoriał żądający usunięcia docenta Sokołowskiego ze stanowiska, co – o dziwo – zastało zrealizowane, mimo iż docent Sokołowski był członkiem PZPR, a autorzy memoriału – bezpartyjni.

W Przedsiębiorstwie Poszukiwań Geofizycznych, którego nazwa została zmieniona w pewnym momencie na Przedsiębiorstwo Badań Geofizycznych, następowali kolejni dyrektorzy, a konflikty z Zakładem Geofizyki IG trwały nadal. Wreszcie kolejnym dyrektorem PBG został magister Wiesław Ślizewski. Ten wpadł na pomysł, że ponieważ nie można się dogadać z kierownictwem Zakładu Geofizyki IG, należy zmienić to kierownictwo. Poczyniono odpowiednie kroki zmierzające do realizacji tego pomysłu. Z jednej strony należało usunąć aktualnego kierownika, a z drugiej zaś znaleźć odpowiedniego kandydata na jego miejsce.

Za takiego uznano docenta Czesława Królikowskiego, pracownika Zakładu Geologii Inżynierskiej IG. Docent Królikowski od początku swojej kariery w IG pracował w tym Zakładzie, gdzie nie obciążony obowiązkami wynikającymi z kontaktów z PBG miał idealne warunki do pracy naukowej i w krótkim czasie obronił pracę doktorską, a następnie habilitacyjną. Nie będąc specjalistą w stosowaniu geofizyki do badania wglębnej budowy geologicznej, a także nie orientując się w stosunkach IG - PBG został uznany przez dyrekcję PBG za idealnego partnera.

W dniu 1 stycznia 1972 r. zostałem ku mojemu wielkiemu zdziwieniu powołany na stanowisko samodzielnego pracownika naukowo-badawczego, a w dniu 18 kwietnia 1973 r. – na równoważne stanowisko docenta. Okazało się, że ten niespodziewany awans był częścią większego planu, którego realizacją miałem być przedmiotem. Na początku 1972 r. zostałem zaproszony na rozmowę przez zastępcę dyrektora IG, docenta Jana Czerwińskiego. W oględnej formie zapytał mnie, czy nie czuję się zmęczony tak długim kierownikowaniem Zakładem i czy nie powinienem już od tego odpocząć. Nie chcąc ułatwiać załatwienia niemiłej sprawy oświadczyłem, że nie widzę powodu składania rezygnacji i że Dyrekcja może w każdej chwili wypowiedzieć mi stanowisko. I rzeczywiście, 30 kwietnia 1972 r. zostałem odwołany ze stanowiska kierownika Zakładu Geofizyki IG. Ówczesny Dyrektor IG, profesor Roman Osika (partyjny, ale porządny człowiek – jak wówczas mówiono) indagowany w sprawie mojej dymisji powiedział: „*nic nie mam przeciwko Dąbrowskiemu, ale były naciski*”.

Jak się było można spodziewać, moim następcą został docent Królikowski. Początkowo dyrekcja PBG traktowała go ulgowo, ale po jakimś czasie wróciła dawna arogancja, której nie mógł znieść i podał się do dymisji. Kolejnym kierownikiem Zakładu Geofizyki IG został docent Stefan Młynarski – wzór dobrego podwładnego, który ma to samo zdanie, co jego aktualny przełożony i nigdy nie daje się wciągnąć w dyskusje polityczne.

W jakimś czasie po mojej dymisji zaprosił mnie powtórnie do siebie dyrektor Czerwiński i zakomunikował, że Wydział Geologii Uniwersytetu Warszawskiego poszukuje wykładowcy geofizyki i spytał, czy interesuje mnie takie stanowisko. Rozmowę w tej sprawie mam ewentualnie przeprowadzić z profesorem Witoldem Cezariuszem Kowalskim. Doszedłem do wniosku, że mając ponad dwudziestoletnią praktykę w zakresie geofizyki stosowanej, w szczególności wykorzystywanej do badania wglębnej budowy geologicznej, mógłbym prowadzić wykłady w tym zakresie.

Rzeczywiście, okazało się, że Wydział Geologii UW poszukuje specjalisty o moich kwalifikacjach. Oświadczono mi jednakże, że bez habilitacji mogą mnie zatrudnić jedynie na stanowisku adiunkta. Taki panuje zwyczaj na Wydziale (co było nieprawdą, bo szereg osób bez habilitacji pracowało na stanowiskach docentów, np. sam dziekan Wydziału, profesor Zdzisław Pazdro). Uznałem, że przyjęcie takiej propozycji oznaczałoby dla mnie degradację, a dla IG obelgę. Wydaje mi się, że władze partyjne chciały mnie elegancko wyprowadzić z Instytutu, ale komórki partyjne przy IG i Wydziale Geologii nie uzgodniły do końca tej akcji.

Bogatszy o dalsze doświadczenia życiowe postanowiłem otworzyć przewód habilitacyjny i dla jego realizacji znaleźć w Instytucie miejsce, w którym mógłbym spokojnie pracować naukowo. Oczywiście, Zakład Geofizyki IG nie wchodził w rachubę. Mój starszy kolega, docent Stanisław Tyński, poradził mi, bym nigdy nie pracował w Zakładzie, którego byłem kierownikiem. Tej zasady trzymałem się konsekwentnie do końca mojego pobytu w IG.

Namówiony przez docenta Zdzisława Małkowskiego, pracownika Instytutu Geofizyki PAN, postanowiłem zorganizować Pracownię Badań Paleomagnetycznych przy Zakładzie Zdjęć Geologicznych Niżu. Drugiego sierpnia 1972 r. profesor Roman Osika, dyrektor IG, powierzył mi kierownictwo tej pracowni. Inicjatywa ta spotkała się również z poparciem ówczesnego kierownika Zakładu, profesora Edwarda Mojskiego.

Pracownia rozbudowywała się stopniowo. Początkowo badania wykonywano w Obserwatorium Geofizycznym PAN w Belsku koło Grójca, a następnie na sprzęcie zakupionym, względnie skonstruowanym we własnym zakresie. Uzyskiwano coraz większe sukcesy, ale niestety zmienił się dyrektor naczelny IG. Został nim docent Jan Malinowski, również członek PZPR, który do przeprowadzenia czystki personalnej użył starej metody – reorganizacji. W jej wyniku Pracownia Badań Paleomagnetycznych znikła ze

schematu organizacyjnego Instytutu, a personel i sprzęt przekazano do Zakładu Geofizyki.

Postanowiłem znaleźć sobie inne miejsce w Instytucie, gdzie mógłbym spokojnie pracować. Wybrałem Zakład Stratygrafii, Tektoniki i Paleogeografii IG, kierowany przez profesora Ryszarda Dadleza. Po uzyskaniu jego zgody rozpocząłem 10 marca 1977 r. pracę w tym Zakładzie, wykorzystując materiały geofizyczne dla badań tektonicznych i paleogeograficznych. Zostałem tam do przejścia na emeryturę.

Jednocześnie kontynuowałem pracę habilitacyjną. Aby uniknąć niemiłych niespodzianek poprosiłem dwóch profesorów Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Stanisława Plewę i Zbigniewa Fajklewicza, o służenie mi konsultacjami. Po zakończeniu pracy i uzyskaniu akceptacji przez obu profesorów oddałem ją do druku; po wydrukowaniu przedstawiłem ją Radzie Naukowej IG. Na posiedzeniu Rady zaproponowano dwóch recenzentów: profesora Władysława Pożaryskiego i profesora Czesława Kamelę.

Profesor Czesław Kamela walczył w 1940 r. we Francji w szeregach Drugiej Dywizji Strzelców Pieszych WP i wraz z tą dywizją został internowany w Szwajcarii. Tam studiował geofizykę w Związkowej Wyższej Szkole Technicznej, gdzie pod kierunkiem słynnego profesora Hassmana opracował i obronił pracę doktorską. Po wojnie wrócił do Polski i wykładał na Politechnice Warszawskiej. Miał na swym koncie wiele recenzji prac doktorskich i habilitacyjnych obecnych profesorów geofizyki.

W dyskusji zabrał głos profesor Witold Cezariusz Kowalski, który oświadczył, że profesor Kamela nie jest geofizykiem i nie zna się na geofizyce, a więc nie może być recenzentem pracy habilitacyjnej. Proponuje natomiast na recenzenta jednego z profesorów Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Profesor ten, również członek PZPR, mierny specjalista, miał wysoką pozycję w sferach naukowo-partyjnych. Był nawet nazywany w sferach geofizycznych „ojcem chrzestnym”. Ze względu na dawne porachunki był nastawiony wrogo do dawnego kierownictwa Zakładu Geofizyki IG. Rada Naukowa, zamiast wnikliwie przeanalizować sprawę, zgodziła się na propozycję profesora Kowalskiego. Od tego momentu los mojej habilitacji został przesądzony.

I rzeczywiście. Po jakimś czasie do Rady Naukowej wpłynęły obie recenzje. Profesor Pożaryski nadesłał recenzję życzliwą i pozytywną, natomiast z Krakowa nadeszła „recenzja” utrzymana w bardzo niegrzecznym tonie, stwierdzająca w jednostronicowym tekście, że praca jest nic nie warta i nie nadaje się na rozprawę habilitacyjną. Z „recenzji” wynikało, że jej au-

tor zupełnie nie rozumiał sensu recenzowanej pracy. Rada Naukowa wpadła w panikę i nie wiedziała, jak dalej postępować. Profesor Pożaryski wycofał swoją recenzję stwierdziwszy, że się nie zna na geofizyce (co zresztą było prawdą).

Po dłuższym czasie Rada zwróciła się do mnie z propozycją, bym złożył jako rozprawę habilitacyjną inną pracę. Profesorowie Jerzy Jankowski i Jerzy Znosko zaofiarowali mi swoją pomoc jako konsultanci.

Praca była już bardzo zaawansowana, kiedy wydarzenia w mojej rodzinie zmusiły mnie do rezygnacji z pracy na pełnym etacie. Ponieważ w najbliższym czasie miałem ukończyć 65 lat postanowiłem przejść na wcześniejszą emeryturę i pracować na niepełnym etacie. W związku z tym udałem się do aktualnego dyrektora IG, profesora Wacława Ryki, przedstawiając mu swoje plany. Usłyszałem, że powinienem złożyć podanie o przejście na emeryturę, a o zatrudnieniu na niepełnym etacie pomówimy w odpowiednim czasie.

Złożyłem podanie o przeniesienie na emeryturę i 1 lipca 1988 r. w wieku 65 lat stałem się emerytem po czterdziestu latach pracy, w czasie których nie korzystałem z żadnej protekcji, ani też nie należałem do żadnych organizacji politycznych i związków towarzysko-służbowych. Zgodnie z rozmową z dyrektorem Ryką napisałem do niego list z prośbą o zatrudnienie w niepełnym wymiarze godzin podając prace, które mam na ukończeniu. Niestety, nadeszła jednak odpowiedź odmowna.

Jeszcze przez jakiś czas pracowałem na umowy o dzieło, ale dano mi do zrozumienia, że muszę opróżnić jedną czwartą pokoju, jaką zajmowałem, bo Instytut boryka się z trudnościami lokalowymi. W tej sytuacji musiałem zrezygnować z kontynuacji pracy habilitacyjnej i wszystkich innych. Tak skończyła się moja przygoda z Instytutem Geologicznym, który wrócił do pierwotnej nazwy Państwowego Instytutu Geologicznego.

Mój dorobek, to przede wszystkim uchronienie funduszy społecznych przed roztrwonieniem, a także ponad 160 publikacji i wiele opracowań rękopiśmiennych. Poznałem wielu bardzo sympatycznych ludzi, przy czym im kto zajmował niższe stanowisko, tym był wartościowszy i sympatyczniejszy. W minionym okresie obowiązywała bowiem zasada doboru negatywnego. Ceniono „miernych, biernych, ale wiernych”. Kursowała wówczas następująca anegdotka: *„Co można mieć w socjalizmie na własność? – Można mieć własny samochód, własne mieszkanie i własne zdanie. Jak ktoś ma to trzecie, to nie może mieć ani pierwszego, ani drugiego”*.

Tym pogodnym akcentem kończę niniejsze wspomnienia.

***ADAM JÓZEF DĄBROWSKI:**

Urodzony w 1923 r. zmarł 2 stycznia 2009 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Geodezyjnego Politechniki Warszawskiej z 1948 r. Dr nauk przyrodniczych. Zajmował się badaniami geofizycznymi Polski, w tym magnetyzmu ziemskiego. Pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego w latach 1948-1951 oraz 1953-1988. W latach 1954-1972 był kierownikiem Zakładu Geofizyki IG.

Eugeniusz Cieśla***RUDY ŻELAZA PASJĄ MOJEGO ŻYCIA (1948-2005)**

Urodziłem się 8 sierpnia 1922 r. w Mielcu, w województwie podkarpackim. Moim ojcem był Karol Cieśla, urodzony w 1885 r. w Mielcu, zmarły w 1968 r.; matką Elżbieta z domu Ott, urodzona w 1895 r. w Zasmukach (Czechosłowacja), zmarła w 1969 r. Rodzice poznali się w Liwnie (Bośnia) i mieszkali tam do 1919 r. Tam urodziła się starsza siostra, Jadwiga i brat Władysław. Po I wojnie światowej zamieszkali w Mielcu, gdzie ja się urodziłem. Od około 1926 r. zamieszkaliśmy w Krakowie, początkowo w Wieliczce, potem w Rakowicach.



Eugeniusz Cieśla

(z lewej: zdjęcie z 1951 r., z prawej: zdjęcie 1973 r.)

Szkołę podstawową (1929-1935) i VIII Państwowe Gimnazjum Ogólnokształcące im. J. Witkowskiego (1935-1939) ukończyłem w Krakowie. W czasie okupacji, w latach 1941-1945 pracowałem w Urzędzie Pocztowym Kraków 2 w charakterze pracownika fizycznego.

Po II wojnie światowej, w roku szkolnym 1945/1946 – w ciągu jednego roku ukończyłem VIII Liceum Matematyczno-Fizyczne im. J. Witkowskiego w Krakowie, a następnie, w latach 1946-1950 odbyłem wyższe studia na Wydziale Geologiczno-Mierniczym Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie. Po ukończeniu zajęć na Akademii w 1950 r. przez rok zdawałem zaległe egzaminy i napisałem pracę dyplomową (kartowanie i opracowanie mapy geologicznej obszaru około 50 km²). Pracę magisterską obroniłem w grudniu 1951 r.

W czasie studiów, od 1948 r. ze względu na trudne warunki bytowe podjąłem pracę w Wydziale Rud Państwowego Instytutu Geologicznego w Krakowie, początkowo, to jest do końca 1949 r., jako pracownik pomocniczy na umowę o dzieło, a następnie, do 31 stycznia 1952 r., jako młodszy pracownik naukowy na umowach krótkoterminowych.



Eugeniusz Cieśla, dyplom mgr inż. AGH, 1951 r.

W pierwszym okresie pracy w PiG, który trwał mniej więcej do 1952 r., czynnie uczestniczyłem w pracach prowadzonych przez profesora Romana Krajewskiego na obszarze występowania liasu świętokrzyskiego w rejo-

nie Końskich i Przysuchy. Zajmowałem się kartowaniem geologicznym, nadzorowaniem i opracowywaniem wierceń i robót górniczych oraz map geologicznych na podkładzie w skali 1: 25 000, dla arkuszy map w skali 1: 100 000 Końskie i Przysucha. W okresie tym, na podstawie pracy dyplomowej pt. *Opracowanie geologiczne między Bliżynem a Odrowążem*, wykonanej pod kierunkiem prof. Romana Krajewskiego, uzyskałem w grudniu 1951 r. tytuł inżyniera geologii i magistra nauk technicznych. Po uzyskaniu dyplomu, od 1 lutego 1952 r. w oparciu o nakaz pracy zostałem zatrudniony w Wydziale Rud Państwowego Instytutu Geologicznego w Krakowie jako pracownik stały. Kierownikiem Wydziału Rud PIG w Krakowie był prof. Roman Krajewski.

Po przeniesieniu służbowym w 1952 r. do Warszawy pracowałem w Zakładzie Złóż Kruszców, którego kierownikiem mianowano Romana Osikę. Od 1956 r., po reorganizacji, w Zakładzie Złóż Rud Żelaza.

Początkowo po przeniesieniu do Warszawy zajmowałem się pracami terenowymi, prowadzonymi przez Zakład na obszarze świętokrzyskim, częstochowskim i w Karpatach. Zakres prac obejmował przede wszystkim nadzór licznych prac wiertniczych i górniczych, a więc wyznaczanie ich lokalizacji, profilowanie i opróbowanie. Prace te prowadzone były pod kątem badań rudonośności różnych ogniw stratygraficznych, głównie liasu, doggeru i kredy dolnej. Zebrane materiały służyły do licznych opracowań i dokumentacji geologicznych, wykonywanych w tym czasie przez Zakład.

W 1954 r. uzyskałem tytuł adiunkta i objąłem kierownictwo Sekcji Świętokrzyskich Złóż Rud Żelaza. W okresie pełnienia tej funkcji zajmowałem się badaniami i poszukiwaniami kruszców, w późniejszym okresie rud żelaza, w regionie świętokrzyskim. W latach 1950. i w początkach lat 1960. w regionie tym kierowałem szeroko zakrojonymi pracami zmierzającymi do wyjaśnienia perspektyw złóżowych.

Badania prowadzone były kompleksowo we wszystkich formacjach, które uważane były w większym lub mniejszym stopniu za rudonośne. Obejmowały one prace geologiczne, wiertnicze i górnicze, zarówno na obszarze paleozoicznego trzonu Gór Świętokrzyskich, w osadach ordowiku, syluru i dewonu, jak i jego obrzeżenia, w osadach retu, kajpru, retyku, liasu, doggeru i kredy dolnej. Badania te dostarczyły bogatego materiału geologicznego, który pozwolił na zrewidowanie wielu dotychczasowych poglądów na genezę złóż i wystąpień rudnych, ich rozprzestrzenienie i zasobność oraz perspektyw ich wykorzystania. Wyniki tych badań zawarte są w lic-

nych dokumentacjach geologicznych, sprawozdaniach i opracowaniach, wykonywanych samodzielnie lub zespołowo.

Wyniki badań regionu świętokrzyskiego nie ograniczały się jedynie do efektów złożowych. Bogaty materiał geologiczny posłużył również do studiów, między innymi nad stratygrafią i budową geologiczną badanych obszarów. Do poważniejszych osiągnięć należą:

- stwierdzenie występowania osadów aalenu w północnym obrzeżeniu Gór Świętokrzyskich i ciągłości sedimentacji liasu i doggeru na tym obszarze (Cieśla E., 1957, *Osady aalenu w wierceniu Brudzewice, Kwartalnik Geologiczny, t. 1, z. 3-4, Warszawa*);
- pierwsze próby nowego ujęcia stratygrafii liasu i doggeru świętokrzyskiego (Cieśla E., Kozydra Z., 1958, *Próba nowego podziału stratygraficznego liasu świętokrzyskiego w nawiązaniu do Kujaw, Przegląd Geologiczny nr 6*);
- wprowadzenie korekt do map geologicznych odkrytych północnego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich, dotyczących przebiegu wychodni i wykształcenia doggeru i częściowo kredy dolnej.

W okresie od października 1959 r. do listopada 1961 r. pełniłem obowiązki kierownika Zakładu Złóż Rud Żelaza IG w zastępstwie doc. Romana Osiki, który w tym czasie był oddelegowany do Polskiej Ekspedycji Geologicznej w Demokratycznej Republice Wietnamu. W okresie tym, poza kierowaniem pracami geologiczno-poszukiwawczymi za rudami żelaza, prowadzonymi przez Zakład w kilku rejonach kraju, zajmowałem się projektowaniem, a później prowadzeniem prac badawczych zmierzających do wyjaśnienia perspektyw rudonośności osadów ordowiku w Górach Świętokrzyskich.

Od kwietnia 1962 r. do lipca 1963 r. byłem oddelegowany do Demokratycznej Republiki Wietnamu, gdzie pełniłem funkcję kierownika Polskiej Ekspedycji Geologicznej. Wraz ze mną w pracach Ekspedycji ze strony polskiej brali udział: Gabriela Fabiszewska (jako tłumaczka), Jerzy Głazek, Lech Rembocha, Wiesław Śliżewski i Julia Wyczółkowska. W czasie mojego pobytu w DRW wykonano dokumentację geologiczną złoża rud limonitowych Qui-Xa w kategorii zasobów A2. Konsultowałem też i weryfikowałem dokumentacje geologiczne wykonywane w kategorii C2 przez Wietnamską Grupę Geologiczną Bao-Ha dla złóż Lang Vinh, Tac-Ai i Lag-Co oraz projekty i prace geologiczne dla innych miejsc występowania rud żelaza, miedzi, pirytu itd.



Eugeniusz Cieśla, legitymacja Instytutu Geologicznego, 1973-77.

W związku z pełnioną funkcją brałem również udział w ustalaniu i rygowaniu planów rocznych i wieloletnich Wietnamskiej Grupy Geologicznej Bao-Ha. Poza tym konsultowałem prace kartograficzne i zestawienia map geologicznych dla obszaru działania tej grupy, obejmującego około 1 500 km², między Yen-Bai i Lao-Kay. Pomagałem też wietnamskiej kadry geologicznej uzupełniać wiedzę i podnosić kwalifikacje na kursach doszkalających, prowadzonych wspólnie przez członków Polskiej Ekspedycji. Za pracę w Wietnamie otrzymałem Odznakę Ho-Chi-Minha, Medal Przyjaźni Wietnamsko-Polskiej i Odznakę Dia-Chat.

Po powrocie z Wietnamu zostałem mianowany kierownikiem Zakładu Złóż Rud Żelaza. Funkcję tę sprawowałem w latach 1963-1973. W okresie tym kierowałem m.in. pracami geologiczno-poszukiwawczymi osadowych złóż rud żelaza. Nadzorowałem też badania rudonośności podłoża krystalicznego NE Polski, w tym rozpoznawanie i dokumentowanie w kategorii C2 złoża rud tytanowo-magnetytowych w rejonie suwalskim. Poza tym opracowywałem wyniki badań serii przejściowej dolnego eiflu w Górach Świętokrzyskich i analizowałem perspektywy rudne liasu świętokrzyskiego w świetle nowego podziału stratygraficznego.



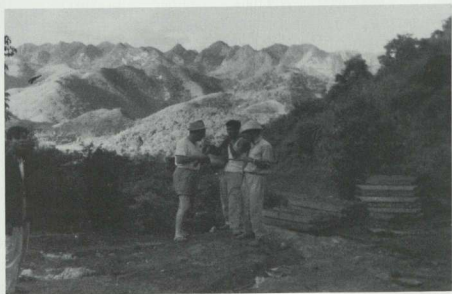
Medal Przyjaźni Demokratycznej Republiki Wietnamu dla Eugeniusza Cieśli.



Dyplom wietnamski dla Eugeniusza Cieśli, 1963 r.



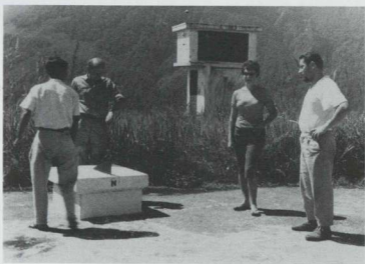
*Zapoznanie się z terenem. Wietnam.
E. Cieśla – drugi z prawej.*



Prace terenowe, Wietnam. Z prawej, skrzynki z rdzeniami wiertniczymi.



Praca w bazie terenowej, Wietnam. E. Cieśla z prawej.



Sa-Pa – miejscowość letniskowa położona u stóp najwyższego szczytu w Wietnamie, Phan-Si-Pan, o wysokości 3142 m n.p.m.; od lewej: Wietnamczyk, E. Cieśla, Gabriela Fabiszewska, W. Śliżewski. Punkt obserwacji meteorologicznych z zegarem słonecznym.



Bao-Ha – baza terenowa; E. Cieśla w towarzystwie Wietnamczyków, członków bazy. Trzecia od lewej stoi Julia Wyczółkowska.



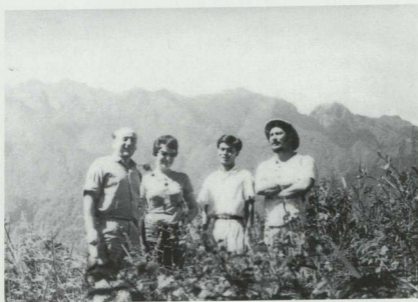
Bao-Ha – baza terenowa. E. Cieśla i Julia Wyczółkowska (siedzą: trzeci i czwarta od prawej) na tle zabudowy bazy.



Bao-Ha – baza terenowa; E. Cieśla z wietnamskimi członkami bazy.



Bao-Ha – baza terenowa; E. Cieśla w towarzystwie Wietnamczyków.



Bao-Ha – E. Cieśla z Gabriela Fabiszewską (tłumaczką), geologiem wietnamskim i W. Śliżewskim, w sąsiedztwie bazy terenowej.



Hanoi – nad małym jeziorem. Siedzą od lewej: Jerzy Glazek, wietnamski technik, E. Cieśla, wietnamski geolog, W. Śliżewski; stoją: Lech Rembocha i Gabriela Fabiszewska



Hanoi – na tle jeziora; od lewej: E. Cieśla, wietnamski geolog, Gabriela Fabiszewska i wietnamski tłumacz



Hanoi – na schodach wejściowych do Dia-Chatu (siedziby wietnamskich władz geologicznych). Od lewej na górze: L. Rembocha, E. Cieśla, W. Śliżewski. Niżej Gabriela Fabiszewska oraz technicy i geolodzy wietnamscy.



Hanoi – przedstawiciele Dia-Chatu witają przybyłą do Wietnamu Leokadię Cieślę, żonę Eugeniusza Cieśli (z bukietem kwiatów).



Hanoi: E. Cieśla z żoną w stroju wietnamskim, wraz z wietnamskim Zespołem Pieśni i Tańca.

W międzyczasie (1964 r.) otrzymałem od Dyrekcji Instytutu Geologicznego medal wybity z okazji setnej rocznicy urodzin Karola Bohdanowicza, wybitnego geologa, jednego z pierwszych Dyrektorów Państwowego Instytutu Geologicznego.



*Medal wybity z okazji setnej rocznicy urodzin Karola Bohdanowicza,
20.X.1964 r.*

Z kolei, od Zjednoczenia Kopalnictwa Rud Żelaza w Częstochowie otrzymałem medal wybity z okazji otwarcia jego Muzeum Górnictwa Rud Żelaza (10.XII.1968 r.), a od częstochowskiego Oddziału Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa - Medal Górniczy, wybity 29.III.1971 r.



Medal wybity z okazji otwarcia w Częstochowie Muzeum Górnictwa Rud Żelaza, 10.XII.1968 r.



Medal Górniczy SITG, Oddział Częstochowa, 29.III.1971 r.

Po reorganizacji pionu surowcowego Instytutu Geologicznego byłem w latach 1973-1977 kierownikiem Grupy Problemowej Osadowych Złóż Rud Żelaza. W tym czasie opracowałem mapę metalogeniczną jury dolnej w

skali 1: 50 000, dla arkuszy Opoczno, Przysucha, Końskie, Nieklań, Miedziera i Krasna.



Lasy na północny-wschód od Nieklania, 1978 r.; płytkie wiercenie (do głębokości około 20 m) aparatem wiertniczym umieszczonym na samochodzie, wykonywane w poszukiwaniu ilów ochrowych.

W latach 1977-1980 zajmowałem się badaniami i określaniem perspektyw występowania ilów ochrowych w lasie świętokrzyskim, a od 1981 r. do sierpnia 1987 r., już na emeryturze, zajmowałem się wspólnie z prof. Leszkiem Lindnerem opracowywaniem mapy i objaśnień do Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski w skali 1: 50 000, arkusz Końskie. Teren obejmowany przez tę mapę zalicza się do obszarów, na których podłoże geologiczne zakryte jest w znacznym stopniu przez utwory czwartorzędowe. Moim zadaniem przy przygotowywaniu arkusza Końskie było opracowanie geologii podłoża, natomiast prof. Lindner opracowywał geologię nadkładu (trzeciorzęd i czwartorzęd). Mapa ukazała się w druku w roku 1990, natomiast objaśnienia do niej – w 1991 r.

Podczas pracy w Instytucie Geologicznym zostałem uhonorowany odznakami „Zasłużony Pracownik Instytutu Geologicznego”, „Przodownik

Pracy Socjalistycznej” i „Zasłużony dla Polskiej Geologii”, a także „Srebrnym Krzyżem Zasługi”.

W dniu 11 grudnia 1996 r. zostałem powtórnie immatrykulowany w Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie, Wydział Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska i otrzymałem Index z okazji 50 rocznicy rozpoczęcia studiów.

<p>ŚLUBOWANIE</p> <p>Ślubuję uroczystie, że jako wychowanek Akademii Górniczo - Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie będę:</p> <ul style="list-style-type: none"> - dbał o należyty mojej Uczelni autorytet w kraju i za granicą, - całym swoim postępowaniem dbał o godność absolwenta najstarszej uczelni górniczo-hutniczej w Polsce, - utrzymywał z Uczelnią i Jej pracownikami więzy serdeczności i przywiązania, - uważał młodych absolwentów Uczelni za kolegów i przyjaciół oraz służył im swoją radą, pomocą i doświadczeniem. <p>KRAKÓW, DNIA 11.12.1996 r. NR ALBUMU 952</p>	<p>Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie</p> <p>Wydział Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska</p> <p style="text-align: center;">INDEKS</p> <p>IMIE <i>Eugeniusz</i> NAZWISKO <i>Cieśla</i></p> <p>UR. DNIA 08.08.1922 r. W Mielcu</p> <p>ZOSTAŁ POWTÓRNI IMMATRYKULOWANY Z OKAZJI 50 ROCZNICY ROZPOCZĘCIA STUDIÓW</p> <p>DZIEKAN <i>prof. M. Lemberger</i></p> <p>REKTOR <i>prof. M. Handke</i></p>
--	---

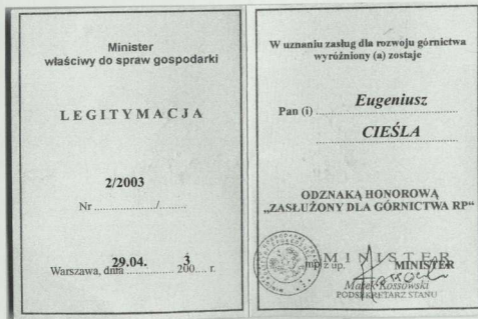
E. Cieśla. Indeks z okazji 50 rocznicy rozpoczęcia studiów.

Będąc na emeryturze przez kilkanaście miesięcy, w latach 1989-1990, pełniłem funkcję Głównego Koordynatora Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski. W latach 1993-1996, po opracowaniu projektu badań geologicznych i jego zatwierdzeniu w 1992 r., przygotowywałem arkusz Niekłan SMGP. I w tym przypadku opracowałem budowę geologiczną podłoża, natomiast prof. Lindner i Julia Semil utwory czwartorzędu. Mapa wykonana została w Zakładzie Geologii Czwartorzędu Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, w ramach prac zleconych przez Państwowy Instytut

Geologiczny. Druk zarówno mapy, jak i objaśnień, ukończony został w 1999 r.

Podczas przebywania na emeryturze, w 1996 r. otrzymałem z Zarządu KGHM Polska Miedź S.A. medal „XXXV lat Polskiej Miedzi 1961-1996”, w 2003 r. Odznakę Honorową „Zasłużony dla Górnictwa RP” z Ministerstwa Gospodarki, a w 2008 r. „Złotą Odznakę Państwowego Instytutu Geologicznego”.

W maju 1986 r. zostałem powołany przez Podsekretarza Stanu, Głównego Geologa Kraju w Ministerstwie Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, Wiesława Śliżewskiego, na członka Komisji Zasobów Kopalin przy MOŚiZN, którym byłem do 2005 r. Poza częstym uczestnictwem w Komisjach Roboczych, wykonałem ponad 70 koreferatów do dokumentacji geologicznych takich surowców mineralnych, jak ility, wapienie, rudy żelaza, rudy cynku i ołowiu, rudy miedzi oraz kamienie budowlane i drogowe ze skał magmowych i metamorficznych.



E. Cieśla. Odznaka Honorowa „Zasłużony dla Górnictwa RP”, 2003 r.



*Wręczenie „Złotej Odznaki PIG”, 15 maja 2008 r.
Eugeniusz Cieśła z prawej. Odznakę i dyplom wręcza Kanclerz Kapituły,
Jacek Kasiński.*

***EUGENIUSZ CIEŚŁA**

Urodzony w 1922 r. w Mielcu. Absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (1951 r.). Pracownik Państwowego Instytutu Geologicznego w latach 1948-1999. Przez większość pracy zawodowej zajmował się poszukiwaniem i dokumentowaniem złóż rud żelaza. W latach 1959-1961 kierował Zakładem Złóż Rud Żelaza IG. Od 1962 r. do 1963 r. pełnił funkcję kierownika Polskiej Ekspedycji Geologicznej w Demokratycznej Republice Wietnamu, która również poszukiwała i dokumentowała złoża rud żelaza. Dużo czasu spędził również przy wykonywaniu arkuszy Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski.

Wiesław Jan Śliżewski*

**60 LAT W SŁUŻBIE GEOLOGII I WSPÓŁPRACY Z PAŃ-
STWOWYM INSTYTUTEM GEOLOGICZNYM
(1949-2009)**

Urodziłem się 24 listopada 1929 roku w Grodzisku Mazowieckim, w domu zakupionym przez mieszkańców na wsi Dziadków w celu umożliwienia ich ośmiorgu dzieciom kształcenia w większym mieście, a później w Warszawie. Ojciec mój, Waclaw, po zakończeniu w 1921 roku służby w Żandarmerii Wojskowej, skierowany został do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, skąd w roku 1951 został przeniesiony na emeryturę. Matka moja, Kazimiera, córka ziemianina z powiatu skierniewickiego, prowadziła dom. Ze względu na pracę Ojca w służbie dyplomatycznej, w latach 1934-1939 jako dziecko przebywałem z Rodzicami w Niemczech i w Związku Radzieckim. Mój starszy brat, Janusz, jest lekarzem, a młodsza siostra, Jolanta, geologiem ze specjalizacją ochrony środowiska.



Moi Rodzice – Kazimiera i Waclaw Śliżewscy, 1928 r.

Zamiłowanie do książek, do historii, a szczególnie do okresu wojen napoleońskich i powstań XIX wieku, w których uczestniczyli moi przodkowie ze strony zarówno Matki, jak i Ojca, zawdzięczam opowiadaniom Mammy słuchanym od najmłodszych lat. Dość bogata biblioteka domowa, uzupelniana przez Ojca, była stałym przedmiotem moich zainteresowań.

W wieku jedenastu lat przeczytałem np. „Monachomachię” Ignacego Krasickiego, niewiele z niej rozumiejąc. Zwrócenie mojej uwagi na twórczość wybitnego poety i powieściopisarza wywołane zostało krążącą w rodzinie opowieścią, że późniejszy biskup Krasicki jako młody duchowny „terminował” u księdza Mikołaja Ślizewskiego i po nim przejął w roku 1761 kanonię przemyską, co potwierdzają oficjalne spisy duchownych tamtego okresu.

Jako dziecko inteligentkie, w latach 1939-1940 wpisany zostałem do Parafialnego Koła Ministrantów, a także do 29 Mazowieckiej Drużyny Harcerskiej, gdzie po wojnie kontynuowałem działalność. W latach 1937-1940 pobierałem naukę gry na fortepianie u pani Ireny Cerchowny. W okresie wojny, mając 10-16 lat, przebywałem w domu rodzinnym w Brwinowie pod Warszawą, uczęszczając do Szkoły Powszechnej, a później na tajne Kompletu Gimnazjalne.

W listopadzie 1944 roku wywieziony zostałem przez żandarmerię niemiecką na przymusowe roboty przy kopaniu umocnień przeciwczołgowych. W styczniu 1945 roku zbiegłem z obozu i do Wyzwolenia przebywałem u dalszej rodziny. Przez następne lata kontynuowałem naukę w gimnazjum

i liceum, pracując jako robotnik, a później pracownik umysłowy.

Szkołę średnią ukończyłem w roku 1949 i wtedy (nb. w 30-lecie PIG) zaczęła się moja wielka przygoda z geologią. Po maturze poszukiwałem ciekawej pracy. Jeden z moich przyjaciół zaproponował mi odwiedzenie kolegi w jakimś instytucie na Mokotowie. Był to Państwowy Instytut Geologiczny, gdzie funkcję kierownika Działu Transportu pełnił kolega, Ryszard Stasiak. Ryszard przedstawił mnie Naczelnikowi Wydziału Geologii Technicznej, mgr Kazimierzowi Guzikowi. Zostałem przyjęty na stanowisko sprawującego techniczny nadzór geologiczny na wierceniach pod głębokie warszawskie metro. Do dzisiaj pielęgnuję pierwszą umowę o pracę w Państwowym Instytucie Geologicznym, na której widnieje podpis ówczesnego Dyrektora, Jana Czarnockiego.

Pierwsze lata pracy w Państwowym Instytucie Geologicznym, to pełnienie nadzoru geologicznego nad wierczeniami, a popołudniami uczestnic-

two w szkoleniu z zakresu geologii, wiertnictwa, próbowań i badań laboratoryjnych, prowadzonym dla kilkunastu młodych ludzi. W okresie letnim 1950 roku zorganizowano już kurs dla około 20 uczestników z zakresu kartografii geologicznej w Czorsztynie (w ramach badań geologicznych pod obecną zaporę na Dunajcu). Zajęcia prowadzili doświadczeni geolodzy: Kazimierz Guzik, W. Rudkiewicz, Ludwik Watycha oraz koledzy z AGH - Giedłek, Gajdek i Szczurowski.

U M O W A

Nawarta w dniu . . . 17 listopada . . . 1949 . r. w Warszawie między Państwowym Instytutem Geologicznym a ob. Śliżewski Jerzy, zamieszkałym w Brynarce . . . w sprawie stosunku służbowego.

1. Ob. Śliżewski Jerzy . . . w dalszej treści umowy swany/a/ pracownikiem przyjmuje na siebie od dnia 17 11 49 . . . do dnia 31 12 49 obowiązki . . . w Wydziale . . . Geologii Technicznej . . . w charakterze pracownika umysłowego kontraktowego.
2. Pracownik będzie otrzymywał ze Skarbu Państwa miesięczne wynagrodzenie w wysokości . . . 1200 zł . . .
Wynagrodzenie powyższe wypłacane będzie przez cały czas trwania umowy w ostatnia dniu każdego miesiąca kalendarzowego.
W razie pełnienia czynności poza zwykłym miejscem służbowym oraz w razie przeniesienia na nowe miejsce będą pracownikowi przysługowały należności w/g norm obowiązujących dla funkcjonariuszów państwowych.
3. Pracownik przyjmuje na siebie obowiązki, określone w art. 23 - 27 art. 28 ust. 1 i 2, art. 29 i 31, oraz art. 22 ust. 1 i 3 ustawy z dnia 17 lutego 1928 r. o państwowej służbie cywilnej /Dz.U.R.P. Nr. 21, poz. 164/4 ponadto obowiązki . . . się stosować ściśle do instrukcji i zarządzeń normujących porządek pełnienia służby wewnętrznej i zewnętrznej.
4. Wszelkie materiały srodowiskowe przez pracownika w związku z wyuznieną pracą są własnością Państwowego Instytutu Geologicznego i muszą być P.I.G. przekazane za pośrednictwem Kancelarii właściwego wydziału bezpośrednio po zakończeniu prac.
Pracownik nie może dysponować nimi, ani wynikami bez zgody P.I.G.
5. Pracownik obowiązany jest z obwła zakończenia prac przewidzianych umową a Najdalej w terminie 4 tyg. złożyc krótkie rzeczowe sprawozdanie w/g wymagań Kancelarii własowego Wydziału.
6. W razie niedotrzymania kłdregokoletek z warunków tej umowy przez pracownika, P.I.G. musi strzeżąc sobie prawa podjęcia kroków prawnych.
7. Rozwiązanie stosunku służbowego następuje po upływie okresu na jaki umowę zawarto.

Kancelaria Państwowego Instytutu Geologicznego
Władysław Kawa
mgr. Kanceliera Główny

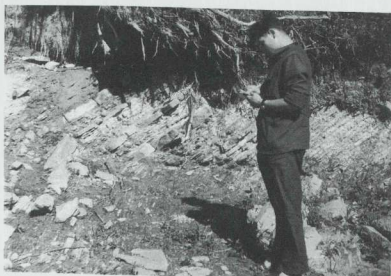
Kancelaria Wydziału Geologicznego
Dyrektor
Jerzy Guzik
Jan Czarnocki

Władysław Śliżewski

W. Śliżewski – przyjęcie do pracy w PIG, 1949 r.

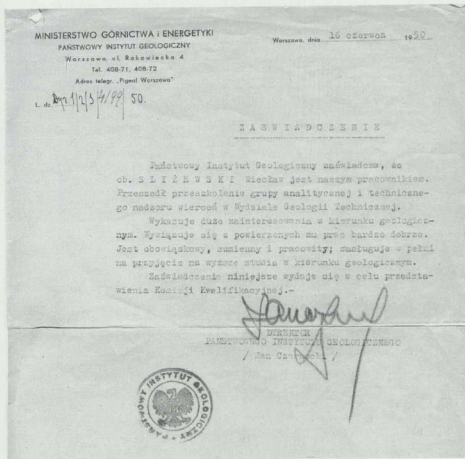
Moje głębokie zainteresowanie geologią, jak i ugruntowanie lewicowych poglądów, zawdzięczam mojemu pierwszemu Nauczycielowi, późniejszemu profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego, Kazimierzowi Guzikowi, więźniowi obozów hitlerowskich, znakomitemu geologowi, bez reszty oddanemu pracy, a także wymagającemu przełożonemu. W tym czasie łączyły mnie koleżeńskie stosunki ze starszymi kolegami, będącymi już po studiach, reprezentującymi różne polskie szkoły geologiczne: Józefem Bażyńskim (po Uniwersytecie Poznańskim), Janem Malinowskim (po Uniwersytecie Wrocławskim) oraz W. Olędkim (po AGH).

Nieliczna jeszcze w tym czasie kadra geologów musiała sprostać ogromnym zadaniom stawianym przed geologią. Odbudowa kraju po zniszczeniach wojennych, jego uprzemysławianie, rozwój górnictwa, hutnictwa, budownictwa itp. wymagały szerokiej gamy badań geologicznych, orzeczeń, specjalistycznych dokumentacji i wielu innych prac. Osobiście brałem udział w pracach geologicznych prowadzonych dla warszawskiego Metra, Huty Warszawa, Bugobudowy (Zalew Zegrzyński), Huty Częstochowa, zapory w Czorsztynie, Pałacu Kultury i Nauki i innych. Latem 1950 uczestniczyłem w kursie kartografii geologicznej w Czorsztynie, w ramach badań geologicznych pod obecną zaporę na Dunajcu.



Kartowanie odkrywki w rejonie Czorsztyna, 1951 r.

W roku 1950 Dyrekcja PIG umożliwiła mi oraz sporej liczbie pracowników Instytutu podjęcie studiów w zakresie geologii na Wieczorowym Studium Geologii Technicznej przy Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Studia te z sukcesem ukończyłem.



Zaświadczenie dla Komisji Kwalifikacyjnej na studia, 1950 r.

W 1951 r. zostałem awansowany na kierownika Sekcji Nadzoru Wierceń w Wydziale Geologii Technicznej PIG. Mgr K. Guzik zabierał mnie na różne wizyty dla referowania szczegółów prac wiertniczych w wielu inwe-

stycjach krajowych, którymi interesował się dany resort. Wspominam tu wizyty u min. Bolesława Krupińskiego (Ministerstwo Górnictwa), min. A. Wanga (Komisja Planowania), min. A. Czachórskiego, min. F.K. Kaima, a także u Głównego Architekta Warszawy, Józefa Sigalina.

Z uwagi na dopływ licznej kadry do PIG oraz brak pomieszczeń, wiele dyskusji odbywało się w kilkuosobowym pokoju, gdzie od 1951 roku było i moje miejsce pracy. Często przysłuchiwałem się dyskusjom prowadzonym przez Kazimierza Guzika, Ludwika Watychę i W. Rudkiewicza z wybitnymi geologami PIG – Edwardem Rühle, Władysławem Pożaryskim, Edwardem Ciukiem, A. Granicznym, Stanisławem Doktorowicz-Hrebnickim, Władysławem Bobrowskim i innymi. Była to znakomita szkoła dla przyszłego geologa.

Praca w Instytucie stwarzała dobrą atmosferę dla działalności młodych ludzi poza pracą zawodową. Chyba już nikt w PIG nie pamięta, że w latach 1950-53 aktywnie działał zespół artystyczny zorganizowany wspólnie z Inez d'Auguste (późniejszą Profesor Inez Wiatr, pracującą na Politechnice Lubelskiej). Tańczyłem w tym zespole tworząc parę z Marysią Ruśkiewicz.



Tańcząc „Krakowiaka”, 1952 r.



Zespół taneczny PIG. Autor – pierwszy z lewej w górnym rzędzie.

Przez wiele lat utrzymywałem serdeczne koleżeńskie stosunki nawiązane wówczas w Instytucie z Ewą Żero, Inez Wiatr oraz z Longinem Wielgomasem. Wielu moich przyjaciół z tamtego okresu już nie ma wśród nas.

W 1951 roku został oddany do użytku nowoczesny gmach Instytutu zlokalizowany wzdłuż ulicy Rakowieckiej. Zapadła decyzja o przeniesieniu magazynu rdzeni, mieszczącego się w wiatach przy starym gmachu PIG, do odpowiednio przygotowanych pomieszczeń w podziemiach nowego budynku. Młodzież zachęcona przez Kazimierza Guzika podjęła się przemieszczenia skrzynek z rdzeniami do nowych pomieszczeń magazynowych. Przez blisko miesiąc ponad dwudziestu młodych ludzi na własnych barkach przetransportowało poza godzinami pracy wielkie ilości skrzynek z tak cennymi dla geologa rdzeniami.

Wspomnę także, że kilka niedziel w latach 1950-1951 pracownicy PIG (nie tylko młodzi) poświęcili na odgruzowanie stolicy (rejonu Muranowa). Polegało to na tym, że wybierano cegły ze zwałów gruzu i rząd kilkunastu osób podawał je z rąk do rąk i przenosił na ciężarówkę podstawiane przez PIG. Cegły te były wywożone na miejsca wskazane przez organizatorów.



Powrót ze żniw w rej. Sochaczewa (prace społeczne), 1952 r.

Po blisko pięciu latach pracy, w 1954 r. odszedłem z Instytutu zmuśzony złymi warunkami materialnymi i mieszkaniowymi. Przez rok pracowałem jako asystent w katedrze Geologii i Ekonomiki Złóż Uniwersytetu Warszawskiego, kierowanej przez Władysława Bobrowskiego. Wówczas też wspólnie z Alicją Borkowską (Mańkowską) z PIG opracowywałem dokumentację geologiczną złóż surowców budowlanych na zlecenie Spółdzielni Inżynierskiej „Plan”.

Z uwagi na brak mieszkania w Warszawie, bardzo skromną asystencką pensję oraz sytuację rodzinną (żona i 3-letni syn Piotr), na początku 1956 r. podjąłem pracę jako geolog w Kopalni Uranu w Kowarach (ZPR-1) na Dolnym Śląsku. Tam, na ziemi śląskiej, urodził się mój drugi syn – Mariusz.

Praca w kopalni oddalonej o 45 kilometrów od Kowar, trwająca z dojazdami od czwartej trzydzieści rano do szesnastej (także w soboty), codzienne zjazdy na dół na 5-6 godzin, dochodzenie na różnych poziomach do bloków eksploatacyjnych, czy wierceń, po drabinach szybowych (często ponad 500 metrów dziennie), była bardzo uciążliwa, lecz dawała satysfakcję zawodową i niezłe zarobki (5 razy wyższe niż pensja asystencka!).

Kierując mnie do pracy w Kopalni Radoniów, Naczelny Dyrektor R-1, Niewiarowski zalecił mi wykorzystanie wiedzy i doświadczenia Rosjanina

inżyniera Kukarcewa, Głównego Geologa Kopalni, któremu za 3-4 miesiące kończył się pobyt w Polsce. Dyrektor stwierdził, iż kopalnia przechodzi w stan likwidacji z uwagi na wyczerpanie zapasów i po kilku miesiącach przeniesiony zostanie do innej pracy.



Autor w okresie pracy w ZPR 1, 1957 r.

Po szczegółowym zapoznaniu się z materiałami geologicznymi i geofizycznymi kopalni i rejonu zarysowała mi się koncepcja, której realizacja dawała pewne możliwości przyrostu zasobów na większych głębokościach. Opracowałem projekt badań różniący się od dotychczasowego podejścia do prac geologiczno-rozpoznawczych na kopalni.

Wspólnie z inż. wiertnikiem Zakładów, Stefanem Łaciakiem, późniejszym profesorem i Dyrektorem Instytutu Wiertniczo-Naftowego AGH, opracowałem projekt specjalnej dolowej komory na poziomie -375 m, w której umieszczono powierzchniowe urządzenie wiertnicze KAM-500. Odwiercono nim 2 otwory pod różnymi kątami dla przecięcia żyły na różnych głębokościach. Wynik okazał się rewelacyjny, gdyż eksploatowane złożo o słabym okruszcowaniu na większej głębokości tworzyło formy żyłowo-gniazdowe z bogatym okruszcowaniem. Kopalnia Radoniów eksploatowała to złożo przez wiele lat, nawet po wygaśnięciu umowy na odbiór rudy przez ZSRR. Był to ostatni zakład górniczy eksploatujący rudę uranu w Polsce.

Dyrekcja ZPR-1 doceniając ten sukces awansowała mnie na Głównego Geologa Kopalni Podgórze, położonej niedaleko Kowar. Była to podstawowa kopalnia R-1, z wydobyciem pokrywającym 80% produkcji zakładów. Z okazji „Barbórki” 1956 roku przyznano mi także pierwszy stopień inżyniera górniczego, a w rok później odznaczony zostałem Brązowym Krzyżem Zasługi.



Dyskusja z kolegami o nowym przekopie w kopalni Podgórze; od lewej Woźniczka, K. Muras i W. Śliżewski, 1956 r.

Na przełomie lat 1958/59 odbyłem kilkumiesięczny staż naukowy w ZSRR w zakresie geologii, górnictwa i przeróbki rud uranowych. W roku 1960 ukończyłem Roczne Studium Ekonomiczne, zorganizowane przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne przy Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie.

Prowadziłem także (na ile pozwalały ówczesne przepisy) współpracę z prof. Stanisławem Jaskólskim z AGH, prof. Józefem Obercem z Wrocławia, dr Eugenią Zimnoch z Uniwersytetu Warszawskiego oraz w szerszym zakresie z kolegami z Instytutu Geologicznego w Warszawie: Jerzym Boruckim, Aleksandrem Jelińskim, Marianem Sałdanem, Hubertem Sylwestrzakiem, Włodzimierzem Zajączkowskim i z innymi.



Przed sztolnią 19 kopalni Podgórze: W. Śliżewski, A. Kudla – dyrektor kopalni i K. Muras.

W dyskusjach z nimi zwracałem uwagę na konieczność odpowiedniego opróbowania złoża żyłowego kopalni „Podgórze” oraz kopalni „Wolność”. Wg wspólnie ustalonej metodologii pobrano kilkadziesiąt prób, które zostały poddane analizie w laboratorium Instytutu Geologicznego na zawartość uranu. Na podstawie materiałów kopalni oraz wyników analiz IG i laboratorium Zakładów R-1 opracowałem podsumowanie wiedzy o złożu i wraz z załącznikami graficznymi przekazałem je do Instytutu Geologicznego w Warszawie. Opracowanie to miało wejść jako część składowa monografii na temat polskich złóż rud uranowych.

Likwidacja górnictwa uranowego spowodowała, iż powróciłem do Warszawy i w roku 1962, po sprawdzeniu mojej wiedzy i doświadczenia przez Romana Osikę, zostałem włączony do polskiej ekspedycji w Wietnamie jako ekspert geolog. Zajmowałem się tam poszukiwaniem rud miedzi i pirytywów, dokumentacją złóż rud żelaza oraz opracowywaniem 5-cioletniego planu prac geologiczno-poszukiwawczych dla Bazy Geologicznej Bao-Ha.



W. Śliżewski (w środku) i E. Cieśla z kolegami wietnamskimi. 1962 r.



Wiesław Śliżewski, Jerzy Glazek i Lech Rembocha, Wietnam, 1962 r.

Wysoko sobie cenię wietnamską współpracę oraz wymianę poglądów i doświadczeń z kolegami z Instytutu Geologicznego: Eugeniuszem Cieślą (szefem Polskiej Ekspedycji Geologicznej), Stanisławem Kubickim i Lechem Rembochą oraz z Jerzym Głazkiem z Uniwersytetu Warszawskiego i z W. Grzegorskim z PG Kraków.

W latach sześćdziesiątych przez szereg lat pełniłem funkcję Głównego Geologa, Zastępcy Dyrektora Przedsiębiorstwa Geologicznego w Warszawie. Moje dobre kontakty z wiodącymi geologami Instytutu przyczyniły się do ściślejszej współpracy Instytutu z PG Warszawa. Zespół kartograficzny PG uzyskał wówczas od Dyrekcji IG pierwsze zlecenie na opracowanie arkusza mapy geologicznej. Następnie wykonano szereg dalszych arkuszy, wchodzących w skład Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski.

Lata sześćdziesiąte, to dynamiczny rozwój głębokich wierceń parametryczno-strukturalnych Instytutu Geologicznego, których wykonawcą zostało PG W-wa. Po dyskusjach ze Stanisławem Depowskim, Julianem Sokółskim i Andrzejem Witkowskim opracowałem założenia nowoczesnej obsługi tych wierceń. Wspólnie z Z. Michotą i J. Olechowską zorganizowano laboratoria przy wierceniach, z których na bieżąco uzyskiwano wyniki do wstępnej oceny warunków geologicznych i do projektowania próbowań i zabiegów intensyfikujących dopływ medium do otwiaru.

Analiza wyników badań, prowadzonych na głębokich otworach Instytutu, pozwoliła mi na rozwinięcie dysertacji doktorskiej pod kierunkiem Stanisława Depowskiego, na temat „*Skaly dewonu górnego południowej Lubelszczyzny jako potencjalne zbiorniki ropy i gazu*”, obronionej w Instytucie Geologicznym w 1977 roku.

W 1971 roku powołany zostałem na stanowisko Naczelnego Dyrektora Przedsiębiorstwa Poszukiwań Geofizycznych w Warszawie. Przedsiębiorstwo w tym czasie było poważnie modernizowane, korzystając w latach 1968-1970 m.in. z wiedzy specjalistów ONZ. Prowadzili oni wtedy, wspólnie ze specjalistami polskimi, ONZ-etowski projekt geofizycznych poszukiwań soli potasowych w Polsce.

Sporo doświadczeń i obserwacji dostarczyli również polscy specjaliści, geofizycy i geolodzy, którzy w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej odbywali staże naukowe na stypendiach ONZ, związanych ze wspomnianym projektem. W PPG zorganizowano wówczas nowoczesnie wyposażony ośrodek komputerowy, wprowadzono aparaturę sejsmiczną i inną aparaturę badawczą o światowym standardzie, rozpoczęto produkcję niektórych nowoczesnych urządzeń, szkolono także kadrę we

Francji, Kanadzie, RFN itp. Dużą pomoc w modernizacji techniki badawczej uzyskiwano ze strony pracowników nauki, głównie Instytutu Geologicznego i AGH.



Ekipa aerogeofizyczna PPG w Nigerii – załoga i osoby wizytujące: Z. Werner (szósty od lewej), W. Olędski i W. Śliżewski (ósmi od lewej), 1974 r.



Wojciech Domżański i Wiesław Śliżewski, Wielka Brytania, 1975 r.

W tym czasie, na dorocznym Zjeździe Geofizyków Poszukiwawczych w Paryżu poznałem dr Wojciecha Domżańskiego, Polaka mieszkającego w Anglii, wysokiej klasy specjalistę z zakresu geofizyki, geologii i górnictwa, wykładowcę Londyńskiej Royal School of Mines, prowadzącego także niezależną firmę doradczą w Londynie. Od tego czasu był on częstym gościem PPG, później także „Geopolu”.

Dobre wyniki uzyskiwane za granicą przez polskich geologów i geofizyków oraz doświadczenie moje i innych kolegów z pracy za granicą pozwoliły nam na organizację zespołu ds. eksportu przy PPG. Później, w porozumieniu z Bohdanem Żakiewiczem, dyrektorem Departamentu Techniki Centralnego Urzędu Geologii, geologiem doświadczonym w zakresie eksportu, zaproponowałem kierownictwu CUG powołanie specjalistycznego przedsiębiorstwa ds. eksportu pod nazwą „Geopol.”

Prowadzenie usług geologicznych przez różne centrale Handlu Zagranicznego, którym brakowało wiedzy geologicznej oraz marginalne traktowanie usług geologicznych negatywnie wpływało na rozwój polskiej działalności geologicznej na światowych rynkach. „Geopol” miał spełniać w CUG rolę resortowej importowo-eksportowej Centrali Handlu Zagranicznego na wzór „Kopexu” (górnictwo), „Budimexu” (budownictwo), „Ciechu” (chemia), itp.

Mimo pewnych sprzeciwów ze strony Centrali HZ, przedsiębiorstwo „Geopol” powstało w lipcu 1974 roku przy aprobacie Prezesa CUG, Zdzisława Dembowskiego. Pierwszym Dyrektorem „Geopolu” został autor niniejszych wspomnień. „Geopol” objął swym działaniem przygotowanie i organizację eksportu usług całego polskiego środowiska geologicznego, a także niektórych branż pokrewnych. Podjęto szeroką działalność akwizycyjną poprzez udział w delegacjach gospodarczych, organizowanych m.in. przez inne Centrale HZ (Polservice i Kopex). Był czas, kiedy nasze ekipy pracowały równocześnie w kilkunastu krajach Afryki, Azji, Ameryki Południowej i Europy.

Dla odpowiedniego przygotowania kadry do pracy za granicą zorganizowano Studium Podyplomowe przy Wydziale Geologiczno-Poszukiwawczym AGH. W Instytucie Geologicznym w Warszawie utworzono wówczas Zakład Geologii Gospodarczej Świata, którym kierował doświadczony geolog, Zbigniew Werner. Łącznie Zakład ten opracował materiały informacyjne o blisko stu krajach świata, głównie na zlecenie PPG. Z opracowań tych często korzystały także polskie przedstawicielstwa dyplomatyczne.

Chcę podkreślić w tym miejscu rolę i pomoc, jaką w wyjściu na szeroki świat okazali nam wybitni polscy inżynierowie i naukowcy, których losy wojenne rzuciły do Anglii, Kanady, Francji, czy USA. Ci starsi koledzy, związani przedwojennymi studiami na Akademii Górniczej w Krakowie, wielcy patrioci Polski, z satysfakcją przyjmowali informacje o osiągnięciach polskich geologów w kraju. Częste kontakty z niektórymi z nich: Wojciechem Domżałskim, Lechem Makowieckim, Władysławem Folkierskim, Stanisławem Wyrobkiem i innymi, nam z kolei pozwoliły poznać reguły gry obowiązujące w światowej geologii i górnictwie.

Polscy specjaliści w pracach za granicami kraju dali się poznać jako dobrze przygotowani fachowcy, charakteryzujący się umiejętnością organizacji pracy w trudnych warunkach terenowych i klimatycznych, odpornością na niewygodę oraz przyjaznym stosunkiem do miejscowej ludności.

Podkreślić tu należy dobrą opinię jaką zdobyli geolodzy Instytutu Geologicznego angażowani przez Agendy ONZ do pracy w krajach rozwijających się: Jerzy Borucki (Madagaskar, Niger), Tadeusz Depciuch (Benin), Jerzy Kanasiewicz (Indie, Libia), Stanisław Przeniosło (Gabon, Haiti), Edmund Rutkowski (Gwinea) i inni. Wielu geologów Instytutu oddelegowanych było przez PGZ „Polservice”, jako specjaliści indywidualni, na stanowiska doradców, ekspertów, czy też organizatorów badań geologicznych. Wymienię tu kilku z nich: Włodzimierz Zajączkowski, Hubert Sylwestrzak, Andrzej Kühn, Andrzej Nowicki, Józef Lis (Niger, Maroko), Maciej Podemski (Zambia), W. Sikora (Maroko), Andrzej Wojciechowski (Nigeria), Zbigniew Werner (Algieria, Libia). Dużym uznaniem cieszyli się też geolodzy IG prowadzący wykłady na uczelniach zagranicznych, m.in. Anna Dziedzic w Algierii oraz Zbigniew Kotański i A. Szyborski w Nigerii.

Instytut Geologiczny organizował także wieloosobowe Ekspedycje. W Wietnamie kierownictwo Polskiej Ekspedycji Geologicznej pełnili kolejno geolodzy IG: Roman Osika, Stanisław Kubicki i Eugeniusz Cieśla. Kilkuletnie prace Ekspedycji zakończyły się tam dużym sukcesem. Poza wykonaniem ważnych prac kartograficznymi odkryto szereg złóż rud żelaza, jednocześnie szkoląc personel wietnamski. W pracach tych brali także udział inni geolodzy IG: Franciszek Ekiert, Olech Juskowiak, Lech Rembocha, Leszek Sawicki, January Szalamacha, Ludwik Watycha, Jan Wyczółkowski i Wiesław Śliżewski.

W pracującej przez kilkanaście lat Międzynarodowej Ekspedycji Mongolskiej kierownictwo sprawowali: Jan Czermiński i Edmund Rutkowski. Podstawową polską kadrę stanowili geolodzy Instytutu: Sebastian Bier-

nat, Hanna Chilińska, Stefan Cieśliński, Stefan Cwojdzński, Zenon Gajewski, Andrzej Grocholski, Olech Juskowiak, Stefan Kozłowski, Zbigniew Kozydra, J. Kuchciński, Ryszard Podstolski, Władysław Słowański, Marian Subieta i Janusz Uberna. Prace Ekspedycji oceniano bardzo wysoko. Podczas działalności Ekspedycji w Mongolii przeprowadzono szeroki zakres prac kartograficznych i surowcowych. Odkryto też szereg złóż, w tym złożę pierwiastków ziem rzadkich Ługijn Goł, które zostało również udokumentowane. W tym przypadku na szczególne wyróżnienie zasługują zdolności organizacyjne oraz merytoryczne wieloletniego szefa Polsko-Mongolskiej Ekspedycji Geologicznej, Janusza Uberny.



Wizyta ministra Iliasu w PG Kraków (od lewej: Dyr. J. Mróz, prof. Czesław Harańczyk, Min. Iliasu, F. Zedler, R. Łabuś, W. Śliżewski), 1976 r.

W roku 1976, w porozumieniu z kierownictwem MSZ, MGiE oraz CUG, zaprosiłem do Polski Sekretarza Stanu ds. Górnictwa Nigerii, pana Iliasu, współpracującego z dr Wojciechem Domżałskim. Znając potrzeby kadrowe Nigerii oraz widząc duże zainteresowanie ministra Iliasu polskim systemem szkolenia kadry dla geologii, geofizyki, wiertnictwa i górnictwa,

po konsultacji z profesorami AGH zaproponowałem mu zorganizowanie w Centralnej Nigerii, na bazie średniej szkoły górniczej w Plateau Jos, Wyższej Uczelni na wzór Akademii Górniczo-Hutniczej, z polskim personelem nauczającym przez pierwsze 10 lat. Propozycja ta spotkała się z aprobatą Ministra. Pan Iliasu zaproponował mi wówczas przeniesienie się na kilka lat do Nigerii i zajęcie się organizacją tej uczelni. Niestety, ze względów klimatycznych i zdrowotnych tej frapującej propozycji nie przyjąłem.

Geolodzy Instytutu brali także udział w tzw. kontraktach zespołowych, organizowanych przez Geopol i Kopex. W Algierii pracowali: Zbigniew Buła, Stefan Cieśliński, Leszek Daniec, Andrzej Grocholski, Olech Juszkowiak, Zbigniew Kotański, Bolesław Kubica, Zdzisław Modliński, a także wielu innych. W Libii Instytut reprezentowali: Andrzej Ber, Marcin Piwocki i Janusz Uberna. Tematyka prac była bardzo zróżnicowana, ale głównie były to prace poszukiwawcze i dokumentacyjne złóż węgla kamiennego, surowców dla przemysłu cementowego, złóż rud metali, surowców chemicznych i kamieni budowlanych. Ważną częścią tych prac było również rozwiązywanie zagadnień hydrogeologicznych.

W roku 1977 oddelegowany zostałem przez Kierownictwo CUG do Sekretariatu RWPG w Moskwie. Otrzymałem tam stanowisko radcy w Wydziale Geologii, które sprawowałem w latach 1977-1983. Zajmowałem się wykorzystywaniem metod geofizycznych w badaniach geologicznych i w górnictwie, informatyką, współpracą geologii z organizacjami międzynarodowymi, a także klasyfikacją i oceną złóż surowców mineralnych. Znając zainteresowanie polskich kolegów, a zwłaszcza specjalistów z Instytutu Geologicznego (Józef Baczyński, Jan Malinowski) metodologią interpretacji zdjęć satelitarnych dla potrzeb geologii i górnictwa, zainicjowałem wprowadzenie tego tematu do pracy Komisji Geologicznej RWPG. Temat ten prowadziłem do końca pracy w Sekretariacie RWPG.

W roku 1982 opracowałem, po konsultacjach z polskim Zastępcą Sekretarza RWPG w Moskwie, Zdzisławem Kurowskim, założenia polityki surowcowej Polski. Z uwagi na poufność materiału memoriał pisany był w Ambasadzie Polskiej. Opracowanie to Zdzisław Kurowski przesłał do Kierownictwa Rządu i do władz partyjnych. Dzisiaj, po transformacji, nawet u mnie pewne koncepcje tam zaproponowane wywołują uśmiech. Np. proponowałem oddanie w ręce prywatne kamieniołomów, eksploatacji hałd kopalnianych itp.

Po powrocie do kraju (początek 1983 r.) zostałem zaproszony do Sekretarza KC PZPR do spraw ekonomicznych, Manfreda Gorywody, na dyskusję o zawartości memoriału. Po dyskusji z grupą pracowników Wydziału Ekonomicznego KC, M. Gorywoda zaproponował mi współpracę w Komitecie Centralnym PZPR w zakresie nowoczesnej polityki surowcowej państwa. Pracowałem w tym charakterze w latach 1983-1985.

W roku 1985 powstało Ministerstwo Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, gdzie powołany zostałem na stanowisko Podsekretarza Stanu, Głównego Geologa Kraju, skąd w 1990 roku przeszedłem na emeryturę.



*Autor w gabinecie Podsekretarza Stanu MOŚiZN,
Głównego Geologa Kraju, 1986 r.*

W międzyczasie podjąłem, wspólnie z ówczesnym Dyrektorem IG, profesorem Wacławem Ryką, starania zmierzające do przywrócenia Instytutowi Geologicznemu pierwotnej jego nazwy: „Państwowy Instytut Geolo-

giczny". Po przełamaniu oporów, m.in. ministra Stefana Jarzębskiego, starania te zostały uwieńczone sukcesem i w 1987 roku Instytut powrócił po 34 latach do swej pierwotnej nazwy.

W czasie ponad 50-letniej pracy w geologii opracowałem około 80 projektów badań i dokumentacji, opinii i ekspertyz. Opublikowałem też około 30 prac dotyczących metodyki, techniki i organizacji badań geologicznych (kilka opublikowanych było w języku rosyjskim i angielskim).

W latach osiemdziesiątych powoływany byłem przez Prezesa Rady Ministrów do przewodniczenia lub do uczestniczenia w różnego rodzaju komisjach, m.in. jako Przewodniczący Delegacji PRL w Komisji Geologicznej RWPG, Członek Prezydium Państwowej Rady Górnictwa, Przewodniczący Delegacji PRL w Komitecie Zasobów Naturalnych ONZ, Przewodniczący Międzyresortowego Zespołu ds. Opracowania Programu Zagospodarowania i Wykorzystania Bazy Surowców Mineralnych oraz V-ce Przewodniczący Komisji ds. reformy prawa geologicznego i górniczego. Przewodniczyłem także (z wyboru) Radzie Pełnomocników Rządowych „Interoceanmetal” w Szczecinie oraz Geologicznej Asocjacji Karpato – Bałkańskiej.

Przez szereg lat byłem członkiem kilku Rad Naukowych: Komitetu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią PAN (członek prezydium), Instytutu Wiertniczo-Naftowego AGH (V-ce Przewodniczący), Instytutu Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, MGiE, Instytutu Geofizyki i Geologii Naftowej AGH oraz Rady Techniczno-Ekonomicznej Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa.

Podczas pracy zostałem odznaczony Brązowym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżami: Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz szeregiem medali i odznaczeń państwowych i resortowych. Otrzymałem także stopień Generalnego Dyrektora Górniczego (podsekretarza stanu). Poza tym posiadam też odznaczenia wietnamskie i mongolskie.

Po przejściu na emeryturę w 1990 r. podjąłem współpracę z Elektrimem S.A. jako Konsultant ds. Geologiczno-Górnich Opracowywałem dla tej firmy opinie, oceny i ekspertyzy dotyczące złóż surowców mineralnych, będących w kręgu jej zainteresowania.

Kończąc te krótkie wspomnienia myślę, że pamięć pozostawia refleksje o tym co było twórcze i piękne, a zacierza uchybienia i mniej miłe zdarzenia. I na koniec pewna sentencja:

„Nie sposób oceniać działalności człowieka w oderwaniu od realiów otoczenia i czasów, w których żył, pracował i tworzył.”

A Państwowy Instytut Geologiczny pozostaje moją „Almą Mater”.

***WIESŁAW JAN ŚLIŻEWSKI**

Urodzony w 1929 r., w Grodzisku Mazowieckim. Absolwent geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Doktor nauk przyrodniczych w zakresie geologii (1977 r.). Specjalista w zakresie geologii gospodarczej. Pracował w Państwowym Instytucie Geologicznym w latach 1949-1955. W latach 1956-1961 zatrudniony był w kopalniach rudy uranu Zakładów Przemysłowych R-1 w Kowarach. W latach 1962-1963 brał udział w Polskiej Ekspedycji Geologicznej w Wietnamie. Od 1963 r. do 1971 r. zajmował stanowiska kierownicze w Przedsiębiorstwie Geologicznym w Warszawie. Potem do roku 1974 kierował Przedsiębiorstwem Poszukiwań Geofizycznych w Warszawie, a następnie do 1977 r. - Przedsiębiorstwem ds. Eksportu GEOPOL. W okresie 1977-1983 zajmował stanowisko Rady (Zastępcy Kierownika) w Wydziale Geologii Sekretariatu RWPG w Moskwie. W latach 1983-1985 zajmował się sprawami geologii i górnictwa w Komitecie Centralnym PZPR. W 1985 r. powołany został na stanowisko Podsekretarza Stanu, Głównego Geologa Kraju w nowo powstałym Ministerstwie Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, z którego w 1990 r. przeszedł na emeryturę.

Sławomir Smoleński*

POKOLENIOWE WSPOMNIENIA (1939-1951)

Jeden z moich przyjaciół w trakcie dyskusji nad jakimś niezbyt istotnym problemem zauważył niedawno, że ja – Sławek Smoleński – jestem z innego pokolenia i niektóre rzeczy widzę inaczej niż on i większość jego rówieśników. Uwaga słuszna. W gronie moich przyjaciół i kolegów brakuje już ludzi, którzy byliby w moim wieku. W większości przypadków są oni już po drugiej stronie Styksu lub utraciłem z nimi kontakt. Sam z przykrością stwierdziłem, że dość często jestem w moich poglądach odosobniony i nie znajduję wśród moich rozmówców zrozumienia; zacząłem się więc zastanawiać, jaki jest tego powód.

Teraz chyba już go znam. To kwestia szczególnych okoliczności, w jakich kształtowało się moje pokolenie na najważniejszym etapie swojego życia – w okresie dojrzewania fizycznego i intelektualnego, czyli w wieku 14 – 20 lat, z niewielką poprawką w obie strony. W tym okresie coraz mniej słucha się rodziców i innych uważanych za mądrzejszych od ciebie, a podstawą świadomości stają się obserwacja i własne doświadczenie. Opowiem pokrótce, jakie miałem okazje do ich zbierania. Podstawa wyjściowa była następująca:

1. Ojczyzna: nie miałem wątpliwości, że Polska jest potęgą, a jej armia, a zwłaszcza kawaleria, jedną z najlepszych na świecie. Oczywiście też było, że walczyć, a nawet zginąć za ojczyznę, to najwyższy honor i zaszczyt. Szykowałem się do tego już od 12 roku życia, bo tyle właśnie miałem lat, gdy w 1938 roku zostałem przyjęty do Korpusu Kadetów nr 1 Marszałka Józefa Piłsudskiego we Lwowie.
2. Naród: Polacy są w jakimś sensie narodem wybranym, stojącym pod każdym względem wyżej niż sąsiadujące z nami nacje. Zresztą udowodniliśmy im to bijąc bolszewików w 1920 roku, Niemców - w powstaniach wielkopolskim i śląskim, Litwinów przeganiając z Wilna, Czechów ze Skoczowa, Ukraińców ze Lwowa. A tak w ogóle, to Polacy w większości są uczciwi i szlachetni, których to cech w takim nasileniu u innych nacji raczej nie dostrzegają.

Lata wojny, okupacji, okres pierwszych lat po wojnie, skonfrontowały moje wyobrażenia z rzeczywistością: wszystko okazało się nie tak. W ciągu

dwunastu lat (1939-1951), czyli w wieku między trzynastym, a dwudziestym piątym rokiem życia, doświadczyłem tak wiele, że następnym pokole-
niom w tych samych latach życia nawet to się nie śniło.



Sławomir Smoleński. Legitymacja Korpusu Kadetów im. Marszałka J. Piłsudskiego we Lwowie, 1938 r.



Po ślubowaniu. Defiladę I kompanii przyjmuje dowódca Lwowskiego Okręgu Wojskowego, gen. Władysław Langner.



Lwów 11 listopada 1938

Z Mamą na spacerze na pierwszej przepustce po złożeniu ślubowania kadetckiego.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. rodzice moi otrzymali list poleceny od komendy Korpusu Kadetów we Lwowie, zawierający kartę urlopową dla mnie. Wynikało z niej, że letni urlop mam przedłużony o trzy dni i w Korpusie mam się zameldować nie 31 sierpnia, lecz 3 września 1939 r. Niby błaża sprawa, a zaważyła na całym moim życiu.

Gdyby list nie doszedł, 31 sierpnia zameldowałbym się w Korpusie i dalsze moje dzieje potoczyłyby się zupełnie inaczej: może Syberia, może sowiecki dom poprawczy, może przysposobiła by mnie jakaś polska rodzina i dzieliłbym jej los, z pewnością niełatwy.

Fakty były jednak takie: 1 września rankiem usłyszeliśmy przez radio, że wojska niemieckie przekroczyły granice Polski, a niemieckie lotnictwo zaatakowało liczne obiekty wojskowe, gospodarcze i cywilne w kraju. Zaczęła się II Wojna Światowa.

Następnego dnia mój ojciec, jako etatowy pracownik Dowództwa Okręgu Korpusu I, otrzymał polecenie ewakuacji wraz z rodziną, a przed dom zajęchała podwoda (tak się to nazywało) z woźnicą, który miał nas zawieźć do Pułtusza. Dalej Niemcy „nie mieli prawa” dojść. Pułtusk chroniła Narew i liczne umocnienia zbudowane tam w lecie 1939 r. i to miała być dla Niemców przykra niespodzianka, która zadecyduje o ich niepowodzeniu na tym odcinku frontu. Ojciec nie bardzo w to wierzył i już następnego dnia wysłał siostrę i mnie do Warszawy. Siostra była studentką UW i w ciągu roku akademickiego mieszkała w pensjonacie u Sióstr Urszulanek na ul. Dobrej. Środkiem transportu była furgonetka pocztowa, która przewoziła przesyłki pocztowe z Warszawy do Pułtusza i odbierała pocztę z Pułtusza. Jak ojciec namówił pocztowców, żeby potraktowali nas jako przesyłki polecone; nie wiem, ale się domyślam.

Do Warszawy dojechaliśmy szczęśliwie, lecz nie bez przygód. Pocztowcy uznali, że przesyłkami pocztowymi mogą być też handlarki drobiem, które pędziły gęsi do Warszawy na sprzedaż. W zamian za gęś załadowali do furgonetki dwie handlarki plus co najmniej dziesięć gęsi. To była kosztowna podróż. Nie będę wchodził w szczegóły, bo na ich wspomnienie jeszcze teraz robi mi się niedobrze.

W Warszawie Urszulanki zgodziły się przyjąć mnie na dwie noce, do mojego wyjazdu do Lwowa. Ten jednak nie nastąpił, ponieważ pociągi osobowe przestały kursować, a te które znajdowały się na torach miały status pociągów wojskowych i przyjmowały tylko zwarte oddziały lub pojedynczych wojskowych z rozkazem wyjazdu. Mnie żandarmeria wojskowa nawet na dworzec nie wpuściła – kazali mi wracać do domu. Do domu nie wróciłem, bo go już nie miałem; wróciłem zatem do Urszulanek.

Pierwsze dni pobytu kadeta w pensjonacie dla studentek były całkiem miłe. Bombardowania nie były intensywne i nie poczyniły większych szkód. Skomplikowały jednak życie miasta i jego mieszkańców. Niestety stały się, gdy Niemcy podciągnęli pod Warszawę ciężką artylerię i podjęli regularny ostrzał artyleryjski, trwający dzień i noc, przy czym w nocy był on bardziej intensywny. Codzienne naloty bombowców były bardzo uciążliwe i dezorganizowały życie miasta, jednak do 25 września nie miały one katastrofalnych skutków.

Prawdziwe nieszczęście spotkało Warszawę w niedzielę, 25 września 1939 r. Tego dnia od samego rana trwał nie przerywany nawet na chwilę nalot ciężkich bombowców, które uwięziły się szczególnie na śródmieście stolicy, zwłaszcza na Nowy Świat i okolice. Był to prawdziwy koszmar. Dom Urszulanek, kilkupiętrowa solidna kamienica, dosłownie chwiało się raz w jedną raz w drugą stronę. Na piętrach krzesła i stoliki jeździły po posadce, szafy skrzypiały, a z okien wypadały szyby i rozbijały się z hukiem. To było niesamowite i nie tak wyobrażał sobie kadet Smoleński wojnę. Wojna miała być zwycięską przygodą, a okazała się upokarzającą klęską. Pamiętam, jak dziś, co zobaczyłem, gdy następnego dnia po bombardowaniu strona polska zwróciła się do Niemców o zawieszenie broni i można było wyjść „na miasto”. Zburzone, dopalające się domy, tu i ówdzie nieuprzątnięte zwłoki ludzi i truchła zwierząt, mdły zapach unoszący się w powietrzu – wszystko razem okropne. *Vae victis!*

Do tego doszedł głód; prawdziwy, dotkliwy głód. Pod koniec września nie było co jeść. Zapasy Urszulanek już się wyczerpały, bo mieszkańców stale przybywało. Nie były to studentki z prowincji, lecz mieszkańcy spalonych, czy zburzonych domów. Urszulanki po prostu przyjmowały ich, dopóki było miejsce. Nie zapomnę widoku siostry Urszulanki z wielkim nożem w ręce, próbującej na ulicy wykroić kawał mięsa z zabitego konia. Chciałem, żeby jej się udało – nie wyszedłem jednak, żeby jej pomóc. Wstydziłem się, bo nie ruszył się też żaden z dorosłych mężczyzn, których było tam kilku. Być może wtedy dotarło do mnie po raz pierwszy, że zawsze trzeba postępować zgodnie z własnym sumieniem i nie sugerować się postępowaniem innych.

Tymczasem u Urszulanek działo się coraz gorzej. Mieszkańców przybywało, zrobiło się ciasno i głodno, a do tego doszły kłopoty jeszcze gorzej - niedostatek wody. Wszystko razem było koszmarnie. Uznaliśmy z siostrą, że nie czekamy w Warszawie na rodziców. Idziemy do dziadków. Nie było to blisko. Trzeba było przejść około 140 km. Ruszyliśmy dziewiątego października rano, każde z nas z dość ciężką walizką. Pierwszego dnia dotarliśmy do Serocka, zaczęło się już zmierzchać. Byliśmy śmiertelnie zmęczeni i głodni, bo Urszulanki dały nam na drogę po dwie kromki chleba i półlitrową butelkę wody.

W Serocku pukaliśmy kolejno do wszystkich drzwi – nikt nie chciał nas przyjąć na nocleg. Przyjął nas wreszcie chyba najuboższy mieszkaniec Serocka, z zawodu szewc. Spaliśmy na podłodze, biegały po nas myszy, czy szczury, było zimno i głodno, bo szewc nie miał nic do zaoferowania, co

zresztą na wstępie wyraźnie powiedział. Na śniadanie pani szewcowa zrobiła nam coś, czego nie potrafię nazwać. Była to ciemna, bardzo grubo zmielona mąka, którą wsypana na gotującą wodę, nie soloną, bo soli nie mieli. Trzeba było to zjeść, a głód jest najlepszym kucharzem – jak głosi niemieckie przysłowie (*Hunger ist der beste Koch*).

Podziękowaliśmy gospodarzom i ruszyliśmy w dalszą drogę, ale daleko nie doszliśmy. Bardzo bolały mnie nogi, każdy krok sprawiał mi silny ból; po prostu nie mogłem iść. Siedliśmy więc w przydrożnym rowie, co nie było dobrym rozwiązaniem, bo pogoda zrobiła się fatalna: padał śnieg z deszczem, było zimno i wietrznie, a poza tym ochlapływały nas błotem niemieckie samochody wojskowe, zmierzające w kierunku Warszawy. Było beznadziejnie: siostra popłakiwała, ja starałem się od płaczu powstrzymać i udawało mi się to, chociaż z największym trudem.

I stał się cud: przed nami zatrzymał się niemiecki wojskowy samochód ciężarowy, wysiadł z niego żołnierz i powiedział „*Was macht ihr denn da, Kinder?*” (co tu robicie, dzieciaki?). Byłem po dwóch latach nauki niemieckiego u dobrych nauczycieli i odpowiedziałem mu, że chcemy iść do dziadka, ale nie mamy już siły, bo idziemy aż z Warszawy. Żołnierz zapytał jeszcze, gdzie ten dziadek mieszka, spojrzal na mapę i powiedział „*Macht's gut, drauf*”, co znaczyło w wolnym tłumaczeniu „dobra, wsiadajcie” i za chwilę byliśmy już w samochodzie. W samochodzie zapytał nas, czy jesteśmy głodni, a usłyszawszy, że tak i to bardzo, wyjął ze schowka dwie czekolady i dał je nam, mówiąc: „*Isst, aber langsam*” (jedzcie, ale powoli). Żołnierz podwiózł nas niemal do Przasnysza, ale z ostrożności do miasta nie wjechał, bo miał jechać do Makowa, a Przasnysz wcale nie był po drodze. Nauczyłem się wtedy, że wróg nie musi wrogiem, a na rodaka nie zawsze możesz liczyć w potrzebie. Nie narodowość, lecz empatia decydują jakim jesteś człowiekiem.

U dziadka było nam dobrze, wreszcie najadaliśmy się do syta, mieliśmy towarzystwo, bo zjechały dwie ciotce, żony oficerów, z których jeden – wybitnie zdolny – był wykładowcą w Szkole Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej (Komorowo), a drugi – mniej zdolny, ale legionista – był kapitanem w 33 pułku piechoty, stacjonującym w Łomży.

Niemców tu na wsi nie widzieliśmy, wojna była gdzieś daleko i miała się na wiosnę skończyć – oczywiście zwycięstwem Anglii i Francji. Dobry nastrój zepsuł nam dziadek, który gdzieś w listopadzie zaprosił moją siostrę i mnie do swojego pokoju i odezwał się mniej więcej tak: „*Kochane dzieci, trudno mi o tym mówić, ale musicie zdać sobie sprawę, że Wasi rodzice*

pewnie już nie wrócą. Działania wojenne skończyły się w Polsce przed miesiącem, a przez miesiąc można z każdego miejsca w okupowanej przez Niemców części Polski dojść do nas na piechotę. Musicie więc liczyć się z najgorszym." – i dalej w podobnym duchu. Byliśmy z siostrą załamani.

Trudno sobie wyobrazić, jaka była nasza radość, gdy dosłownie kilka godzin później na podwórzec wjechał wóz zaprzężony w dwa piękne konie, z naszym tatą, jako woźnicą. Wóz i konie dostał od 11 pułku ułanów, który skończył swój szlak bojowy gdzieś w okolicach Rawy Ruskiej. Radość nasza przekraczała wszelkie granice – mamy znów mamę i tatę. Są żywi i cali. Przeżyjemy tę wojnę, bo wkrótce się skończy zwycięstwem Anglii i Francji. Mocno w to wierzyliśmy. Stąd nauka: nie trać nigdy nadziei, bo nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

Od dziadka wyprowadziliśmy się już wkrótce, jak tylko ojciec znalazł jakieś locum w Przasnyszu. Nie mieliśmy żadnych mebli, spaliśmy na podłodze, było ciężko, ale dzięki pomocy życzliwych ludzi i po podjęciu pracy przez tatę i siostrę dawaliśmy sobie jakoś radę. Ja już pierwszego dnia po przyjeździe wyszedłem „na miasto” w nadziei, że spotkam jakiegoś kolegę, czy koleżankę z I klasy gimnazjum, czy ze szkoły powszechnej. Miałem szczęście – spotkałem mojego najbliższego kolegę, z którym siedziałem w jednej ławce przez ostatnie dwa lata szkoły powszechnej i w I klasie gimnazjum. Nazywał się Jerzy K. i wraz ze starszym bratem działał czynnie w Związku Harcerstwa Polskiego. Jurek miał niemieckie nazwisko i był ewangelikiem. Jego ojciec był nauczycielem w nieodległej wsi, do której codziennie dojeżdżał na rowerze. Szefował też miejscowej, kilkunastoosobowej parafii ewangelickiej.

Widok kolegi bardzo mnie ucieszył. „*Cześć Jurek*” - zawołałem, podbiegłem do niego, uściskałem i zalałem potokiem słów, którymi chciałem wyrazić radość, że najgorsze już za nami, a teraz musimy jeszcze trochę poczekać, wojna się skończy i zaczniemy znów się uczyć każdy w swojej szkole. Jurek spojrział na mnie zimno i rzekł: „*Po pierwsze nie Jurek, tylko Georg, po drugie nie cześć, tylko Heil Hitler, po trzecie, jeśli chcesz ze mną rozmawiać, to tylko po niemiecku. A teraz spieprzaj.*” Zrozumiałem wtedy, że przyjaźń może być sezonowa i może zależeć od koniunktury. To było cenne doświadczenie życiowe i nie zapomniałem go nigdy. Zaoszczędziło mi ono pewnych rozczarowań.

Tymczasem moja „bliska ojczyzna”, czyli północne Mazowsze, została uroczyście włączona do Rzeszy i nazwana *Südostpreussen* (po polsku: Południowe Prusy Wschodnie). Na władcę tej krainy Hitler wyznaczył gau-

leitera Prus Wschodnich, Ericha Kocha i ten zajął się dalszym ustawodawstwem. Ustanowiono w nim między innymi obowiązek pracy dla Polaków w wieku od 14 do 65 lat. Szkół nie przewidziano żadnych, nawet zawodowych. Szef SS, Heinrich Himmler, uznał, że Polakom wystarczy umiejętność liczenia do stu i biegłość w pisaniu, ograniczona do zdolności podpisanie się własnym nazwiskiem.

Nieco później Reichstag uchwalił *Polenstrafgesetz* (prawo karne dla Polaków). Różniło się ono od normalnego prawa, obowiązującego w Rzeszy, głównie tym, że za takie samo przestępstwo, czy wykroczenie przewidywano inne kary – dla Polaków wielokrotnie wyższe. Ustanowiono też nowe rodzaje przestępstw, zwłaszcza w dziedzinie zachowań damsko – męskich. Tu kara dla Polaka była jedna: kara śmierci.

Pamiętam dobrze, jak w *Preussische Zeitung* czytałem entuzjastyczny artykuł na temat prawa karnego dla Polaków. Tytuł tego artykułu był łaciński: *Suum Cuique*. Słowa te były dewizą orderu Orła Czarnego, najwyższego pruskiego odznaczenia państwowego, ustanowionego przez Fryderyka Wielkiego. *Suum Cuique* w wolnym tłumaczeniu znaczy „każdemu to, co mu się należy”. Autor tego artykułu, bez wątpienia inteligentny człowiek, dowodził, że rodaka, który zbłądził i lekkomyślnie złamał prawo, np. przywłaszczając sobie cudze dobro, nie wolno traktować tak samo, jak Polaka, który skłonność do przestępstw, a nawet zbrodni, ma wpisaną w geny. Niemca należy reedukować, Polaka trzeba eliminować, bo reedukacja mu nie pomoże. Pomyślałem sobie wtedy, a później utwierdziłem się w tym przekonaniu, że hurtowe kwalifikowanie ludzi według ich narodowości, to skrajna głupota, chociaż wcześniej nie zawsze tak uważałem.

Po formalnym przyłączeniu północnego Mazowsza do Niemiec ludność polska doznawała coraz większych upokorzeń i miała świadomość, że została wyjęta spod prawa. Zakupy w sklepach mogliśmy robić tylko w godzinach od 12 do 14, a niektórych artykułów (np. białego pieczywa – kartek wtedy jeszcze nie było) Polakom nie sprzedawano. Przed umundurowanym Niemcem trzeba było zdjąć czapkę, bo inaczej można było nieźle oberwać. Doświadczyłem tego na własnej skórze i był to dla mnie wielki wstrząs. Marzyłem o zemście i przed końcem wojny miałem okazję, by ją zrealizować. Nie skorzystałem ze sposobności i wcale tego nie żałuję. Czasami z marzeń trzeba zrezygnować, zwłaszcza, gdy łączą się one z niezawinioną szkodą dla innych ludzi.

Wiosną 1940 roku aresztowany został mój dziadek i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen - Gusen. Dziadek miał już prawie

70 lat i jedynym powodem jego aresztowania mógł być fakt, że w latach 1919 - 1923 był posłem na Sejm Ustawodawczy, a potem do roku 1928 - senatorem RP.

Kilka tygodni później przed dom dziadka zajęchały dwa samochody: osobowy z niemieckimi policjantami i ciężarówka. Wszyscy mieszkańcy zostali wezwani do opuszczenia domu w ciągu godziny. Każdy mógł zabrać pakunek o wadze do 10 kg. Chodziło tu o moją babcie, jej dwie córki - żony oficerów, którzy znajdowali się w niewoli (jeden w sowieckiej, drugi w niemieckiej) oraz dwoje dzieci. Wszyscy zostali wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa, a gospodarstwo moich dziadków przejął Niemiec z Łotwy.

W sierpniu 1940 r. otrzymaliśmy telegram, podpisany przez komendanta obozu koncentracyjnego, z wiadomością, że dziadek zmarł na zawał serca. Kilka tygodni później niemiecki listonosz przyniósł nam sporą paczkę z klauzulą „porto opłaca odbiorca”. Zawartością tej paczki była podarta, zakrwawiona koszula, podarte cywilne spodnie i także marynarka, buty bez podeszew oraz metalowa puszką, na której napisane było nazwisko dziadka i jego numer obozowy. Mogliśmy przypuszczać, że zawiera ona prochy dziadka, najprawdopodobniej jednak było to cokolwiek z krematorium. Wkrótce szefowie obozów prawdopodobnie dostali instrukcje, żeby nie bawić się w wysyłanie paczek i nie obciążać poczty takimi przesyłkami.

Byłem z babcie i dziadkiem bardzo związany. Mniej więcej do dziesiątego roku życia bawiłem u nich chyba każdego lata, szalałem w sadzie i w ogrodzie, „asystowałem” z pewnej odległości przy układaniu stert i młócce (byłem przekonany, że młockarnia to największa maszyna na świecie, bo większych nie widziałem), nosiłem pasterzowi (według ówczesnej terminologii „pastuchowi”) „trojaczki” z obiadem, starałem się być użyteczny. Byłem przekonany, że Sokołowo, to idylla, której autorami są dziadkowie. To, co spotkało ich ze strony niemieckich okupantów, nie mieściło mi się w głowie. Za co, jakim prawem, jak mogli dobrym ludziom zgotować taki los? Gdzie jest Bóg, dlaczego taka jest wola Jego? Nie mogłem tego wszystkiego zrozumieć, powstały wątpliwości, które, niestety, z biegiem lat się pogłębiały i pozostały do dziś. Pojawiło się sokratesowskie „Wiem, że nic nie wiem.” Ślad po traumie, jakiej wtedy doznałem, tkwi na stałe w mojej podświadomości.

W maju 1940 r. skończyłem 14 lat i stałem się „*arbeitspflichtig*”, czyli zobowiązany do podjęcia pracy. *Arbeitsamt* (Urząd Pracy) zakwalifikował mnie do zawodu „chłopiec na posyłki” (*Laufbursche*) i skierował do instytucji o długiej nazwie: *Heeresstandortverwaltung*, którą po polsku nazwali-

byśmy „administracją garnizonu wojskowego”. Prócz mnie pracowali tam i inni Polacy: dwie maszynistki, dozorca, kucharka i dwie sprzątaczk. Czas pracy był od 7 do 18,30, z godzinną przerwą obiadową.

Tam poznałem innych Niemców. Ci byli do mnie mili, nigdy nie byłem upokarzany, nikt bez powodu nie powiedział mi złego słowa. Po roku zostałem awansowany na *Bote*, czyli woźnego. W Wigilię wszyscy polscy pracownicy biurowi zostali zaproszeni do wspólnego stołu i każdy dostał swój *bunter Teller* (dosłownie: kolorowy talerz, czyli talerz wypełniony słodyczami), taki sam, jak Niemcy. W pracy czułem się bezpiecznie. Nauczyłem się dobrze pisać na maszynie, a przede wszystkim nabrałem takiej wprawy w języku niemieckim, że niektórzy interesanci nie chcieli uwierzyć, że nie jestem Niemcem.

Horzej było po wyjściu na ulicę. Tam mogłem być pod byle pozorem zatrzymany, zwymyślany, pobity, uderzony w twarz, czy kopnięty, a nawet poszczuty policyjnym psem. Zaliczyłem każdą z tych kategorii.

No więc jacy byli ci Niemcy? Sam nie wiem, ale jednego jestem pewien: byli różni, podobnie jak my, ale z natury są zdyscyplinowani. Jak przyjdzie rozkaz, to go wykonają, bez względu na okoliczności. I to właśnie było (a może jest?) przerażające.

Pod koniec roku 1940 rodzice doszli do wniosku, że z różnych przyczyn, a przede wszystkim z powodu stałego zagrożenia wysiedleniem (wysiedlenia były bardzo brutalne i przebiegały zgodnie ustalonym schematem: ciężarówka, 10 kg na osobę, Generalne Gubernatorstwo, wysiadka w pierwszej lepszej miejscowości i radźcie sobie sami) lepiej będzie, jak dobrowolnie przeniesiemy się do tej tymczasowo przydzielonej Polakom krainy.

Rodzice złożyli odpowiedni wniosek i wkrótce nadeszła zaskakująca odpowiedź: „*Panie mogą wyjechać, panowie zostają – decyzja jest nieodwołalna.*” Na zapytanie - „*dlaczego ?*” - odpowiedź brzmiała: „*Robimy w GG łapanki na ludzi, żeby ich wywieźć do pracy w Niemczech; nie będziemy więc wypuszczali z Sudostpreussen zdolnych do pracy mężczyzn, żeby ich potem łapać w GG.*” Trudno temu rozumowaniu odmówić logiki. Tak więc mama i siostra wyjechały do Radomia, gdzie miały zapewnione locum, a ojciec i ja zostaliśmy w południowo-wschodniopruskim Przasnyszu.

Spokojne życie w pracy nie oznaczało, że w jakimkolwiek stopniu godziłem się z ówczesną sytuacją. Wiedziałem, że istnieje ruch oporu (wtedy nazywano go po prostu „konspiracją”), że w „Gubernatorstwie” działają oddziały partyzanckie, że w Warszawie dokonywane są zamachy na niemieckich funkcjonariuszy i donosicieli. Raz w tygodniu miałem szanse na

słuchanie radia londyńskiego w języku polskim i każdorazowo z wrażenia serce biło mi jak młot. Odbiór był fatalny, ale wiadomości podnosiły na duchu. Na marginesie dodam, że słuchanie nieprzyjacielskich stacji radiowych przez Polaków traktowane było jako zdrada główna i z zasady karane śmiercią.

Nie domyślałem się w najmniejszym stopniu, jak głęboko w ówczesną konspirację na terenach przyłączonych do Rzeszy zaangażowany był mój ojciec. Zrozumiałem dopiero, gdy 8 września 1942 r. do biura *Heeresstandortverwaltung Praschnitz* wkroczyli gestapowcy i najważniejszy z nich zwrócił się do mnie (tak!) z następującą „mową”: *„Mam polecenie aresztowania dwóch waszych polskich robotników, a mianowicie: Smolenski Henryk und Smolenski Sławomir. Gdzie mogą ich znaleźć?”* Ja nie odpowiadałem, a mój niemiecki szef wyjął z biurka listę pracowników i drżącymi rękami przewracał kartki, jakby nie wiedział o kogo chodzi.

Gestapowiec patrzył ze zdziwieniem to na niego, to na mnie, a ja wreszcie odezwałem się mówiąc, że prawdopodobnie chodzi o mojego ojca i o mnie, ale to chyba jakieś nieporozumienie. Na to gestapowiec westchnął głęboko i powiedział: *„No to mamy ptaszka”*, wyciągnął z kieszeni kajdanki i zakął mnie. Pamiętam to zdarzenie, jakby miało miejsce przed chwilą, pamiętam każde wypowiedziane słowo, pamiętam co myślałem, gdy gestapowiec prowadził mnie przez rynek do siedziby policji, pamiętam każdy rys twarzy tego gestapowca. Gestapowiec zaprowadził mnie do jakiegoś pustego pokoju, popchnął pod ścianę, kazał się nie odwracać i wyszedł. Po kilku godzinach stania zrobiło mi się słabo i upadłem, robiąc przy tym trochę hałasu.

Do pokoju wszedł miejscowy policjant, podniósł mnie i zapytał: *„Co ty właściwie przeskrobałeś człowieku, powiedz, bo cię tak potraktują jak twojego ojca. Oblewają go teraz wodą, bo zemdlął, ale jak oprzytomnieje, to przesłuchanie będzie przeniesione do pokoju obok, żebyś mógł wszystko słyszeć. A tak w ogóle, to masz szczęście, że ja tu wszedłem. Jeszcze dwie, trzy godziny i byłoby po tobie. Musiałeś chyba wiercić się i ruszać rękami, bo te kajdanki zaciskają się automatycznie, jeśli zakuty wykonuje jakieś gwałtowne ruchy. Dłonie masz już sine.”* To mówiąc zluzował mi kajdanki. Poczułem niewypowiedzianą ulgę, która za pół godziny przerodziła się w koszmar, bo stało się tak jak powiedział mi policjant: Musiałem być niemym świadkiem przesłuchiwania mojego ojca. Słyszałem świst bykowca, którym bili ojca, słyszałem jego krzyki i protesty, słyszałem wrzaski gestapowców, odgłosy uderzeń i wszystko inne. Wiem, że ojciec nic im nie po-

wiedział. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że po jego aresztowaniu nikt już w mieście nie został zatrzymany z oskarżenia o antyniemiecką konspirację.

Nie wolno mi zapomnieć o jednej jeszcze sprawie: mojego ojca gestapowcy nie aresztowali ani w domu, ani na ulicy - zgłosił się sam na policję. Zgłosił się, bo myślał, że gestapowcy wzięli mnie „w zastaw” - nie znaleźli ojca, to zabrali syna. Tak jednak nie było - stanowiłem samodzielną pozycję w ich rejestrze. Nie wiem, jak potoczyłyby się moje sprawy, gdyby ojcu udało się uniknąć aresztowania. Myślę jednak, że zupełnie inaczej. Jest mi wstyd za siebie samego, ale nieraz myślę: Tato, uratowałeś mi życie.

Aresztowanie ojca miało jednak negatywne konsekwencje dla około trzydziestu mężczyzn (plus ja, bo w wieku szesnastu lat nie jest się jeszcze mężczyzną). W miejscowym areszcie były trzy cele – dwie piętnastoosobowe męskie i jedna żeńska – wszystkie zapełnione. Gestapo przypisywało ojcu duże znaczenie i nie chciało, żeby miał jakąkolwiek pośrednią możliwość nawiązywania kontaktów ze światem zewnętrznym. Zarządzono, że ojciec ma być w celi sam – i żadnych odwiedzin. W ten sposób w celi, z trudnością piętnastoosobowej, znalazło się trzydziestu aresztantów. Zrobiło się tak ciasno, że jedyną opcją było stanie. Okno było zabite ukośnie ustawionymi deskami i oczywiście od zewnątrz zakratowane – nie można było go otworzyć. Duszno było niesamowicie, a powietrze zawierało tak mało tlenu, że zapalki się nie zapalały.

W takich warunkach przebywałem do początku października, gdy pewnego dnia wywołano około dziesięciu więźniów, polecono im zabrać swoje rzeczy i wyprowadzono ich z celi. Co się z nimi stało – nie wiem. Optymiści uważali, że załatwiono ich sprawy sądowe w trybie przyspieszonym: uznanych za winnych rozstrzelano, lub przeniesiono do normalnych więzień i obozów pracy przymusowej, uznanych za niewinnych puszczono do domu. Ja w każdym razie na tym skorzystałem, bo w celi zrobiło się luźniej – jako więzień ze stażem awansowałem „na pryczę”, co oznaczało, że mam prawo na niej spać, a nie jak dotąd – na podłodze.

Tam też przeżyłem swoje pierwszej jak dotąd jedyne w takim wymiarze, wydarzenie, nazwijmy je: transcendentalne. Była noc. Z jakichś powodów obudziłem się i chciałem przewrócić się na drugi bok, ale żeby to zrobić, trzeba było wstać, bo obrót na leżąco naruszał terytorium sąsiadów z obu stron. Wtedy zobaczyłem nieznanego mi mężczyznę. Był w niebieskiej koszuli, ręce miał splecione z tyłu, podszedł do pryczy i posuwał się dalej, co było fizycznie niemożliwe, bo musiałby na nią wejść. Nakryłem kocem

głowę i nie chciałem już patrzeć – przestraszyłem się. Po chwili ciekawość zwyciężyła, otworzyłem oczy i widzę go znów – tym razem szedł do drzwi, zatrzymał się tam i powoli rozplątywał się w jakiejś mgle.

Rano zapytałem starszego celi (to był więzień z najdłuższym stażem), czy za jego czasów siedział tu facet, który miał niebieską koszulę i lubił spacerować po celi. Starszy odpowiedział: „Oczywiście, był taki. Nazywał się *Ropelewski* i rzeczywiście, jak tylko było to możliwe, to chodził po celi. Miał jedną koszulę – niebieską. Ale jego już dawno rozstrzelali”. Wtedy i później próbowano mnie przekonać, że to był tylko sen. Ja nie wiem, co to było, ale jednego jestem pewny – to nie był sen. Niezależnie od tego, czy to był sen, czy nie, to nadszedł taki czas, że Gestapo przypomniało sobie o mnie. Był to chyba dzień 20 października. Do naszej celi weszło dwóch policjantów, wywołali mnie, zakuli w kajdanki, zaprowadzili do siedziby policji i popchnęli do jednego z pomieszczeń.

Tam czekał na mnie młody człowiek w mundurze SS i jakiś starszy pan w cywilnym ubraniu. Gestapowiec upewnił się czy ja, to jestem ja, starszemu panu powiedział, że jako tłumacz nie będzie potrzebny i może sobie poczytać gazetę. Zaczęło się przesłuchanie: najpierw standardowe pytania o dane osobowe, a potem *ad rem*: „Czy należałeś..., czy wiedziałeś..., czy słuchałeś...czy czytałeś..., czy znałeś..., co byś zrobił, gdyby...” itd.itd. Pierwsza moja odpowiedź nie przypadła mu do gustu – najpierw uderzył mnie w twarz, potem poprawił bykowcem. To uderzenie bykowcem miało dla mnie fatalny skutek – koniec bykowca zaczępił o lewe oko, uszkodzona została rogówka, a końcowym efektem, który ujawnił się dopiero po kilku latach, jest jednooczność.

Nie wiem, jak by sprawy się potoczyły, gdybym nie odważył się powiedzieć, że niepotrzebnie mnie bije, gdy mówię prawdę. „Czy, żeby nie być bitym, mam klamać?” - zapytałem. Nie odpowiedział, ale wydawało mi się, że dało mu to do myślenia, bo nie uderzył mnie już więcej. Przesłuchanie trwało w sumie nie więcej niż dwie godziny, musiałem podpisać odpowiedni protokół. Gestapowiec zawołał policjanta, policjant zaprowadził mnie do celi. W celi wszyscy się ucieszyli, że wróciłem, bo zdania były podzielone.

Na marginesie warto dodać, że jestem jednym z niewielu żyjących jeszcze Polaków, którzy są w posiadaniu pełnej kopii swoich akt autorstwa Gestapo. Jest tam również protokół z przesłuchania z moim podpisem, jak i zalecenia co do mojej przyszłości. Tych mi nie pokazano, przeczytałem je pół wieku później.

Zur Sache:

Ich bestreite ganz entschieden, einer illegalen polnischen Geheimorganisation anzugehören oder wesentlich mit solcher in Verbindung zu stehen. Ich gebe zu, dass ich durch meine häufigen Besuche auf Gut Ruda bei Praschnitz in den Verdacht geraten konnte, einer Geheimorganisation anzugehören. Ich habe bestimmt nicht gewusst, dass der Vater meines Freundes, der Pole

Marian A r c t,

für eine Geheimorganisation tätig ist. Ich hätte meine Besuche eingestellt, um nicht in den berechtigten Verdacht zu kommen, mich in irgendeiner Form staatsfeindlich zu betätigen.

Mir ist auch nicht bekannt, dass sich mein Vater in irgendeiner Weise illegal politisch betätigt hat. Ich habe jedenfalls mit meinem Vater über solche Angelegenheiten nicht gesprochen und auch nie bemerkt, dass er Besuche von mir unbekanntem Polen erhalten hat. Illegale polnische Druckschriften habe ich weder bei meinem Vater gesehen noch selbst erhalten. Es sind mir auch keine Personen bekannt, die solche Druckschriften erhalten oder gelesen haben. Die Polen G u d z, S z o s e p a n s k i und noch einige weitere Polen, die von der Geheimen Staatspolizei gesucht werden, sind mir bekannt. Ich weiss jedoch nicht, weshalb sie gesucht werden. Von dem Bestehen einer Geheimorganisation in Praschnitz war mir bis vor kurzer Zeit nichts bekannt. Erst nach den im Laufe des Jahres und im letzten Monat durchgeführten Festnahmen, ging das Gerücht in Praschnitz herum, dass dort eine Geheimorganisation bestehen sollte und dies der Anlass zu den durchgeführten Festnahmen sei. Genaueres konnte ich hierüber nicht in Erfahrung bringen und habe mich auch wenig um die Angelegenheit gekümmert, weil mich diese Vorfälle nicht interessierten, da ich nicht daran beteiligt war. Auf Verhalt erkläre ich noch mal, dass ich keiner Geheimorganisation angehöre und mich noch nie politisch betätigt habe. Ich habe die Wahrheit gesagt und nichts verschwiegen.

v. g. u.

Geschlossen:

Kriminaloberassistent.

Gdybym o nich wiedział, to czułbym się w Generalnym Gubernatorstwie bezpieczniej i nie chodziłbym z fałszywą kenkartą, z którą mogłem prędzej wpaść niż z prawdziwą. Akta te nazywają się *Personalbogen des spionagepolizeilich in Erscheinunggetretenen* – co w wolnym tłumaczeniu znaczy: „Arkusze personalne osoby interesującej z punktu widzenia kontrwywiadu”.

Mniej więcej po trzech tygodniach do naszej celi wszedł policjant i krzyknął: „*Kempa und Smolenski, alles fertig machen*” (przygotować wszystko), co było standardową „odzywką” i mogło znaczyć, że:

- a) zwalniają cię z aresztu,
- b) przenoszą cię do innego więzienia,
- c) idziesz na rozwałkę.

Nie byłem dobrej myśli, gdy policjant zakładał mi kajdanki. Policjant zaprowadził nas do znanej mi już komendy policji, a potem pojedynczo wprowadził do pokoju, w którym było pełno policjantów, a wśród nich powiatowy komendant policji. Komendant kazał mi usiąść i wygłosił do mnie krótką mowę, z której wynikało, że nie ma dowodów, abym był zamieszany w spisek przeciwko Rzeszy Niemieckiej i w związku z tym zostaję zwolniony z więzienia. Mam iść do pracy i trzymać się z dala od polityki. Jeśli nie, to moja głowa spadnie (sądowe wyroki śmierci wykonywano w Niemczech za pomocą gilotyny).

Mogłem iść do domu, ale już go nie miałem. Nasze mieszkanie było zajęte przez kogoś mającego chody w Urzędzie Mieszkaniowym. Na szczęście znalazła się osoba, która zapewniła mi nocleg na jakiś nieokreślony czas. Była to żona jednego z wcześniej w tej samej sprawie aresztowanych Polaków. Jej syn, Zbyszek, był moim najlepszym kolegą. Miałem gdzie spać, a wtedy to najbardziej mnie interesowało.

Następnego dnia odwiedziłem mojego pracodawcę z czasu przed aresztowaniem. Nazywał się Petrat i pochodził z Insterburga w Prusach Wschodnich. Insterburg nazywa się obecnie Czerniachowsk w obwodzie kaliningradzkim (Kalinin to jeden z sześciu dżentelmenów, którzy podpisali się pod wnioskiem Berii o zlikwidowanie wziętych do niewoli oficerów Wojska Polskiego).

Zahlmeister (kwatremistrz) Petrat powiedział mi, że zgodnie z przepisami musiał mnie zwolnić z pracy, ale jeśli tylko chcę, to zatrudni mnie na nowo. Był święcie przekonany, że mój ojciec też zostanie w najbliższych dniach zwolniony. A tak w ogóle to „wszystko, co was ostatnio spotkało, to było jedno wielkie świństwo”. Porządny facet był z tego Petrata.

Tego samego dnia spotkałem policjanta, którego pamiętałem, bo rozluźnił mi kajdanki w dniu mojego aresztowania. Zatrzymał się i zapytał mnie: „*A wiesz ty przynajmniej, dlaczego cię puścili?*” Odpowiedziałem, że oczywiście wiem – bo nic złego nie zrobiłem. Na to policjant „*Głupi jesteś chłopie. Puścili cię, bo czytasz właściwe gazety*”. Zdumiałem się – jakie gazety? Co on plecie? Po chwili zrozumiałem: przecież ja regularnie kupowałem „*Das Schwarze Korps*” – prasowy organ SS. Czytanie jego ostatnich dwu stron sprawiało mi po prostu rozkosz – byłem wtedy szczęśliwy.

Te strony były z zasady wypełnione nekrologami poległych na froncie wschodnim żołnierzy i oficerów Waffen SS. Z wielką przyjemnością studiowali ich treść i wyobrażałem sobie okoliczności, w których SS-mani dostawali śmiertelny cios. Wstyd powiedzieć, ale służyło wtedy na mnie jakieś ukojenie i satysfakcja: a więc was też można ubić, takie syny! Numery „*Das Schwarze Korps*”, które były szczególnie bogate w nekrologi, chowałem w tapczanie i co jakiś czas do nich wracałem. Oczywiście, w trakcie rewizji gestapowcy znaleźli je i na szczęście błędnie zinterpretowali fakt zbierania ich przeze mnie. Gdyby znali prawdziwy powód, nie puściliby mnie na pewno.

Byłem niesamowicie zaskoczony, gdy trzeciego, czy czwartego dnia po zwolnieniu z aresztu spotkałem moją mamę. Okazało się, że mama dostała depezę z Przasnysza, poświadczoną przez niemieckiego lekarza (nazywał się Bong – czytaj Bąk) i podpisaną nazwiskiem, które jej nic nie mówiło. Treść depezy była następująca „*Bitte, sofort kommen. Ehe mann schwer erkrankt*”, co znaczyło: „małżonek ciężko chory, proszę natychmiast przyjechać”.

Mama na podstawie tej depezy dostała pozwolenie na wyjazd i prosto z pociągu udała się do więzienia (o aresztowaniu męża i syna wiedziała już wcześniej). Bez większych kłopotów wpuszczono ją do środka i dalej do celi jej męża, czyli mojego taty. Prawdopodobnie nie było akurat niemieckiego szefa, a dozorca, jak zobaczył tekst po niemiecku, plus niemiecką pieczętkę, to uznał, że jest dostatecznie „kryty” i wpuścił petentkę do celi. Tam dowiedziała się, że tata próbował popełnić samobójstwo, ale dawka trucizny (było to jakieś lekarstwo, którego przedawkowanie prowadzi do śmierci) okazała się za mała i spowodowała tylko trzydniową śpiączkę. Specyfik ten dostarczył mojemu ojcu w nieznanym mi sposób polski lekarz z miejscowego szpitala dr Michał Wąsowski.



Tablica upamiętniająca miejsce stracenia żołnierzy AK, m.in. Henryka Smoleńskiego, ojca Autora, Pultusk, grudzień 1942 r.

Następnego dnia po wizycie żony tata został wywieziony w nieznanym kierunku i straciliśmy z nim wszelki kontakt. W przeddzień Bożego Narodzenia 1942 r. dowiedzieliśmy się, że 17 grudnia we wszystkich miastach „Południowych Prus Wschodnich” odbyły się publiczne egzekucje Polaków oskarżonych o przynależność do tajnej polskiej organizacji ZWZ. Mój ojciec razem z trzema innymi więźniami politycznymi stracony został w Pultusku. Każdego roku odwiedzam jego grób. Mnie uratowało czytanie „właściwych gazet”.

Po przyjeździe do GG nie mogłem się nadziwić, jak ludzie mają tu dobrze: dwujęzyczne napisy, polski magistrat, polskie szkoły podstawowe i zawodowe, polskie sądy orzekające w spornych sprawach między „nie-Niemcami”, a przede wszystkim - i to wydawało mi się najważniejsze - nie

trzeba było zdejmować czapki przed „mundurowymi”. Szybko jednak zorientowałem się, że tę sielankę zakłócają czerwone afisze z nazwiskami Polaków rozstrzelanych w odwet za przeszkadzanie w „niemieckim dziele odbudowy” i dość częste łapanki na ulicach, dostarczające „ochotników” na wyjazd do pracy w Reichu.

Moja znajomość niemieckiego i umiejętność pisania na maszynie sprawiły, że bez trudności dostałem pracę w polskim magistracie – i to jako „kancelista”. W porównaniu do chłopca na posyłki, czy nawet woźnego, był to kolosalny awans. Poza tym legitymacja magistracka była swojego rodzaju immunitetem w przypadku łapanki.

Różne zbiegi okoliczności sprawiły, że wiosną 1943 r. w stosunkowo krótkim czasie udało mi się skontaktować z AK. W Radomiu spotkałem rotmistrza 11 pułku ułanów, który był przyjacielem mojego ojca i dobrze mnie znał. Skierował mnie, gdzie trzeba i wkrótce zostałem dopuszczony do złożenia przysięgi.

W tym czasie poznałem moją przyszłą żonę. Wrażenie wywarła na mnie nie tylko jej uroda, ale również – a chyba nawet w większym stopniu – fakt, że mimo wszelkich trudności nie przerwała ona nauki i przez całą wojnę uczyła się na tajnych kompletach szkolnych. Chociaż młodsza ode mnie, przerabiała już pierwszą klasę liceum, podczas gdy mój jeden rok w Korpusie Kadetów odpowiadał zaledwie II klasie gimnazjum. Wiedziałem, że ojciec mojej przyszłej żony zginął w obozie koncentracyjnym w Majdanku. Znalazł się tam w wyniku aresztowań, przeprowadzonych w Generalnym Gubernatorstwie w przeddzień naszego święta narodowego – 11 listopada 1942 r.

Silniejsze od zauroczenia dziewczyną było jednak marzenie o pójściu do lasu. Na to trzeba było jednak zasłużyć, no i trochę poćwiczyć. Gdy jedno i drugie było już za mną, kazano mi zgłosić się w księgarni Jakubca przy ulicy Żeromskiego i zapytać o przewodnik grzybiarski. Tak zrobiłem i wtedy poproszono mnie o przejście na zaplecze. Tam miła dziewczyna zapytała, jak chciałbym się nazywać, jaka data urodzenia by mi odpowiadała itd. Ustalony z góry miałem tylko adres – były to Kielce i jakaś ulica, której nazwy oczywiście już nie pamiętam. Powiedziano mi też, że za kilka, czy kilkanaście dni ktoś się do mnie zgłosi, zapyta jak się nazywam, a ja mam podać mu nazwisko, które wybrałem w księgarni i zastosować się do jego poleceń.

Rzeczywiście, wszystko odbyło się według tego scenariusza i któregoś czerwca 1944 r. siedziałem już w lorze, jednej z wielu doczepionych do

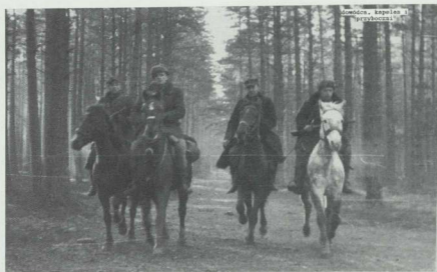
lokomotywy jadącej na wschód. Wraz ze mną wsiedli do niej, a właściwie wdrapali się, dwaj znajomi chłopcy - Witek Hański i Jurek (?) Jankowski. Byli chyba trochę starsi ode mnie. Zrozumieliśmy się od razu, natomiast bardzo zdziwiliśmy się, gdy po chwili „dosiadł się” podoficer Wehrmachtu w stopniu feldfebla (sierżanta). Był oczywiście około dwa razy starszy niż my, bardzo elokwentny i wyraźnie dążący do wzbudzenia zaufania.

Mniej więcej po godzinie, gdy zbliżaliśmy się już do stacji Garbatka, wyjął z kabury piękny pistolet Parabellum i chyba trzy magazynki do niego z propozycją wymiany: on da nam Parabellum z amunicją, a od nas chciałby dostać spodnie i kurtkę, lub sweter. Nie zgodziliśmy się, oczywiście, argumentując, że w leśnictwie pistolety są niepotrzebne, a w jego mundurze żaden z nas nie mógłby chodzić z oczywistych względów. Pokiwał głową i powiedział, że rozumie – on na naszym miejscu też by się nie zgodził. My w Garbatce wysiedliśmy, on został w lorze. Do tej pory nie jestem pewien, czy to była prowokacja, czy też szczerą propozycją.

W Garbatce ktoś już na nas czekał. Wymieniliśmy hasła i zaprowadzono nas do kwatery. Była to leśniczówka, lub coś podobnego. Mieszkała tam tylko jedna osoba (przynajmniej tylko ją jedną wdzieliśmy) – piękna dziewczyna, naprawdę piękna – widzę jeszcze jej śliczną twarz. Miała, niestety, jedną wadę, która nie pozwalała mi śmiertelnie się w niej zakochać: przy jedzeniu – z wyjątkiem zupy - posługiwała się wyłącznie nożem. Podziwialiśmy jej kunszt przez trzy dni. Gdy i czwartego dnia nikt się po nas nie zgłosił, wyprosiła nas uprzejmie, lecz stanowczo i musieliśmy jak niepyszni wracać do Radomia.

Druga próba zakończyła się sukcesem: pilotowani przez doświadczonych partyzantów, braci Janka i Wieśka Jakubców, dotarliśmy bez przeszkód do miejsca postoju III batalionu, który tworzył z dwoma innymi 72 pułk piechoty Armii Krajowej. Skład naszej grupy był wprawdzie inny, bo zamiast Hańskiego i Jankowskiego byli z nami „Stożara” (Leon Biehler) i „Kruk”, nazywany przez nas „chłopcem z Glinic” (Glinice to była proletariacka dzielnica Radomia).

„Batalion”, to było określenie na wyrost; liczba żołnierzy wahała się w granicach 70 – 80 osób, co z biedą odpowiadało stanowi liczebnemu kompanii. Komendantem mojego oddziału był zawodowy oficer o pseudonimie „Cyprian”. Naszym obszarem działania był rejon Gór Świętokrzyskich. Oddział nasz w tym czasie stacjonował, jeśli można tak powiedzieć, w lasach w okolicy Niekfłania, wsi położonej na SW od Szydłowca.



W futrzanej czapce – dowódca, porucznik „Cyprian”, z prawej kapelan, po bokach „obstawa”

Po nieudanej i z góry skazanej na niepowodzenie próbie dotarcia pod koniec sierpnia z pomocą Warszawy (akcja Burza), oddział powrócił w rodzimy region świętokrzyski. Spełniał tu co najmniej cztery funkcje:

1. Szkolił kadry dla prawdziwego Wojska Polskiego.
2. Chronił mieszkańców przed samowolą zbyt gorliwych, wyznaczonych przez Niemców, polskich wójtów i sołtysów i bardzo skutecznie przeszkadzał w realizacji „obowiązkowych dostaw.”
3. Zmuszał okupantów do utrzymywania w ciągłym pogotowiu jednostek policyjnych i wojskowych (te ostatnie, to prawie całkowicie Ostlegion – Kałmucy i Azerowie).
4. Praktycznie uniemożliwiał działanie niemieckiej administracji cywilnej
5. i ... niestety, narażał mieszkańców na represje, bo jeśli były, to już na większą skalę. Na szczęście, w końcowej fazie wojny w naszym rejonie Niemcy takich represji nie podejmowali.

Powszedni dzień oddziału por. Cypriana, to obowiązkowe patrolowanie okolicy, jak się wtedy mówiło: „w wizjerze lasu”: wysyłanie zwiadu do pobliskich wsi, a po stwierdzeniu, że okolica czysta – obowiązkowe ćwiczenia wojskowe. Dla żołnierzy z określonym stażem szkolnym i party-

zanckim (mała matura plus co najmniej pół roku w lesie) przewidziano „studiowanie podręczników obowiązujących w Szkole Podchorążych Piechoty”. Niestety, taki podręcznik był tylko jeden. Czytał go głośno dyżurny oficer, a czasami ksiądz kapelan (mieliśmy w oddziale prócz komendanta dwóch oficerów).



Patrol partyzancki koło Nieklania. jesień, 1944. Od prawej: strzelec „Stożara”, sierżant „Dziki”, strzelec „Juhas”, strzelec „Mazur” (Sławomir Smoleński).

Najmniej lubiliśmy tzw. patrolowanie nocne, które polegało na tym, że służbowy rozprowadzał po dwóch żołnierzy we wskazane przez komendanta miejsca (zwykle były to skrzyżowania dróg). Po stwierdzeniu niebezpieczeństwa jeden musiał biec do obozu z alarmem, a drugi przebiec w miejsce położone w odwrotnym kierunku niż droga do obozu i stamtąd oddawać pojedyncze strzały. Miało to zmylić wroga.

Na ogół jednak w tym okresie do potyczek dochodziło rzadko, bo obie strony miały dosyć wojowania. Te, które się zdarzały, były na ogół dziełem przypadku i w większości kończyły się powrotem obu stron do baz wyjściowych. Różnica polegała na tym, że my musieliśmy natychmiast zmieniać swoje miejsce postoju, a przeciwnik nie musiał. Oni wracali do koszar lub do ciepłych kwater.



Autor, jesień 1944 r.



*Patrol zimową porą, w zadymce
(zdjęcie oryginalne, to znaczy: nie reżyserowane)*

W grudniu ciepłe kwatery trafiły nam się tylko raz, gdy koło 15 grudnia odwiedziła nas „delegacja” z Radomia w składzie: major XY, porucznik XZ i dwie moje znajome dziewczyny; jedna z nich była córką znanego i bardzo szanowanego radomskiego rejenta, druga mieszkała w tym domu co ja, tyle że piętro wyżej. Spotkanie odbyło się w jakiejś pobliskiej wsi, której nazwy, niestety, nie pamiętam. Spotkanie odbyło się w dwu turach. Gdy jedna połowa oddziału podjadała sobie, śpiewała kolędy i dzieliła się opłatkiem, druga ubezpieczała spotkanie w promieniu 1 km. Podejmował nas sołtys.

Panowie oficerowie wygłosili patriotyczne mowy, z tym że młodszy nie krępował się i wprost powiedział: „*Nie cieszcie się zbyt, że wkrótce Niemcy zostaną przepędzeni i skończy się terror Gestapo. Zacznie się bowiem inna okupacja, kto wie, czy nie gorsza i zacznie się terror bardziej wymyślny w wykonaniu NKWD.*” Zmroziło nas, ale na krótko, bo za chwilę przed każdym postawiono talerz z gorącą pyszną zupą, a do tego jakieś ciasto. Był też opłatek.

Potem sobie pośpiewaliśmy i było miło. Mnie szczególnie, bo w pewnym momencie moja sąsiadka z Radomia podeszła do mnie, podała mi kopertę i powiedziała „to od Ani”. Ania była siostrą jednego z żołnierzy naszego oddziału, znaliśmy się z Radomia i okazywaliśmy sobie sympatię i to wszystko. W kopercie była kartka z następującym tekstem (pamiętam ten tekst, chociaż go nigdzie nie zapisywałem):

Najdroższy Sławeczku, bez trwogi rycerzu,
nie chodź po lesie w rozpiętym kołnierzu,
bo przeziębisz serce i będziesz chorował,
a któż Cię na wsi będzie pielęgnował.
Jak nie wrócisz na Święta, to zginę z rozpaczny,
A czy wiesz, mój rycerzu, co to rozpacz znaczy?

Biedna Ania, nigdy się nie dowiedziała, jaką sprawiła mi przyjemność. Nie było okazji, aby jej to powiedzieć.

W przeddzień Świąt Bożego Narodzenia nasz oddział był już ostatnim lub jednym z ostatnich oddziałów AK w Górach Świętokrzyskich. Inne, z uwagi na warunki atmosferyczne i zbliżającą się linię frontu zostały już zdemobilizowane lub „uśpione”. W dzień przed Wigilią mieliśmy ruszyć do miejsca, w którym broń miała zakonserwowana i ukryta. Ci, którzy w miejscu docelowym powinni o tym wiedzieć, już wiedzieli, kwatery w stodolach i żywność były przygotowane. Cieszyliśmy się z tego, bo dalsze przebywanie w lesie było bez sensu. Z uwagi na duże opady śniegu dowóz żywności

z Szydłowca został wstrzymany – groził nam głód. Spać też nie było gdzie, a w szałasach zrobiło się zimno nie do wytrzymania.



Grupa partyzantów w lesie przy ognisku, grudzień 1944 r. Stoją od lewej: ???, „Juhas”, „Mazur”, „Stożara”. Siedzi drugi od prawej: „Igła”.



Grupa partyzantów w lesie – mycie przy strumyku, grudzień 1944 (przed Wigilią). Drugi z lewej myje się „Mazur”. W kożuchu „Stożara”, obok niego - „Kruk”.



Ćwiczenia przed Akcją „Burza”.



Dalszy ciąg ćwiczeń.



Msza Św. polowa.

Zgodnie z planem ruszyliśmy w drogę. Po kilku godzinach marszu w trudnych warunkach, bardzo zmęczeni, byliśmy już blisko celu, gdy nagle padł rozkaz: „Oddział stać, odbezpieczyć broń, zająć stanowiska.” Okazało się, że szpica wzięła do niewoli dwóch żołnierzy niemieckich i zaistniał problem, czy są oni czołówką rozpoznawczą większego oddziału, czy może dezertierami, bo w tym okresie taka ewentualność też istniała. Tak, czy inaczej sytuacja nie była wesoła: jeńców z zasady nie braliśmy. Obaj śmiertelnie przestraszeni skamlali: „*bitte, nicht erschiessen, bitte, nicht erschiessen*”.

Podszedłem do nich i zapytałem, skąd tu się wzięli. Starszy z nich odpowiedział, że są z jednostki świeżo przybyłej z Czech i zostali wysłani z meldunkiem do innej jednostki. Przejeżdżając obok pięknego lasu pomyśleli, że warto by upolować sarnę i zrobić kolegom prezent. Ten starszy powtarzał swoje „*nicht erschiessen*” i mówił, że jest górnikiem i ma troje dzieci i że „*Hitler kaputt*”. Zrobiło mi się go szkoda, ale cóż, znałem reguły.

Tymczasem zauważyliśmy, że nasz dowódca coś ostro dyskutuje z kapelanem. Po kilku minutach dowódca rozkazał doprowadzić jeńców. Rozmawiał z nimi dobre 15 minut lub nawet dłużej. Potem wezwał swego zastępcę i wydał mu jakiś rozkaz. Zastępca wrócił, wskazał czterech żołnie-

rzy, w tym mnie - wiedział, że dobrze mówię po niemiecku, kazał im wziąć broń, jak również broń odebraną Niemcom. Ruszyliśmy w stronę szosy, gdzie Niemcy zostawili swój motocykl. Po dojeździe do szosy zgodnie z otrzymanym na miejscu rozkazem przedziurawiliśmy obie opony motocykla i oddaliśmy Niemcom ich karabiny bez amunicji. Powiedziałem im, że jest to prezent Armii Krajowej z okazji Świąt Bożego Narodzenia.

Byłem bardzo zadowolony z przebiegu wypadków – po prostu mam tzw. „miękkie serce”. Zmieniłem zdanie, gdy wróciliśmy na miejsce. Oddział już stał uszeregowany. Okazało się, że ze względów bezpieczeństwa nie możemy iść do pierwotnie ustalonego i odpowiednio przygotowanego miejsca. Idziemy gdzie indziej, do innej osady leśnej. Tam jednak nikt nie będzie na nas czekał. Tak też było w rzeczywistości. Byliśmy bardzo rozczarowani, a ja przynajmniej, że przez chwilę pomyślałem: „*Cholera, trzeba było jednak ich rozwalić*”. Teraz wstydzę się tej myśli sprzed 70 lat.

Następnego dnia głodni i niewyspani przystąpiliśmy do zdawania broni. Ci, którzy mieli własną broń, mogli ją zatrzymać. Broń służbową, wyczyszczoną i nasmarowaną, należało zdać. Co się z nią dalej stało – nie wiem. Zwrócono nam też dowody osobiste, przeważnie fałszywe, z którymi zgłosiliśmy się do oddziału. Poza tym każdy otrzymał po 100 złotych na drogę. Stopniowo ruszaliśmy - najpierw ci, którzy mieli najdalej. Wypadło na nas – braci Jakubców, Leona Biehlera, Kruka i mnie. Do Radomia było około 50 km. Jak przebyliśmy tę drogę, nie pamiętam. Z pewnością gdzieś nocowaliśmy, ale nic, nic nie mogę sobie przypomnieć, a nie chcę fantazjować. W każdym razie, wszyscy szczęśliwie dotarliśmy do swych rodzin w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia.

Po powrocie do Radomia „z lasu” w ostatnich dniach grudnia 1944 zastałem tam moją kochaną siostrę z półtoraroczną córeczką. Siostra od swojego zamążpójścia w 1942 roku mieszkała w Warszawie. Jej mąż - lekarz - aresztowany w listopadzie 1943, był więziony w obozie koncentracyjnym w Mauthausen i czekał na wyzwolenie przez aliantów. Moja siostra po upadku powstania warszawskiego, które przeżyła na Żoliborzu, została wypędzona z miasta, podobnie jak cała ludność Warszawy. Po kilkutygodniowej tułaczce dotarła ze swoją córeczką do Radomia. Jej stan posiadania był równy zeru. Straciła dosłownie wszystko. Przy wyjściu z Warszawy własowcy zabrali jej nawet obrączkę, nie mówiąc już o pierścionku i walizce.

Zgodnie z przedwojennym regulaminem, zameldowałem o powrocie mojemu przełożonemu z konspiracji i od dawna wiem, że niepotrzebnie to

zrobiłem. Trzeba było cicho siedzieć. Po kilku dniach zjawił się w moim domu młody człowiek i przekazał mi rozkaz, który brzmiał: „*Stawić się (miejsce, dzień, godzina) przygotowany do podróży z użyciem roweru. Przewidywany czas odkomenderowania – 3 dni*”. Był 10, może 11 stycznia, mroz uumiarkowany, śnieg popadywał.

W oznaczonym czasie zameldowałem się we wskazanym miejscu. Przyjął mnie starszy pan, przedstawił się jako kapitan – tu pseudonim. Wręczył mi kopertę i rozkazał: „*Udacie się na rowerze do wsi XY, znajdziecie dom z numerem XZ, zastukacie 3 razy po 3 stuki, otworzą Wam drzwi, oddacie ten list podchorążemu Kamieniowi i możecie wracać. Rower przyprowadzą Wam za chwilę. A tu macie Parabellum z dwoma magazynkami, gdyby ktoś Was się czepiał. Gdybyście mieli kłopoty innego rodzaju, ludzie Wam pomogą. Jesteśmy w tamtejszych wsiach mocni. Po powrocie zameldujecie się. Wykonać.*”

Rower rzeczywiście już stał przed domem, a przy nim młody człowiek, który mi wytłumaczył jak jechać do tej wioski. Gdy usłyszałem, że droga prowadzi przez Kowalę, ucieszyłem się, bo mieszkał tam mój znajomy, nazywał się chyba Wielowiejski, jego ojciec był wójtem gminy Kowala.

Ruszyłem w drogę. Zgodnie z instrukcją jechałem prawie wyłącznie polnymi drogami, nie napotykając po drodze żywej duszy. Niebo było zachmurzone, ale odgłosy, jakie zaczęły od pewnej chwili coraz intensywniej dochodzić do moich uszu, to nie były pioruny. To był ogień artylerii. Więcej niż odgłosy artylerii zaniepokoił mnie jednak tętent koński, jaki usłyszałem. Obejrzałem się i zobaczyłem jadącego konno niemieckiego oficera, a za nim dalszych dwóch konnych. Pomyślałem sobie „*No, to koniec. Wpadłem. Zanim wyciągnę moją parabelkę, to oni mnie trzy razy zabiją. Szkoda pod koniec wojny tak głupio umierać.*”

Gdy tak czekałem na wyrok losu, a trwało to w sumie nie dłużej niż dwie minuty, trzech konni Niemcy przejechali obok i nawet na mnie nie spojrzeli. Potraktowali mnie jak rzecz niegodną uwagi. Gdy byli już w bezpiecznej dla mnie odległości, zły duch mi podszepnął „*Straciłeś szansę na zostanie bohaterem*”, a mój Anioł Stróż uzupełnił „*Głupim bohaterem, bo szans nie miałeś żadnych.*” Z mojego obecnego punktu widzenia, na pewno rację miał ten ostatni, ale wtedy nie byłem o tym przekonany.

Już się ściemniało, gdy dotarłem do celu. Chociaż cały czas byłem w ruchu, to jednak zmarzłem. Bądź co bądź, to był styczeń. List oddałem pchor. Kamieniowi i byłem przekonany, że będzie za to nagroda: kolacja i

cieple łóżko. Nic z tych rzeczy – zaproponowano mi herbatę i nocleg w stodo-
dole. Nie było wyjścia – skorzystałem. Gdy obudziłem się rano, huku arty-
lerii nie było już słychać, ruszyłem w drogę powrotną.

Przejeżdżając przez Kowalę, głodny i zmarznięty zapukałem do
pierwszego lepszego domu i poprosiłem o pomoc. Gospodarz od razu mnie
zdekonspirował: „*Pan na pewno jest z organizacji, nic tu panu nie grozi,
Niemcy wyjechali już wczoraj wieczorem. Zaraz zawołam szefa.*” Szef w
randze kaprała zameldował się w ciągu 5 minut: „*Panie podchorąży, kapral
Iksiński melduje się na rozkaz*”. Lekko myśląc wyjaśniłem, że nie jestem
podchorążym, tylko szeregowcem, że wykonywałem zadanie w okolicy, a
teraz chcę tylko ogrzać się i coś zjeść, bo od wczorajszego śniadania nic nie
jadłem.

Kapral Iksiński natychmiast zmienił ton: „Skoro tak, to co innego: bę-
dziecie naszym gościem przez co najmniej trzy dni. Mamy tu do omówienia
kilka spraw z kolaborantami, a miejscowi nie mogą ich załatwić. Wy nam
pomożecie. Do Radomia i tak nie dotrzecie, bo między naszą wsią i Rado-
miem jest „ziemia niczyja.” Kolaborantów nie lubiłem, przez front nie
chciałem przechodzić, więc nie było o czym mówić – zostaję.

Dostałem dobry obiad, po którym wskazano mi zupełnie przyzwoity
pokój do mojej dyspozycji. Nie wiem, jak długo spałem, ale nagle obudziły
mnie jakieś hałas, krzyki, płacze, przekleństwa – nie wiedziałem co się
dzieje. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem kłębiącą się gromadkę ludzi mło-
dych i starych, kobiet i mężczyzn. Bili się i szarpali, padały obraźliwe sło-
wa. Po chwili zrozumiałem o co chodzi: młodzi mężczyźni chcieli ogolić
głowy młodym kobietom, a stare kobiety i starzy mężczyźni próbowali im
w tym przeszkodzić. Nie namyślając się długo wyciągnąłem z kieszeni moje
parabellum, strzeliłem w sufit i towarzystwo natychmiast się uspokoiło.

Wezwany przez kogoś kapral Iksiński wyjaśnił mi, że sprawa jest
skomplikowana i każdy ma swoje racje, ale w żadnym przypadku nie wie-
rzy, że te dwie dziewczyny romansowały z kwaterującymi tu niemieckimi
żołnierzami. Rzecz w tym, że według jego wiedzy, raczej nie chciały ro-
mansować z tymi młodymi ludźmi, ale stuprocentowej pewności w takich
przypadkach oczywiście nie ma. „Strony” rozeszły się nawzajem sobie wy-
myślając, a kapral jak urzeczony patrzył na moje parabellum. Przejrzałem
jego myśli i spokojnie mu wytłumaczyłem, że to parabellum należy do pana
kapitana XY i chyba wołałby, żeby pan kapitan po swój pistolet nikogo tu
nie przysyłał. Przytaknął mi grzecznie i zaczął zwracać się do mnie per pan,
a nie, jak pierwotnie, per wy.

„Chodzi o to”, powiedział, „żeby pan pomógł nam w ukaraniu młynarza. To kawał drania, oszukiwał ludzi, wysługiwał się Niemcom. Nadeszła pora, żeby go ukarać. Nikt z nas miejscowych nie może brać w tym udziału, bo a nuż Niemcy wrócą i wtedy będzie po nas – chyba, żebyśmy zamknęli mu usta na zawsze. Ale to oczywiście nie wchodzi w rachubę, wystarczy kara finansowa i porządne lanie. On o pieniądzach wie już od wczoraj i to nie od nas, lecz od wyższej instancji i jest przygotowany, a o karze cielesnej dowie się od pana.” Zastanowiło mnie to „od wczoraj”. Czyżbym to ja tę wiadomość przywiózł do pana podchorążego Kamienia?

Gdy się już ściemniło kapral przyprowadził mi trzech chłopców, 18 – 20-latków. Każdy z nich miał jakąś broń, a jeden dodatkowo coś w rodzaju kawaleryjskiego pejca. Takie pejce mieli kawalerzyści. Używali ich, gdy koń niewystarczająco reagował na ostrogi. Ruszyliśmy w stronę młyna. Tam już na nas czekano. Młynarz był według mojej ówczesnej oceny starym człowiekiem. Miał około sześćdziesiątki. Mógł być moim dziadkiem. Odczytałem mu treść pisma, jakie wręczył mi kapral Iksiński, a które prawdopodobnie ja przywiozłem podchorążemu Kamieniowi. Było ono sformułowane, jak rodzaj wyroku: określało przewinienia i wymierzało karę i to w imieniu Rzeczypospolitej. Karą była konfiskata mienia o łącznej wartości nie wyższej niż 100 000 złotych i chłosta.

Młynarz wysłuchał spokojnie wyroku, wręczył mi paczkę, w której miała być zasądzona suma i spytał, kto wymierzy mu chłostę. Spojrzałem na chłopaka z pejcem i zobaczyłem jakiś zły błysk w jego oczach. Powiedziałem, dla siebie samego niespodziewanie, że to będę ja, załatwimy sprawę na osobności. Kazałem prowadzić się do jakiegoś pustego pomieszczenia, po drodze wzięłem pejcz i weszliśmy do pierwszego lepszego pokoju. Odezwałem się do młynarza, że nie mam zamiaru go bić, bo on jest za stary, a ja jestem za młody. Jego zadaniem jest wydzierać się w niebogłosey, a moim imitować bicie. No i się zaczęło: ja tłukłem pejcem o ścianę, a on jęczał, stękał, krzyczał. Po kwadransie kazałem mu odejść i nie pokazywać się ludziom przez kilka dni. Paczkę z pieniędzmi oddałem kapralowi z zastrzeżeniem, że ma je przy mnie przeliczyć. Wszystko się zgadzało.

Chcąc być obiektywny muszę przyznać, że Pan Bóg był dla mnie łaskawy ostrzegając mnie później ustami kolegi Wielowiejskiego (*prawdopodobnie przekręcam jego nazwisko*), żebym w żadnym przypadku nie wybierał się do Kowali, bo tam czeka na mnie kapral Iksiński i obiecuje, że nie przepuści i lanie batem, którego oszczędziłem młynarzowi, zostanie wyegzekwowane na mojej tylnej części ciała. Okazało się bowiem, że młynarz

rozzuchwalony faktem, że istnieje już nowa władza ludowa, rozpowiadał we wsi i w okolicy jak „dotkliwie” ukarała go władza AK: „*Pieniądze mi wzięli, to fakt, ale one już następnego dnia nic nie były warte i nadawały się tylko do rozpalki, a bity to dostała tylko ściana, a nie ja. Ale już ją odmalowałem i nie ma nawet śladu.*” Opowieści młynarza dotarły do Iksińskiego, a ten broniąc resztek swojego autorytetu obiecał jak wyżej. Faktem jednak jest, że do Kowali z wizytą już nie pojechałem. Nie było to dla mnie szczególnie przykrością, bo nie pamiętam, żebym miał taki zamiar.

Następnego dnia dostaliśmy wiadomość, że Radom jest już w rękach Rosjan i droga do miasta jest wolna. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń chciałem od razu ruszyć w drogę. Kapral Iksiński stanowczo mi odradzał: „*A nie dziwi pana, że nie widzieliśmy tu żadnego rosyjskiego żołnierza? Przecież Kowala leży na wschód od Radomia, to musieliby tędy przechodzić, a nikt ich w okolicy nie widział. Niech pan jeszcze nie jedzie, przejdźmy się lepiej w stronę lasu.*” Zgodziłem się, kilku mężczyzn do nas dołączyło i poszliśmy szeroką, gruntową drogą w kierunku wschodnim. Droga wiodła pod górę, tak że perspektywa była bardzo krótka. Nagle zobaczyliśmy jeźdźca – z daleka wyglądało to jakby chłopiec jechał na mule lub osiołku. Zatrzymał się, prawdopodobnie obejrzał nas przez lornetkę i podjechał bliżej. Był to mały człowieczek o mongolskich rysach, konik był też mały, karabin wyglądał na sportowy i wisiał na sznurku. Zapytał nas *Giermancow zdiess niet ?* Odpowiedzieliśmy mu chórem: *Niet !*, a on zawrócił swojego kucyka i odjechał. My na wszelki wypadek postanowiliśmy wrócić do wsi. Nie minęło piętnaście minut, a zaczęło dochodzić do nas od strony lasu coś w rodzaju głuchego szumu, czy łoskotu, jakby zbliżała się burza z piorunami, lub coś w tym rodzaju.

Była to kolumna rosyjskich czołgów. Jechały gęsiego, a na każdym z nich siedzieli żołnierze z pepeszami. Za chwilę na niebie pojawiły się samoloty z czerwoną gwiazdą na skrzydłach. To było imponujące widowisko, a nasz kapral zaczął nam robić wykład o taktyce: „*Patrzenie, chłopcy, tak trzeba wojować, tak wygląda współczesna wojna...*”. Nie zdążył skończyć zdania, a tu samoloty z czerwoną gwiazdą jak nie przypikują, jak nie złączą grzać z karabinów maszynowych i działek pokładowych po swoich czołgach – istna masakra. Padliśmy wszyscy na ziemię i pierwszy raz w życiu widziałem, jak pociski z karabinu maszynowego padają tuż koło mnie. Widać było, jak śnieg się podnosi i topnieje w miejscu, gdzie upadł pocisk. Na szczęście wśród siedzących na czołgach musiał być oficer i to on wystrzelił z rakiety dwie niebieskie smugi. Samoloty zaprzestały ognia i odleciały. Dwóch z

naszych uczestników przechadzki było rannych, jeden z nich mocno krwawił. Czolgi się zatrzymały, żołnierze zabrali kilku rannych, nazwiska zabitych zapisali i poprosili o ich pochowanie.

Odłożyłem wyjazd do Radomia na następny dzień. Rano ruszyłem poprzednią trasą Zdziwiło mnie, bo co i raz spotykałem żołnierzy sowieckich. Szli w małych grupkach, lub nawet samotnie, niektórzy nie mieli broń, wyglądali na bardzo zmęczonych, czy wprost chorych. Dwa, a może 3-4 km od Radomia jeden z nich podszedł do mnie i oświadczył, że pożyczę ode mnie rower, bo jest bardzo zmęczony, a ja jestem młody, to mogę się prze spacerować. Poza tym on wie, że Radom *rasruszen* i nie ma się co spieszyć. No, to leżę, pomyślałem, co ja powiem kapitanowi? Byłem bardzo zaskoczony, gdy na rogatkach Radomia, za pierwszym, czy drugim domem czekał na mnie mój rower, pilnowany przez pożyczkobiorcę. Ucieszyłem się bardzo, uściskałem żołnierza i powtarzałem moje *spasibo*. Żołnierz się na to zachnął i powiedział, że nie mam co dziękować, przecież on nie *wor*, pożyczyl, to oddał – *wot, eto wsio*. Później dowiedziałem się, że ci snujący się po bocznych drogach żołnierze sowieccy, to byli chorzy, lub lekko ranni, nie kwalifikujący się do szpitala polowego.

Dotarłem szczęśliwie do domu, panie zgotowały mi entuzjastyczne powitanie, ale to było wszystko, co mogły mi – mówiąc po krakowsku - zgotować. Nie miały prawie nic do jedzenia. Panowała straszna bieda i zamieszanie. Natychmiast po wejściu Rosjan dozorca przestał palić w kotłowni, a był styczeń i spory mróz. Struktury miasta też nie działały. Polski prezydent miasta – aresztowany, naczelnicy ważniejszych wydziałów – także, najważniejsi Akowcy, w tym Kapitan i nasz dowódca, por. Cyprian – aresztowani. Enkawudziści przychodzili po nich, jak po swoich, wyciągali ich po prostu z łóżek.

To, że mnie nie zwinęli, zawdzięczam mojej mamie. Nie wiedząc nic o tych wydarzeniach, już następnego dnia po powrocie chciałem zwrócić rower i pistolet tam, skąd je wzięłem, ale mama nie pozwoliła mi wyjść z domu. Stała w drzwiach i powtarzała, płacząc: „*Wyjdiesz po moim trupie, wyjdiesz po moim trupie*”. No i oczywiście nie wyszedłem, a w mieszkaniach kapitana i Cypriana, jak i u innych ważniejszych konspiratorów antyniemieckich, były już „kotły” - na gości czekali fachowcy z NKWD i ich polscy terminatorzy. Większość wówczas aresztowanych i wywiezionych nigdy już nie wróciła. Sześciu gdzieś w sowieckich łagrach. Znowu mi się udało.

Powstało pytanie: co teraz? Zebrało nas się kilku i radziliśmy, radziliśmy, radziliśmy... i jak zwykle, nic z tego nie wynikło. Nie było wodza, ani nawet pretendenta. Każdy poszedł swoją drogą. Niektórzy fałszywaini mniej lub bardziej słuszną. Ja nie miałem wyboru: musiałem zapewnić naszym gościom „wikt i opierunek” i musiałem się uczyć. Pieniądze było trudno zarobić, bo prawie nikt ich nie miał. „Górale” obowiązujące w Generalnym Gubernatorstwie zostały z dnia na dzień unieważnione. Każdy, kto posiadał kenkartę, czyli dowód osobisty wydany przez Niemców, mógł wymienić stare 500 zł na nowe po kursie 1:1, z tym, że dla uniknięcia nadużyć, przy wymianie wycinano z kenkarty urzędową pieczęć niemiecką. Było to obustronne ograniczenie pola do nadużyć: posiadacz kenkarty mógł ją wykorzystać tylko raz. Urzędnik po drugiej stronie okienka musiał mieć tyle wyciętych pieczęci, ile wymienił pięćsetek. Prosty i skuteczny sposób.

Za 500 złotych cztery osoby mogły przeżyć kilka dni, a co dalej? Kilogramowy bochenek chleba kosztował 50 – 60 złotych. No, właśnie. Dalej przypominało mi się, jak przed pójściem do lasu dostałem fałszywą kenkartę, a wypisywano mi ją w oficynie domu, w którym mieściła się księgarnia Jakubców. Porozmawiałem z Wieśkiem i następnego dnia przyniósł kilka dziesiąt kenkart *in blanco*, z przybitą niemiecką pieczęcią. Tadzio P. miał maszynę do pisania i je wypełnił, wpisując najpopularniejsze nazwiska w rodzaju Kowalski, Nowak, Malinowski, Wiśniewski, a jako miejsce urodzenia Lwów, Wilno, Tarnopol, bo wiadomo – tam nie sprawdzą. Nie bez emocji wymieniliśmy stare pieniądze na nowe i poprawiliśmy swoje finanse w istotny sposób – niczym kosztem. Żaden z nas nie miał wyrzutów sumienia, bo tę władzę słusznie uważaliśmy za nielegalną. Gra była ryzykowna – to fakt. Bądź co bądź ogłoszony był stan wojenny, a w tym stanie sądy też są wojenne, a wyroki ich przewidywalne. Na szczęście, znów udało się, choć nie musiało.

Z wymianą pieniędzy miałem do czynienia jeszcze raz. Było to kilka miesięcy później. „Stożara”, czyli Leon B., kolega z lasu i z konspiracji, przyprowadził do mnie podchorążego X (nie pamiętam jego pseudonimu, a nazwiska nigdy nie znałem) i ten oświadczył, że przyniósł mi odprawę z AK. Ucieszyłem się, bo pieniądze z wymiany dawno już się rozeszły, a potrzeby były duże – siostra z dzieckiem dalej mieszkały u nas.

Pan podchorąży wyjął z kieszeni banknot 100 dolarowy, położył go na stole i zakomenderował: 80 dolarów reszty. Zdębiałem: - „*A skąd ja panu wezmę 80 dolarów?*” Odpowiedź brzmiała: - „*A więc dostaniecie 2000 zł,*

bo taki jest kurs". W rzeczywistości był dwa razy wyższy, ale ja o tym nie wiedziałem.

Powstaje pytanie: jak zakwalifikować moralnie i prawnie obie sprawy? Jako zainteresowany nie wypowiadam się, a poza tym – po prostu nie wiem. Na marginesie dodam, że za te 2000 złotych egoistycznie kupiłem sobie prawdziwe, skórzane półbuty. Pan Bóg mnie jednak ukarał, bo podezwy okazały się być z takiej skóry, że po krótkim czasie zdarły się bez reszty.

Muszę rozliczyć się jeszcze z dwu rzeczy: z pistoletu i z roweru. Obie te rzeczy nie były moje. Dostałem je do użytkowania w konkretnej sprawie. Prawdę mówiąc, chciałem je oddać, ale nie miałem komu. Domniemany właściciel (kapitan) siedział w jakimś sowieckim lagrze, z którego nigdy nie wrócił. Jego następców (o ile byli) nigdy nie poznałem, a poza tym bardzo przyzwyczailem się zarówno do pistoletu, jak i roweru. Co się stało z rowerem, już nie pamiętam. Pewnie się popsuł i został gdzieś porzucony.

Sprawę parabellum będę pamiętał do końca życia. W lecie 1945 r. postanowiłem odwiedzić moje rodzinne strony – północne Mazowsze. Miałem tam rodzinę: Babcie, która wróciła do rodzinnego Sokołowa (na krótko wprawdzie, ale jednak), dwie ciocie w promieniu kilku kilometrów, no i kolegów ze szkoły powszechnej i z I klasy gimnazjum w Przasnyszu. Ruszyłem więc w podróż: do Warszawy ciężarówką z siedzeniami w postaci w poprzek położonych desek, a z Warszawy już „normalnie” – pociągiem w bydłych wagonach. Bilety obowiązywały.

Miałem z sobą walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami z kategorii ubranie i bielizna oraz – na samym wierzchu – parabellum. Czulem, ba – wiedziałem, że bez niego nie mogę jechać. Czym mogłem zaimponować cioteczynom siostronom na wsi i kolegom z Przasnysza? Samym opowiadaniem? Każdy może opowiadać, a parabellum, to dowód i to nie byle jaki. Stałem więc w tym przepelnionym i śmierdzącym wagonie możliwie najbliżej drzwi i marzyłem, żeby ta podróż wreszcie się skończyła. Tymczasem jednak pociąg zatrzymał się na stacji w Legionowie. Minęło może 5 minut, gdy nagle usłyszeliśmy strzały i krzyki „łapać go, łapać go, ukradł walizkę”, a za chwilę: „o, wskoczył do tamtego wagonu”.

Niemal w tym samym momencie do naszego wagonu wpadł milicjant z dymiącym jeszcze karabinem, chwycił mnie za rękę i popchnął do otwartych drzwi. „Czy to ten?” zapytał. Odpowiedź brzmiała „A skąd mam wiedzieć. Nie widziałem przecież jego twarzy”. Na to milicjant „No to niech otworzy walizkę i wtedy będziecie wiedzieć, czy to Wasze rzeczy, czy nie”, a

do mnie „*Otwieraj walizkę !*”. Zmartwiałem. Teraz to już naprawdę koniec – pomyślałem, gdy nagle z głębi wagonu usłyszałem starczy, kobiecy głos „*Panie milicjant, przestań pan się wygłupiać; ten chłopak jedzie z nami już od Warszawy i wcale tu nie wskakiwał*” – i na to wszyscy, jak jeden mąż „*No właśnie, no właśnie – jedzie z nami od Warszawy...*” Milicjant zrobił głupią minę, powiedział „*A to przepraszam, obywatelu*” i opuścił nasz wagon.

Ta starsza pani, której nawet nie widziałem, bo w wagonie było ciemno, uratowała mi życie: za nielegalne posiadanie broni palnej groziła wtedy kara śmierci. Nieraz się zastanawiałem, co by się stało, gdyby nie zabrała głosu. Przecież nie tylko ona wiedziała, że wsiałem do wagonu w Warszawie i ani na chwilę go nie opuszczałem. Wszyscy jednak milczeli, bo to nie ich sprawa. Stąd wniosek: Zabieraj głos w słusznej sprawie, nawet gdy sprawa cię nie dotyczy.

Pistolet jednak wykorzystałem: w lasku koło Stryjewka, w gminie Grudusk, urządziłem małą strzelnicę, na której wystrzelałem do dowolnego celu (puszki po konserwach i butelki) trzydzieści sześć albo trzydzieści pocisków. Nie pamiętam ile wchodziło do jednego magazynka – dziesięć, czy dwanaście. Kuzynki były zachwycone, a ja – znacznie później - zdumiony własną głupotą. Po prostu po raz któryś z rzędu nie mogłem uwierzyć, że byłem aż tak głupi. A byłem ... Kilka dni później pistolet nieodwołalnie uszkodziłem i wrzuciłem do głębinowej studni – poleży tam do sądnego dnia. A tak generalnie: retrospekcja, to bardzo pożyteczne działanie, pod warunkiem, że wyciąga się z niej właściwe wnioski.

Po powrocie do Radomia wziąłem się porządnie do nauki, bo wiedziałem, że bez tego nic w życiu nie osiągnę – niezależnie od panującego ustroju. Zapisałem się do Liceum dla Dorosłych. Trzeba było mieć ukończone 18 lat (to miałem) i tzw. małą maturę (tego nie miałem), wobec czego moje zapisanie było warunkowe: byłem uczniem I klasy liceum z pełnymi prawami i obowiązkami, ale do końca pierwszego półrocza, czyli do świąt Bożego Narodzenia musiałem zdać małą maturę.

Ponieważ zapisałem się na kierunek humanistyczny moja mała matura obejmowała egzamin z języka polskiego, z języka obcego, z historii i z łaciny. O ile trzy pierwsze nie sprawiały mi żadnej trudności i zdałem je *summa cum laude*, to z łaciną sprawy nie wyglądały najlepiej, a właściwie zupełnie źle. Nie sposób przyswoić sobie trzyletni kurs nauki łaciny w trzy miesiące, równocześnie pracując (podjąłem pracę w Zarządzie Miejskim), przygotowując się do egzaminu z trzech innych przedmiotów, a równocześnie być na

bieżący w przedmiotach nauczanych w liceum. Starałem się jak mogłem, ale czulem, że dobrze nie będzie.

Wreszcie nadszedł ten dzień: wyznaczono mi ostatni termin egzaminu z języka łacińskiego. Był to chyba początek grudnia 1945 r. Najpierw miał być egzamin pisemny, a potem – w zależności od wyniku – egzamin ustny. Zgłosiłem się oczywiście punktualnie, a że byłem jedynym zdającym, posadzono mnie w pokoju nauczycielskim. Tam zastałem na biurku napisany ręcznie tekst łaciński do przetłumaczenia, słownik łacińsko – polski, kilka arkuszy papieru kancelaryjnego, pióro i atrament. Tekst dotyczył porwania Sabineek przez Rzymian i bitwy, jaką w związku z tym później stoczyli Sabinowie z Rzymianami. Znałem oczywiście te legendę, ale co innego wiedzieć o co chodzi, a co innego dosłownie przetłumaczyć. Problem polegał na tym, że cały tekst obejmował dwa zdania, przy czym pierwsze z nich zaczynało się na jednej stronie, a kończyło na drugiej stronie arkusza.

W żaden sposób nie mogłem znaleźć głównego orzeczenia, a tłumaczenie słowa po słowie nic nie dawało. Siedziałem zrezygnowany i właściwie chciałem już wyjść, ale okazało się, że drzwi są zamknięte od zewnątrz na klucz. Po kilku minutach usłyszałem, że ktoś przekręca kluczy rzeczywiście – do pokoju weszła opiekunka naszej klasy, nauczycielka ... (*Boże, nie pamiętam czego*) i spytała mnie: „*Co pan tu robi, panie Smoleński?*” „*Zdaję egzamin pisemny z łaciny.*” – odpowiedziałem. „*Jak panu idzie?*” „*Źle.*” – odpowiedziałem – „*Nie mogę znaleźć orzeczenia.*” Pani profesor wzięła kartkę z tekstem i stwierdziła, że tekst jest napisany niewyraźnie, ale ona wie, że tu gdzieś jest ten sam tekst napisany dużo wyraźniej. Podeszła do stojącej obok szafy, coś tam pogmerała i za chwilę położyła przede mną arkusz z tym samym tekstem. Nie wspomniała w ogóle, że na drugiej stronie znajduje się pełne tłumaczenie na język polski. Sam to zauważyłem.

Nauczycielka łaciny, która przyszła sprawdzić jak mi idzie, przejrzała „moje” tłumaczenie, stwierdziła, że jest bardzo dobre i zwolniła mnie z ustnego. Ponieważ jednak nagminnie opuszczałem lekcje łaciny, na moim świadectwie z I klasy liceum, przy pozycji łacina wpisany jest stopień niedostateczny. Z jedną dwójką można było przejść do następnej klasy i przeszedłem. Całe wakacje uczyłem się łaciny i na świadectwie maturalnym mam wpisane: jęz. łaciński - dobry.

Na własnej skórze przekonałem się, że jak można bliźniemu pomóc, nie szkodząc przy tym nikomu innemu, to nie trzeba się wahać i pomóc, nawet gdyby wiązało się to z ryzykiem. Wspominałem już, że do oddziału por. Cypriana trafiłem razem z „Krukiem” – chłopakiem z Glinic. Po roz-

wiązaniu oddziału znów się z nim spotkałem – tym razem w tej samej klasie liceum. Nikomu jednak nie mówiliśmy skąd się znamy i schodziliśmy sobie z drogi. Pewnego dnia Kruk przestał przychodzić do szkoły i nikt się temu nie dziwił – przestał, to przestał, może gdzieś wyjechał.

Kilka, a może kilkanaście dni później, gdy wieczorem wróciłem do domu, mama otworzyła mi drzwi i szepnęła *„Masz gościa, ale teraz śpi. Wygląda dziwnie, ale powiedział, że jest twoim kolegą z lasu i znał twój pseudonim, więc go wpuściłam.”* Uchyliłem drzwi i spojrzałem – na tapczanie leżał nikt inny, tylko strzelec „Kruk”. Okazało się, że został aresztowany i siedział w osławionym więzieniu UB przy ul. Kościuszki. Dzięki jakiemus przedziwnemu zbiegowi okoliczności dziś rano udało mu się uciec. *„Ratuj mnie, Mazur, bo nie mam gdzie iść”* - powiedział.

Zbieg okoliczności był z dzisiejszego punktu widzenia dziwny, bardzo dziwny, na pozór wprost niemożliwy. A jednak był rzeczywistością. Drugiego czy trzeciego dnia po aresztowaniu Kruk prowadzony był przez funkcjonariusza UB na przesłuchanie. W pierwszej chwili spojrzeli na siebie obojętnie, ale już po kilku sekundach obaj wiedzieli „who is who”. Pierwszy odezwał się Kruk: *„Igła, ty świnió, co ty tu robisz, skąd się tu wzięłeś ?”* Na to Igła (*relata refero*): *„Oszukali mnie, takie syny. Mówili, że będziemy tropić Niemców, folksdojczów i kolaborantów, a oni wcale ich nie szukają, tylko zamykają do więzienia Akowców. Spieprzam stąd przy najbliższej okazji, ale przedtem chcę jeszcze wynieść trochę broni. Jak już będę zdecydowany, to zabiorę cię z celi i pod bronią stąd wyprowadzę. Bądź zawsze gotów. To może być o każdej porze.”*

Igła słowa dotrzymał i wyprowadził Kruka z celi „na przesłuchanie”. Było mu o tyle łatwiej, że do dezercji namówił jeszcze jednego ubowca o podobnym rodowodzie, a dwuosobowa eskorta nie mogła wzbudzić żadnych wątpliwości u wartownika stojącego przed bramą. Igła i jego kolega doprowadzili Kruka do jakiejś bramy z przejściem na inną ulicę i tam rozstali się, bo Kruk w odróżnieniu od pseudo ubowców do lasu się nie wybierał – chciał się uczyć.

Igła udało się stworzyć spory oddział leśny, który sprawiał spore kłopoty nowym władcom Polski. Wojowali z władzą ludową kilka ładnych miesięcy i bynajmniej nie skapitulowali. Igła zawarł z władzą porozumienie czy umowę, w której zobowiązał się do złożenia broni i zaprzestania nielegalnej działalności. Władza ludowa natomiast zobowiązała się do puszczenia w niepamięć aktów łamania prawa, jakich dopuścił się Igła i jego pod-

komendni. Czy obie strony dotrzymały umowy – nie wiem, ale znając ówczesne realia – bardzo wątpię.

Tak się złożyło, że tego samego dnia, kiedy Igła i jego ludzie wkroczyli do Radomia, jeden z moich przyjaciół zaprosił mnie do wysoko wówczas notowanej kawiarni i restauracji „Szyposzyński”. Chciał się pochwalić nową dziewczyną, która też oczywiście miała być obecna. Siedzieliśmy tam już 15, czy 20 minut, gdy nagle przy drzwiach wejściowych powstał jakiś tumult. Usłyszeliśmy jakieś brawa, śmiechy, szczęk żelastwa – coś dziwnego. Patrzymy i dębiejemy: do restauracji wkracza Igła w oficerskim mundurze, obok niego ładna dziewczyna też w oficerskim mundurze i kilku – nie mniej niż 7–8 umundurowanych ludzi z jego obstawy. Wszyscy uzbrojeni w pistolety maszynowe – szmajsery, steny i pepesze.

Orkiestra wstaje i gra marsz generalski, a chwile potem „*Czerwone maki na Monte Casino*”. Igła rozgląda się po sali i widzi oficera polskiego wyższej rangi (*nota bene* był to oficer radziecki w polskim mundurze). Igła podchodzi do niego, a tamten blednie jak płótno. Igła staje na baczność, melduje się i prosi o pozwolenie pozostania na sali (Oficerski Kodeks Honorowy przewidywał takie zachowanie młodszych oficerów w stosunku do oficerów sztabowych. Skąd o tym wiedział Igła, nie mam pojęcia). Oficer radziecki zaprasza Iglę do swojego stolika. Igła siada, orkiestra gra „*Maki na Monte Casino*”, wszyscy wstają, biją brawo. Jedni się śmieją, panie po czterdzieście płaczą, atmosfera stała się jedyna w swoim rodzaju. Po kilku minutach w drzwiach pojawia się milicja, ale po chwili wycofuje się bez słowa. Nie byłbym sobą, to znaczy dumnym dziewiętnastolatkiem. żeby nie podejść do Igły i nie powiedzieć mu „*Cześć stary, jak się masz, uważaj na siebie*”. Igła spojrzal na mnie i powiedział: „*A, pamiętam Cię – też uważaj na siebie i wszystkiego najlepszego*”. Taka to była nasza ostatnia rozmowa. Jak się dalej potoczyły losy Igły nie wiem – nigdy później o nim nie słyszałem.

Powracając do prośby Kruka o ratunek; więc ratowałem go, jak umiałem. Najpierw poszedłem do naszego księdza kapelana, który znów był wikarym w kościele parafialnym i poprosiłem go o lewą metrykę urodzin dla Kruka, oczywiście na inne nazwisko. Ksiądz nic mi nie obiecał, ale kazał przyjąć pojutrze. Potem poszedłem do naszego nauczyciela matematyki, o którym wiedziałem, że był w AK i poprosiłem o blankiet świadectwa szkolnego. Dwa dni później na lekcji matematyki położył mi dwie kartki na ławce, mówiąc: „*To są te dwa zadania, o które pan mnie prosił.*” Następnego

dnia odebrałem od księdza kapelana dwa blankiety metryki urodzenia i metryki chrztu.

Teraz mogłem już iść do Tadzia P. i poprosić go, żeby odpowiednio wypełnił wszystkie rubryki i złożył właściwe podpisy. Zrobił to po mistrzowsku. Po czterech dniach Kruk miał już wszystko, co było mu potrzebne, aby zacząć nowe życie. Na pożegnanie dostał namiary mojej cioci w Stryjewku koło Gruduska, trochę pieniędzy i życzenia wszystkiego najlepszego. Wiem, że do cioci dotarł, stamtąd trafił do Olsztyna, gdzie żył już na własny rachunek. Później słyszałem, że zdał tam maturę i podjął pracę w jakiejś firmie przewozowej. Nie spotkałem się z nim już nigdy.

Po maturze przyszedł studia w Krakowie, które ukończyłem w roku 1949 jako magister nauk ekonomicznych. O ówczesnym życiu studenckim mógłbym napisać książkę, ale prawda byłaby dużo bardziej gorzka niż słodka. Opuszczam więc ten rozdział, bo zmyślać nie lubię, a co gorsza – nie umiem.

W 1950 r. na zaproszenie mojej ciotki, wdowy katyńskiej, przenieśliśmy się do Warszawy. Spotkałem tam moją sympatię z dawnych lat, z którą cały czas utrzymywałem kontakt korespondencyjny. Nie widzieliśmy się od mojego pójścia do lasu, a więc prawie sześć lat. Uczucia jednak przetrwały, bo w czerwcu tegoż roku byliśmy już małżeństwem. Na prezent ślubny, za pożyczone od ciotki pieniądze, kupiłem żonie damski zegarek marki Venus. Zakup był okazyjny – od kolegi z pracy w Centrali „Las”. Kolega ten – *nota bene* radca prawny – kilka identycznych zegarków sprzedawał też innym pracownikom. Po jakimś czasie przestał przychodzić do pracy, nie przysyłając zwolnienia lekarskiego. Zegarek natomiast chodził, może nie najlepiej, ale chodził.

Rok później w Centrali „Las” przeprowadzona została przez nadzorującą ją ministerstwo nocna kontrola zabezpieczenia materiałów o charakterze tajnym lub poufnym. Centrala „Las” zajmowała się skupem, przetwórstwem i sprzedażą runa leśnego (jagody, grzyby, dzemy, kompoty itp.). Nie były to towary o charakterze strategicznym, ale dane liczbowe dotyczące eksportu tych towarów obwarowano klauzulą „poufne”. W moim nie zamkniętym biurku kontrola znalazła meldunek punktu skupu runa leśnego w Nadleśnictwie X o liczbie hubianek z jagodami, wysłanych do Gdyni z przeznaczeniem na eksport.

Mniej więcej dwa tygodnie później dostałem tego samego dnia dwa listy polecone: jeden z Urzędu Skarbowego z zawiadomieniem, że w związku z wejściem w posiadanie przedmiotu, o którym wiedziałem, lub powi-

nieniem wiedzieć, że pochodzi z przestępstwa, wszczęto przeciwko mnie postępowanie karno-skarbowe, którego efektem może być kara pieniężna w wysokości do 20 000 zł, a w razie nieściągalności – kara więzienia do 2 lat. Drugi list był z Sądu Wojewódzkiego w Warszawie z zawiadomieniem, że Prokuratura Wojewódzka wniosła przeciwko mnie akt oskarżenia o przestępstwo ujawnienia materiałów zastrzeżonych, zagrożone karą do 12 lat więzienia. Sąd wyznacza termin rozprawy przeciwko mnie na dzień X i zawiadamia, że przydzielili mi obrońcę z urzędu w osobie mecenasa XY.

Zmartwiałem. Władza ludowa dobrała się do mnie. Teraz leżę już definitywnie: żona w ciąży, za trzy miesiące rodzi, ja w więzieniu – średnio optymistycznie licząc na 6 latek: rok za zegarek, pięć za eksportowe jagody. Cały mój świat się zawalił. Koszmar trwał kilka miesięcy, ale wszystko dobrze się skończyło: Sąd Wojewódzki wydał wyrok niewinniający, prokurator odwołał się do Sądu Najwyższego, a ten utrzymał wydany wyrok w mocy. Urząd Skarbowy tak długo prowadził swoje dochodzenie, że w końcu musiał je przerwać i sprawę uznać za niebyłą. Najpierw nie można było znaleźć „sprzedawcy”, a później z jakiejś tam okazji Sejm uchwalił amnestię. Znowu mi się udało, chociaż wyglądało już groźnie.

Podsumujmy: Wszystko, co tu opowiedziałem zdarzyło się w ciągu 12 lat: między rokiem 1939 a rokiem 1951, czyli między moim 13 i 25 rokiem życia. Wiem, że żyję statystycznie za długo, chociaż było sporo okazji, żeby wcześniej zejść z tego padołu. Jakoś tak się złożyło, że nie zszedłem. Czemu to zawdzięczam - nie wiem. Po prostu tak wyszło bez mojego decydującego udziału. Nie mam jednak wątpliwości, że moja podświadomość z wszystkich moich przeżyć przechowała coś pozytywnego; jakieś ślady zostały. Dlatego proszę przyjaciół i kolegów – bądźcie wyrozumiali dla starszka, a czasami nawet zastanówcie się, czy przypadkiem mówi coś, co dałoby się dla dobra sprawy wykorzystać. Z góry dziękuję.

KILKA WSPOMNIENI SPRZED PÓŁ WIEKU O MOICH SZEFACH W INSTYTUCIE GEOLOGICZNYM (1953-1966)

Do Instytutu Geologicznego trafiłem przypadkiem. Była to późna jesień 1953 r. Właśnie odszedłem „na własne żądanie” z instytucji, w której pracowałem od ukończenia studiów w 1950 r. To „własne żądanie” polegało na tym, że ktoś przychylny poradził mi, żebym jak najszybciej zmienił pracę, bo stąd i tak mnie wyrzucą, a pretekst znajdą taki, że „roboty” będę długo szukał. Rzecz miała źródło w mojej niewiedzy: nie wiedziałem, że nowy pracownik, którego wystąpienie na ostatniej naradzie produkcyjnej skrytykowałem, jako pozbawione sensu, został skierowany do naszego zakładu przez właściwe czynniki i od kilku dni jest I sekretarzem organizacji partyjnej. Popeniłem niewybaczalny wówczas błąd, który jednak w konsekwencji wcale, na szczęście, nie okazał błędem.

Nowej pracy szukałem dość bezskutecznie. Gdy zgłaszałem się w instytucji poszukującej pracowników o moim profilu, witany byłem bardzo życzliwie, wypełniałem ankietę, a na pożegnanie z zasady mówiono mi, że mam uważać się za zatrudnionego i zgłosić się w Dziale Kadr za kilka dni. Niestety, po zgłoszeniu się w wyznaczonym terminie dowiadywałem się, że sytuacja uległa zmianie i sprawa nie jest aktualna. Tak było w trzech kolejnych instytucjach. Szczęście uśmiechnęło się do mnie dopiero w czwartej, a był nią ówczesny Instytut Geologiczny. Jak się później dowiedziałem, moje szczęście polegało na tym, że Instytut należał do władztwa innego komitetu dzielnicowego partii – w poprzednim nie miałem żadnych szans.

W Instytucie jako miejsce pracy wskazano mi Dział Planowania. Działem tym kierował inż. Jan Kostecki. Jego oficjalny tytuł służbowy był dość skomplikowany i brzmiał: „Delegat Centralnego Urzędu Geologii ds. planowania w Instytucie Geologicznym”. Poza panem Kosteckim w Dziale Planowania pracował - wbrew własnej woli, ale zgodnie z nakazem pracy - absolwent SGH, pan Wacław Włoszczowski, jedna miła pani bez żadnych kwalifikacji (niedługo później wyemigrowała z Polski), jeden działacz partyjny z jakiejś wioski pod Biłgorajem, który po podpisaniu listy natychmiast wychodził „do Komitetu” i pani sekretarka – też bez żadnych kwalifikacji. Zgłaszała natomiast co i raz chęć wstąpienia do partii, na co działacz spod

Biłgoraja niezmiennie odpowiadał, że na to trzeba zasłużyć, a ona jeszcze nie jest na tym etapie.

Inż. Kostecki po jakimś czasie (miesiąc, lub dwa) uznał, że mógłby przestać być „delegatem” i przejść do pracy w merytorycznej komórce IG. Przedstawił odpowiedni wniosek dyrektorowi Instytutu, prof. Różyckiemu i uzyskał jego akceptację, ja zaś – ku mojemu zaskoczeniu – zostałem kierownikiem Działu Planowania. Pracowałem na tym stanowisku 21 lat – do czasu, gdy w 1974 roku Prezesem CUG został mianowany dr Zdzisław Dembowski. Nowy Prezes zażyczył sobie mojej pomocy w CUG i tak się stało, bo przecież inaczej być nie mogło. Szefowi resortu się nie odmawia. Ale to już inna historia...

Organizacyjnie Dział Planowania podlegał bezpośrednio dyrektorowi Instytutu. Jak już wspomniałem, był nim wówczas prof. Stefan Zbigniew Różycki, który równocześnie kierował Katedrą Geologii Czwartorzędu na Uniwersytecie Warszawskim i, *nolens volens*, większość czasu spędzał na Uniwersytecie. Kontakty z dyrektorem Instytutu były poważnie utrudnione. Trzeba pamiętać, że w tym czasie jedynym dostępnym środkiem bezpośredniego komunikowania się był wewnętrzny telefon stacjonarny, a telefony w Warszawie działały fatalnie. Mogę śmiało powiedzieć, że za dyrektorowania prof. Różyckiego spora część mojego czasu pracy poświęcona była podróżowaniu między ul. Rakowiecką, a Krakowskim Przedmieściem. Byłem tam z twarzy już dość znaną osobą, zwłaszcza wśród niższego personelu. Pewnego razu zagadnął mnie woźny, dyżurujący w korytarzu, gdzie miał swój gabinet prof. Różycki: *”Nie wstyd panu tak tu co parę dni wysiadywać? Naucz się pan wreszcie porządnie o tym czwartym rządzie i zdaj pan ten egzamin”*. Miał rację: o tym czwartym rządzie, jak i o czwartorzędzie istotnie niewiele wiedziałem. Profesor Różycki też prawdopodobnie uznał, że jego dwie funkcje są trudne do pogodzenia i z jednej zrezygnował - ze stanowiska dyrektora Instytutu.

Nowym dyrektorem Instytutu Geologicznego, z dniem 16 maja 1954 roku, został prof. Edward Rühle. Kilka dni po objęciu swojego stanowiska nowy dyrektor, a mój bezpośredni szef, wezwał mnie do siebie. Zaczął od stwierdzenia, że zapoznał się z moimi aktami personalnymi, ale wolałby, żebym opowiedział mu o sobie coś bliżej, bo akta, to spełnienie biurokratycznej formalności i nic poza tym. Nie miałem wiele do powiedzenia, bo poza wcześniejszym koszmarem pięciu lat okupacji, więzienia, rodzinnych tragedii, konspiracji, partyzantki, o których nie wspominałem, historia moja od 1945 roku nie była interesująca. Składały się na nią dość typowe elemen-

ty: matura, studia, pierwsza praca, pierwsza żona (i jedyna, jak się później okazało), pierwsze dziecko, Instytut Geologiczny, w którym znalazłem się dość przypadkowo – i to wszystko.



Edward Rühle z czasów przedwojennych

Profesor wysłuchał mnie z umiarkowanym zainteresowaniem, a następnie zapytał, czy mam już jakiś pogląd na obecną formę planowania prac Instytutu. Profesor uważał, że stosowana technika sporządzania planu jest zbyt pracochłonna, a jej efekt mało przejrzysty. Na moją prośbę Profesor zgodził się dać mi czas na przemyślenie sprawy i przedstawienie jej w uporządkowanej formie do końca czerwca. Poleciał mi natomiast w trybie pilnym przygotować projekt innego niż dotychczas obiegu informacji o postępie prac nad realizacją najważniejszych zadań IG. Chodziło o to, aby – gdy zaistnieje taka potrzeba – dyrektor Instytutu mógł przedstawić w miarę aktualną sytuację bez konieczności doraźnej konsultacji z kierownikiem właściwego Zakładu. Kontakty z pracownikami merytorycznymi były przez większą część roku bardzo utrudnione, gdyż często przebywali poza Instytutem, zwłaszcza w okresie prac terenowych. Trzeba wiedzieć, że Instytut wykonywał w tym czasie wiele zadań wynikających z tzw. Uchwał Rządu. Miały one w początkowej fazie zapewniony priorytet i interesowały się nimi różne ważne instytucje, a dyrektor Instytutu zawsze musiał być przygotowany do

odpowiedzi na ewentualne zapytania. Mogę przypuszczać, że moje projekty odpowiadały Profesorowi, gdyż – po przedyskutowaniu sprawy ze swoimi zastępcami, dr Borysem Areniem i mgr inż. Eugeniuszem Wutcenem - polecił wprowadzić je w życie bez większych zmian.

Prawdziwy przełom w stosunku Profesora do mojej skromnej osoby nastąpił jednak kilka miesięcy później i to w dość nietypowej sytuacji. Pewnego dnia Profesor wezwał mnie „w trybie pilnym” (tak określałem sytuację, gdy Profesor dzwonił do mnie bez pośrednictwa swojej sekretarki). Profesor był wyraźnie bardzo zdenerwowany. Wręczył mi pokreślony, wielokrotnie poprawiany rękopis i polecił, abym dał go do przepisania zaufanej maszynistce i przedłożył do podpisu. Adresatem był prezes Centralnego Urzędu Geologii, prof. Andrzej Bolewski. Sprawa jest pilna, podkreślił.

Zrobiłem, jak mi polecono, z wyjątkiem jednego. Nie przyniosłem gotowego pisma do podpisu i wyszedłem wcześniej z Instytutu. Następnego dnia czekałem w sekretariacie Profesora już od samego rana, jeszcze zanim przyszła sekretarka. Nie musiałem długo czekać. Profesor przychodził do pracy wcześniej. Jego spojrzenie na mnie nie wydało mi się przychylnie, a ja wbrew wszelkim zasadom odezwałem się pierwszy, mniej więcej w takim sensie: *„Panie Profesorze, wiem, że wczoraj wykazałem się niesubordynacją, ale zanim mnie Pan wyrzuci, proszę mnie wysłuchać.”* i przedstawiłem Profesorowi cały wywód, dlaczego tego pisma moim zdaniem wysłać nie należy. Pamiętam, jak dziś, moje końcowe słowa: *„Panie Profesorze, bardzo proszę zatrzymać to pismo i wrócić do niego za trzy dni. Jeśli uzna Pan, że należy je wysłać, to przecież nic się nie zmieni. Sprawa nie jest terminowa i nie wymagano od Pana natychmiastowej odpowiedzi.”* Profesor rzucił okiem na maszynopis i powiedział, że nie przesądza, jak tę sprawę załatwi, ale jeszcze się nad tym zastanowi.

Kilka dni później zostałem wezwany do Profesora. Sekretarka podała herbatę i jakieś suche ciasteczka. Profesor zaprosił mnie do zajęcia miejsca przy stoliku gościnnym i wygłosił dłuższe „przemówienie”, którego treści nie przytaczam, ale nie mogę powstrzymać się od stwierdzenia, że było ono dla mnie bardzo miłe. Pismo zostało w szufladzie, a Profesor wyjaśnił sprawę z prezesem CUG osobiście.

Od tej pory zdarzało się niejednokrotnie, że po załatwieniu spraw służbowych Profesor zatrzymywał mnie na krócej, lub dłużej poruszał różne tematy. Zaczynało się od spraw instytutowych, z których Profesor przechodził czasami na wiążące się z tematem wspomnienia sprzed wojny, lub z okresu okupacji. Bywało również tak, że Profesor pytał mnie o coś, ja od-

powiadałem, a Profesor nawiązywał do jakiegoś szczegółu i opowiadał mi różne ciekawe rzeczy ze swojego życia.

Gdy np. kiedyś wspomniałem, że przed wojną byłem w Korpusie Kadetów we Lwowie, wtrącił, że Lwowa niestety dobrze nie znał, ale we Lwowie przesiadał się jadąc na obozy akademickie do Stryja i do Kut. Na jednym z tych obozów był współorganizatorem i uczestnikiem (akademicznych?) mistrzostw Polski w biegu maratońskim i zajął w nim pierwsze miejsce. Dowiedziałem się wówczas, że Profesor w młodości uprawiał czynnie lekkoatletykę ze specjalizacją w biegach długich (10 000 m i maraton). Opowiadał bardzo interesująco o swoich sukcesach i niepowodzeniach sportowych, bo i takie mu się zdarzały. Prócz sportu młody Edward Rühle był entuzjastą turystyki: przewędrował całe Karpaty - od Beskidu Śląskiego po Czarnohorę. Wędrował również z zamiłowaniem po Kresach Wschodnich, zwłaszcza po Wołyniu i Polesiu. Nie porzucił turystyki i po wojnie. Aktywnie działał w PTTK i bardzo zasłużył się dla tej organizacji. Był jedną z niewielu osób, którym przyznano Złotą Honorową Odznakę PTTK.

Gdy osiągnęliśmy określony stopień wzajemnego zaufania, opowiedziałem Profesorowi o mojej akowskiej przeszłości: o konspiracji w latach 1943/45, o służbie „w lesie”, w Górach Świętokrzyskich (oddział por. Cypriana, 72 p.p. AK). Byłem szczerze zdumiony znajomością broni strzeleckiej, jaką wykazywał Profesor przy okazji rozmowy o uzbrojeniu naszego oddziału. Zupełnie niedawno dowiedziałem się od pana Krzysztofa Radlicza, że Profesor był świetnym strzelcem i miał sukcesy sportowe również w tej dziedzinie. Profesor dał mi do zrozumienia, że uczestniczył w konspiracji, ale nigdy nie mówił o szczegółach swojej działalności w AK. Prawdę mówiąc myślałem, że działał w wywiadzie, bo gdy opowiadałem mu jak „zarabiałem” na wysłanie mnie do oddziału leśnego, od razu zidentyfikował na czyją rzecz i w ramach jakiej akcji prowadzona była ta działalność.

O pozycji dr Edwarda Rühle w AK, o jego zadaniach i osiągnięciach w czasie okupacji dowiedziałem się dopiero z niezwykle interesującego artykułu pt. „*Edward Rühle – w stulecie urodzin*” (autorstwo zbiorowe: Andrzej Ber i inni - Przegląd Geologiczny, vol.53, nr.5). Bohaterska postawa „Gozdawy” (pseudonim Profesora) w czasie ewakuacji Starego Miasta jest tym bardziej godna podziwu, że Profesor nie był z natury „twardzielem”. Miał on łagodne usposobienie i jeśli tylko mógł, to unikał wszelkich konfrontacji. Był człowiekiem kompromisu i porozumienia, ale też nie pozwalał narzucać sobie opinii, o których słuszności nie był przekonany. Zrozumiałem też, dlaczego Profesor tak bardzo liczył się ze zdaniem mgr Stanisława

Tyskiego, mądrego, życzliwego wszystkim człowiekowi, który wszakże nie miał wielkich aspiracji naukowych, ani wspólnych z Profesorem zainteresowań geologicznych. Po prostu razem pracowali w konspiracji, a te więzy i przyjaźnie są niezniszczalne i nieprzemijające. Wiem to z własnego doświadczenia.

Przy wszystkich swoich zaletach miał Profesor – zapewne, jak każdy normalny człowiek – również swoje słabe strony. Ja wiem tylko o jednej. Była to nieskrywana niechęć do publicznych wystąpień. Profesor nie miał żadnych zahamowań, gdy zabierał głos lub przemawiał na posiedzeniach Rady Naukowej, kolegium Instytutu, czy kolegium Centralnego Urzędu. Kiedyś, na marginesie omawianej sprawy, wyznał mi półzartem – półserio, że gdy ma przemawiać *ex cathedra* i widzi przed sobą rzędy krzeseł wypełnione słuchaczami, to ma chęć powiedzieć coś w rodzaju: „przepraszam państwa, może innym razem”.



*Składanie wieńca przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Absolwenci Gimnazjum im. Mikołaja Reja w stulecie istnienia Gimnazjum.
Edward Rühle niesie wieńiec. 7 lipca 1996 r.*

Pamiętam jedną podobną sytuację przed inauguracyjnym posiedzeniem konferencji Komisji Mapy Metalogenicznej Europy w Zakopanem,

organizowanej przez Instytut Geologiczny w 1962, a może w 1963 r. W konferencji tej prócz geologów z obozu socjalistycznego uczestniczyli naukowcy z Zachodu, a konkretnie z Niemiec Zachodnich, Szwecji i chyba Francji, co samo w sobie było wówczas wielkim ewenementem. Słowo wstępne miał wygłosić dyrektor Instytutu Geologicznego. Tekst wystąpienia miał po rosyjsku powtarzać absolwent radzieckiej uczelni, mgr Jerzy Fedak, a po niemiecku – autor niniejszych wspomnień.

Oczywiście, wystąpienie było przygotowane i wystarczyło dyskretnie zerkać do tekstu, a w ostateczności po prostu je przeczytać. Byliśmy przerażeni, gdy minęło już kilka minut od ustalonej godziny rozpoczęcia posiedzenia, a Profesora stale nie było na sali. Pobiegłem do jego pokoju i zobaczyłem Profesora wcale nie szykującego się do wyjścia. Powiedział mi, że źle się czuje, nie może przemawiać i niech kto inny zagai obrady. Udało mi się go przekonać, że to jest absolutnie niemożliwe i że musi iść ze mną na salę obrad. Posiedzenie zaczęło się z niewielkim, może 10 minutowym opóźnieniem; wystąpienie Profesora było udane, wszystko dobrze się skończyło, a trzydniową konferencję uznano za sukces naukowy i organizacyjny Instytutu Geologicznego.

Sytuacja prof. Edwarda Rühle jako bezpartyjnego dyrektora dużej instytucji nie była łatwa, ale też nie była zagrożona. Był człowiekiem szanowanym, o nieposzlakowanej opinii. Nikt nie kwestionował jego kompetencji jako dyrektora Instytutu. Tak było, aż do czasu, jak dzisiaj pewnie powiedzielibyśmy – „afery rdzeniowej” (było to chyba w 1964 r.). „Afera” polegała na tym, że niezgodnie z obowiązującą procedurą odpowiedzialny pracownik dopuścił do przedwczesnego zniszczenia pewnej liczby rdzeni wiertniczych przed ich wszechstronnym zbadaniem przez innych zainteresowanych geologów. Dyrektor Instytutu ukarał tego pracownika naukowego naganą, zdaniem ukaranego, niesłuszną.

Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że pracownik ten był I sekretarzem organizacji partyjnej. Nie wiem, w jaki sposób informacja o tym dotarła do Komitetu Dzielnicowego – może była to skarga, może był to donos. Tak czy owak, wybuchła wielka awantura. Stała się bowiem rzecz niebywała: oto bezpartyjny dyrektor udzielił nagany I sekretarzowi organizacji partyjnej. W oczach aparatczyków było to coś w rodzaju świętokradztwa; zdarzenie interpretowali jako podważanie kierowniczej roli partii. Sprawa zakończyła się chyba wycofaniem nagany, ale osad pozostał. Można było odnieść wrażenie, że „właściwe czynniki” zaczęły się Profesorowi bliżej przyglądać – niekoniecznie z życzliwych pozycji.

Niedługo potem w Instytucie do głosu doszła grupa „hunwejbiniów”, składająca się z kilku nie tyle radykalnych, co ambitnych partyjnych pracowników naukowych, którym bezpartyjny dyrektor wyraźnie nie pasował. Działali konsekwentnie – głównie jednak pośrednio – przeciw urzędującemu dyrektorowi Instytutu, korzystając ze skutecznych w owym czasie metod. Profesor Edward Rühle nie podjął z nimi walki. To nie było w jego stylu. Zresztą w ówczesnych warunkach nie miał chyba szans. Już w początkach 1966 r. zgłosił prezesowi Centralnego Urzędu Geologii, prof. Mieczysławowi Mrozowskiemu, chęć ustąpienia ze stanowiska. Prezes Mrozowski zwlekał dość długo z odwołaniem Profesora, ale naciskany z różnych stron, w dniu 16 maja 1966 r. wręczył mu dymisję.

Z profesorem Edwardem Rühle spotykałem się jeszcze niejednokrotnie, zarówno w Instytucie, jak i w Centralnym Urzędzie Geologii. Nie miał ze mną żadnych spraw do załatwienia – po prostu chciał porozmawiać. Chyba wiedział, że jest dla mnie wzorem dobrego, światłego człowieka. Bardzo go szanowałem i zawsze pozostanę mu wdzięczny za możliwość pracy pod jego kierownictwem przez cały czas sprawowania przez niego funkcji dyrektora Instytutu Geologicznego.

Następcą profesora Rühle został docent mgr inż. Roman Osika. Dlaczego właśnie on, trudno dzisiaj dociec. Najwidoczniej kompetentne czynniki doszły do wniosku, że będzie on pod pewnymi względami lepszym szefem Instytutu niż jego poprzednik. Można się obecnie domyślać, jakie to były względy, ale będą to jedynie nie udokumentowane spekulacje.

Obaj panowie różnili się ewidentnie. Jeden był przedstawicielem przedwojennej inteligencji, absolwentem jednej z najlepszych szkół średnich w Warszawie (Gimnazjum i Liceum Mikołaja Reja) i jednego z najlepszych uniwersytetów w Polsce, Uniwersytetu Warszawskiego. Drugi był produktem ówczesnego ustroju: wyrwanym ze swego środowiska chłopskim synem, który po kursie zerowym (jednoroczny kurs przygotowawczy dla studentów Akademii Górniczej, nie mających średniego wykształcenia) podjął studia na tejże Akademii. Jego wiedza humanistyczna i wiedza o świecie były *eo ipso* ograniczone, a lapsusy wynikające z mylenia niektórych pojęć, bądź błędnej ich interpretacji, były przedmiotem licznych żartów i dowcipów, krążących po Instytucie. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że podobnie jak profesor Rühle, docent Osika za swój najistotniejszy obowiązek uważał pełne wykonanie zadań stojących przed Instytutem Geologicznym.

Jego ważną cechą, w niektórych przypadkach pozytywną, był upór i wytrwałość w dążeniu do wyznaczonego celu. Sam byłem świadkiem jego twardej determinacji, aby osiągnąć coś, co wydawało się nieosiągalne. Rzecz działa się w Londynie latem 1972 r. Uczestniczyłem wtedy w zakończonym właśnie trzytygodniowym kursie języka angielskiego, organizowanym przez British Council na uniwersytecie w Exeter dla pracowników polskich urzędów centralnych (bezpłatnie) i odpłatnie dla osób indywidualnych z innych krajów. Dostałem wiadomość z Instytutu, czy z Centralnego Urzędu Geologii, że mam zostać o dwa dni dłużej w Londynie, odebrać doc. Osikę na londyńskim lotnisku, załatwić mu hotel, a następnego dnia wyekspediować do Kanady, gdzie odbywał się XII Światowy Kongres Geologiczny.

W wyniku mojego błędnego przeświadczenia, że bagażu nie trzeba wozić na lotnisko, lecz można go bez kłopotów nadać w pobliskim punkcie odbiorczym (okazało się, że nie dotyczy to lotów transkontynentalnych), zdaniem pracowników tegoż punktu groziło nam prawie z pewnością, że mój podopieczny nie zdąży na samolot. Według ich wiedzy, nadanie bagażu na lotnisku zajmuje co najmniej jedną godzinę, inne formalności co najmniej 30 minut, a samolot odlatywał już za godzinę. Na taksówkę obaj nie mieliśmy dostatecznej sumy pieniędzy, a autobus właśnie odjeżdżał.

Ja uważałem sytuację za beznadziejną i nie wiedziałem co począć. Mój szef natomiast wszedł do autobusu, w niezidentyfikowany przeze mnie sposób zmusił kierowcę do wyjścia i otworzenia bagażnika, ja załadowałem bagaż i odjechaliśmy. W trakcie jazdy opowiedziałem pasażerowi - sąsiadowi o naszej przygodzie. Dowiedziałem się, że do punktu nadawania bagażu *oversea* bliżej byłoby, gdybyśmy wysiedli jeden przystanek wcześniej, ale ten autobus tam się nie zatrzymuje. Podzieliłem się tą wiadomością z doc. Osiką. On we właściwym czasie znów w zupełnie niekonwencjonalny sposób załatwił, że kierowca zatrzymał się na tym przystanku. Mnie tylko przedtem zapytał, jak po angielsku mówi się „otwierać”. Na samolot zdążył, a po powrocie nie miał do mnie żadnych pretensji. Był po prostu wielkoduszny.

**SŁAWOMIR SMOLEŃSKI*

Urodzony w 1926 r. w Ciechanowie. Absolwent Akademii Handlowej w Krakowie (1950 r.). Geograf. W Państwowym Instytucie Geologicznym pracował w latach 1953-1974. Kierownik Działu Planowania, Organizacji i

Współpracy z Zagranicą. W latach 1974-1987 pracował w Centralnym Urzędzie Geologii. Od 1987 r. na emeryturze.

Bolesław Kubica*

ŻYCIE POŚWIĘCONE SIARCE (1953-2008)



Bolesław Kubica, lata 1990-te.

Urodziłem się 19 maja 1929 roku w Cieszynie – Księstwie Piastów od IX wieku. W latach 1935-1939 uczęszczałem do szkoły powszechnej im. Stanisława Konarskiego w Cieszynie, a w czasie okupacji, w latach 1940-44 do *Übergangvolksschule*. Po wyzwoleniu w 1945 r. wstąpiłem do gimnazjum i liceum im. Antoniego Osuchowskiego w Cieszynie, które ukończyłem egzaminem maturalnym w 1948 r. Wychowankowie z Osucha byli absolwentami m.in. Uniwersytetów z Harwardu i Yale.

Kolejny etap edukacji odbyłem na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej (taki jest wpis w indeksie) – na Wydziale Nauk Przyrodniczych,

Sekcja Geologii, który ukończyłem w 1953 roku, w 300-lecie Uniwersytetu Wrocławskiego.

W historii geologii Uniwersytetu Wrocławskiego wyróżniamy dwie epoki: pierwsza od 1811 do 1945 r. i druga od 1945 do 2004 r., po wcieleniu Śląska do Macierzy. Geologia w naukach przyrodniczych odgrywała znaczącą rolę w XIX i XX wieku na Uniwersytecie Wrocławskim, zwłaszcza mineralogia, optyka kryształów i mikroskopy polaryzacyjne, z twórcą monumentalnego podręcznika mineralogii szczegółowej, C. Hintze, na czele.

Po powrocie Śląska do Macierzy geologia była jednym z pierwszych kierunków, które wznowiły działalność naukowo-edukacyjną na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej, bazujących głównie na kadrze lwowskiego Uniwersytetu im. Jana Kazimierza i Politechniki. W okresie moich studiów w latach 1949-1953 był następujący układ organizacyjny: Katedra geologii ogólnej – Prof. Henryk Teisseyre, Katedra stratygrafii – Prof. Józef Zwierzycki, Katedra mineralogii i petrografii – Prof. Kazimierz Maślankiewicz. Wprowadzeniem do geologii były kierunki podstawowe: matematyka, fizyka, chemia i geodezja. Uzupełnieniem były elementy geofizyki i górnictwa odkrywczego. Z nauk przyrodniczych były: podstawy zoologii, botaniki, geomorfologii, paleobotaniki i paleozoologii.

Dyplom w zakresie geologii i paleontologii otrzymałem w grudniu 1953 r. Zgodnie z obowiązującymi regulami otrzymałem nakaz pracy do nowo powołanego Centralnego Urzędu Geologii, do Departamentu Komisji Zasobów Kopalin, na stanowisko Inspektora. Z marszu zostałem skierowany w dniu 15.12.1953 r. jako przedstawiciel CUG o poufnym charakterze do Instytutu Geologicznego, do dr inż. Stanisława Pawłowskiego, kierownika specjalnej akcji badawczej.

Zaopatrzeni w dokumenty i delegacje, po południu 16 grudnia mknijemy samochodem w rejon Tarnobrzega. W samochodzie jest mgr Katarzyna z Czarnockich Pawłowska, kolega ze studiów, mgr Bronisław Orłowski (CUG – Departament Nadzoru) i hydrogeolog W. Majewski. Kwaterujemy w Mokrzeszowie, na wschód od Tarnobrzega, u samego wójta Bili. Jeszcze w nocy wizytujemy wiercenia, z odkrywczym otworem A-1, z samowypływem wód siarkowodorowych.

Tak zaczął się bilans otwarcia, nie zdając sobie sprawy z uruchomienia wielkiej zbiorowej akcji badawczej, której finałem było odkrycie i udokumentowanie w ciągu 25 lat jednych z największych złóż siarki na świecie, zlokalizowanych w północnej części zapadliska przedkarpackiego, w widłach Wisły i Sanu oraz na Roztoczu.

W badaniach geologicznych południowego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich i zapadliska przedkarpackiego wyróżniamy trzy etapy:

- a) okres przedwojenny,
- b) okres powojenny,
- c) okres intensywnych poszukiwań surowców i odkrycia złóż m.in. siarki rodzimej.

Okres przedwojenny

Erygowany w 1919 r. Państwowy Instytut Geologiczny z siedzibą w Warszawie powołał terenową placówkę badawczą w Kielcach, obejmującą Góry Świętokrzyskie i południowe ich obrzeże z północną częścią zapadliska, kierowaną przez wybitnego geologa, prof. Jana Czarnockiego – współzałożyciela PIG-u. Zakres prac obejmował terenowe badania kartograficzne i surowcowe. Kadra Instytutu była skromna: około 40-tu geologów rozsiadanych na znacznym obszarze.

Poza klasycznymi metodami (zdjęcia geologiczne, szybiki) zaczęto wprowadzać w latach 1937-1939 nowe metody badawcze z nowoczesną aparaturą: grawimetrię i sejsmikę. Te raczkujące metody badań pozwoliły ustalić nowy pogląd na budowę geologiczną monotonnego obszaru, przykrytego jednorodnym płaszczem sarmackich iłów krakowieckich, z rosnącą ich miąższością aż do przedgórza Karpat. Badania grawimetryczne na tym obszarze nowoczesnym aparatem Tyssena, jednym z pierwszych w kraju, prowadził dr inż. Stanisław Pawłowski. Wstępna analiza jego badań pozwoliła wypracować nowy pogląd na budowę strukturalną regionu.

Okres powojenny

Baza surowcowa kraju była ograniczona. Brakowało w szczególności: surowców chemicznych (fosforytów, siarki, soli), surowców metalicznych i energetycznych. Dalsza kontynuacja badań geofizycznych w latach 1948-1950 wskazała na odmienną budowę strukturalną w stosunku do aktualnie lansowanej w okolicy dyslokacji Zawichost-Kurdwanów, gdzie paleozoik łagodnie zapada się w kierunku południowo-wschodnim na linii Tarnobrzeg-Stalowa Wola. Narzucało to potrzebę badań okolic Tarnobrzega, zwłaszcza paleozoicznego podłoża miocenu.

W oparciu o analizę materiałów geofizycznych Jan Czarnocki (1950-1951) rozpoczął realizację programu badań strukturalnych otworami Boży Dar, Słupcza i Wrzawy. Po śmierci Jana Czarnockiego (1951) prace kontynuował Stanisław Pawłowski (1952-1978).

Okres intensywnych poszukiwań surowców i odkrycia złóż m.in. siarki rodzimej w latach 1953-1978

Badania strukturalno-poszukiwawcze S. Pawłowski skoncentrował w miocieńskiej panwi, w południowym obrzeżeniu Gór Świętokrzyskich, w widłach Wisły i Sanu, z podstawą na linii Sandomierz + Osieck – Tarnobrzeg – Stalowa Wola. Pierwsze otwory zlokalizowano na pozytywnych anomaliach grawimetrycznych w Luszyca koło Połańca oraz w Mokrzeszowie koło Tarnobrzega. Otwory te zlokalizowano około 110 km na wschód od wychodni gipsów siarkonośnych i wapieni osiarkowanych w dolinie Nidy, eksploatowanych do 1921 r. m.in. w Posądzu i w Czarkowych. Otwór Luszyca 1 nawiercił 18 czerwca 1953 r. gipsy i 1,5 m wapień osiarkowane w spągu, na głębokości 295 m. W otworze A-1 Mokrzeszów koło Tarnobrzega 29 września 1953 r. nawiercono na głęb. 76 m wapień osiarkowane oraz na głęb. 103 m (*niespodziewanie*) płytko zalegające osady kambru. Komunikat z 23.10.53 o odkryciu siarki rodzimej w Mokrzeszowie otworzył wrota do siarkowego „sezamu”.

Mój staż terenowy rozpocząłem od kontroli otworów, profilowania rdzeni i ich segregacji na rdzenie z serią rudną i płonne, meldunków do sztabu akcji w Warszawie, wyznaczania i likwidacji otworów. Do dnia 16 grudnia 1953 r wykonano 4 otwory, w ruchu były 3 otwory. W otworze A-1 miał miejsce artezyjski samowypływ wód z siarkowodorem. Taki był mój bilans otwarcia.

Największym sukcesem w historii odkrycia złóż siarki rozpoczął się rok 1954. Ósmego stycznia na podstawie 8 otworów o metrażu 835 m została zatwierdzona pierwsza dokumentacja geologiczna złoża siarki rodzimej w kat. C₂ Mokrzeszów – Tarnobrzeg o zasobach 11 Mg siarki. Geologiem dokumentatorem był dr Stanisław Pawłowski, a koreferentem Prezes CUG, prof. dr inż. Andrzej Bolewski. Potwierdzenie występowania mineralizacji siarkowej o przemysłowym znaczeniu na obszarach położonych 110 km poza historycznymi ośrodkami wydobywania (Posądz, Czarkowy) dało asumpt do zaprogramowania prac poszukiwawczych złóż siarki. Odkrycie złoża w Mokrzeszowie (A-1) wywołało lawinę problemów: finansowych, techniczno-wiertniczych, geologicznych, dokumentacyjnych i kadrowych.

Podejmując na szeroką skalę prace poszukiwawcze eksperci postawili pytanie: czy wystąpienia siarki są koncentracjami typu gniazdowych skupień (Posądz, Czarkowy) i czy procesy osiarkowania mają regionalny zasięg. Przyjęto, że osiarkowanie obejmuje szersze obszary. Czynniki odpowiedzialne za finansowanie i programowanie badań: Państwowa Komisja

Planowania Gospodarczego i Centralny Urząd Geologii zaaprobowaly to ryzykowne stanowisko na konferencji w dniu 9 stycznia 1954 r. Na podstawie pierwszej zatwierdzonej dokumentacji siarki zlokalizowano nastepne otwory penetracyjne, oddalone od kilku do kilkunastu km. Daly one w calosci pozytywne wyniki.

Juz na tym etapie polskie akcje badawcze byly „monitorowane”. Na poczatkuj maja, na zaproszenie CUG wizytowali rejon badan specjaliści z Moskwy. Byli to: przedstawiciel Komisji Zasobow Kopalin, odkrywca zloza siarki w Rozdole (Ukraina Zach.), hydrogeolog i specjalista do spraw geologiczno-inzynierskich. Komisja zapoznala sie z wynikami badan i pracami wiertniczymi, ktore ocenila pozytywnie.

W dniu 8 maja 1954 r. Prezydium Rzadu uchwala 267/54 zaakceptowalo projekt prac geologiczno-poszukiwawczych za siarke rodzima w rejonie Tarnobrzeg - Machow z zadaniem osiagniecia zasobow w kat. C₂ - 20 mln Mg, w kat. C₁ - 10 mln Mg i w kat. B - 4 mln Mg. Okreslono termin ukończenia prac na 31 grudnia 1954 r. Wyasygnowano finanse na 10 000 mb robót wiertniczych.

W celu terminowej realizacji tej uchwały Rzadu, Prezes CUG powołal wieloosobowy zespól badawczo-dokumentacyjny w skladzie: mgr inż. Jerzy Borucki, mgr Boleslaw Kubica, mgr St. Gucik, inż. T. Janiszewski, mgr Horn oraz inż. Mariusz Dembowiecki. Dr inż. Stanislaw Pawlowski, po wytypowaniu obszarow do dalszych badan, zostal przesuniety do badan obszarow perspektywicznych w rejonie Szydłowa (kieleckie). Otrzymał tez nominacje na Profesora i Nagrode Państwową I stopnia.

Rozpoczela sie najwieksza batalia poszukiwawcza na ziemi tarnobrzezskiej. Ze zlepkuj przedsiwborstw i kadry wiertniczej utworzono Przedsiębiorstwo Robót Geologicznych w Warszawie, z różnego typu sprzetem wiertniczym: węgierskim, radzieckim i polskim. W terenie dzien i noc pracowalo 36 aparatow wiertniczych. Geolodzy pracowali na dwie zmiany. Badaniami objeto obszar miedzy Machowem na poludniu i Kajmowem na polnocy, glownie na tarasie zalewowym Wisly. Drugim etapem byly prace kameralne w Warszawie. Opracowywano zalaczniki tekstowe i graficzne dla kompleksowej dokumentacji geologicznej, obejmujacej takze ocene warunkow hydrogeologicznych i geologiczno-inzynierskich.

W ciągu niespełna jednego roku opracowano trzy kompleksowe dokumentacje:

- w kat. C₂: Mokrzychów – Miechocin – Machów (9.12.1954),
- w kat. C₁: Miechów – Machów (23.02.1955),
- w kat. B: Kajmów – Machów (13.05.1955).

Te kompleksowe dokumentacje posłużyły do opracowania projektu odkrywkowej eksploatacji siarki rodzimej. Zasoby w kat. C₂ ustalono na 92 mln Mg (ton), co zaliczało to złożo do kategorii złóż o światowym znaczeniu. Już na etapie badań geologicznych górnicy powołali dyrekcję kopalni siarki w budowie (Zarządzenie Ministra Górnictwa nr 288 z dnia 1.07.54). Pierwszym pełnomocnikiem ministra górnictwa siarkowego i późniejszym dyrektorem tworzącego się kombinatu został mgr inż. Fr. Machalski.

Takie były początki pionierskich badań geologicznych oraz budowy kopalni i zakładów przetwórczych siarki na ziemi tarnobrzesckiej w widłach Wisły i Sanu. Nie dysponując w tym względzie żadnym doświadczeniem zwrócono się w 1955 r. do Gost. Gor. Chim. Projektu w Liubercach pod Moskwą o opracowanie projektu kopalni odkrywkowej i zakładów przerobczych siarki w Machowie. Delegacja specjalistów z Liuberców, po zapoznaniu się z dokumentacjami geologicznymi PIG-u i terenem przyszłych lokalizacji kopalni w Machowie i Solcu Starym koło Szydłowa, stwierdziła jednak brak informacji o obszarach alimentacyjnych wód na lewym brzegu Wisły, mogących zagrażać przyszłej kopalni.

Analiza materiałów z wierceń, zdjęć geologicznych, z uwzględnieniem własnej koncepcji, wykazała wynoszenie się wapieni siarkonośnych w kierunku stromego brzegu Wisły w rejonie Świniar. W ekspresowym tempie zlokalizowaliśmy otwór X-14 w Piasecznie (lewy brzeg Wisły). Aparat ręczny na 14-tu metrach nawiercił grudy wapieni siarkonośnych pod zwirowcami czwartorzędu.

Wtedy nastąpiły dwie niespodzianki: Przede wszystkim prof. S. Pawłowski został przywrócony do władzy w badaniach regionalnych. Po drugie, na tarasie Wisły odkryto płytko zalegające wapienie siarkonośne o wielomilionowych zasobach. Górnicy otrzymali do dyspozycji złożo z małym nadkładem, technicznie możliwe do eksploatacji wg polskiej koncepcji i przy użyciu naszych maszyn urabiających. W tym stanie rzeczy górnicy podziękowali projektantom radzieckim za pomoc i zintensyfikowali prace związane z odwodnieniem i zdejmowaniem nadkładu. Na Barbórkę 1957 r. świę-

towano dojście do złoża. Takie były początki odkrywkowej kopalni siarki w Piasecznie, na lewym brzegu Wisły.

Badania regionalne na obszarze kieleckim między Staszowem i Chmielnikiem w latach 1955-1957

Pierwsze surowcowe wyniki uzyskano w 1955 r. na drobnym „wysadzie” wapieni jurajskich. Wystąpienia siarki odkryto w Solcu koło Szydłowa na głębokości 24 m. Wystąpienia te stwierdzono też dalej w kierunku SE, aż do miejscowości Gacki, gdzie znaleziono je na głębokości 67 m.

W 1957 r. front badań przemieścił się do Grzybowa, na południe od Staszowa. Otwór Grzybów 1, zlokalizowany na anomalii grawimetrycznej, nawiercił na głęb. 145 m wapień siarkonośny o miąższości 31 m, stwarzając podstawy do otworowej eksploatacji siarki metodą podziemnego wytopienia („Frasha”). U uruchomiono ją w 1966 r. jako pierwszą na kontynencie europejskim. Równolegle, w 1957 r. prowadzono penetrację na wschodzie, w Horyńcu koło Lubaczowa, gdzie odkryto przejawy osiarkowania w miejscowości Trusze, kontaktujące się ze złożem Niemirów na granicy z Ukrainą. Tak zakończył się pierwszy etap badań i odkryć złóż siarki rodzimej w północnej części zapadliska przedkarpackiego. Koncentrowały się one w strefie brzeżnej, do 300 m głębokości zalegania serii złożowej, co było limitowane kryteriami bilansowości.

Po roku 1957 zahamowano poszukiwania złóż siarki. Decyzję wydały w 1958 r. Komisja Planowania i CUG. Wynikało to z kilku przyczyn:

- 1) uznano przemysł siarkowy za zbyt kapitałochłonny na etapie jego budowy,
- 2) wobec posiadania światowych zasobów siarki dalsze poszukiwania uznano za niecelowe, mimo dynamicznie rozwijającego się przemysłu siarkowego, zwielokrotniającego produkcję,
- 3) z błędnej oceny wieloletniego zabezpieczenia produkcji w dotychczas udokumentowanej bazie zasobów (do 1957 r.).

Penetracja brzeżnej partii zapadliska (1958-1962) w strefie Roztocza, między Bilgorajem-Józefowem i Horyńcem

Po zakończeniu pierwszego etapu poszukiwań złóż siarki, postawiono następujące zadania:

- a) zbadanie zasięgu i głębokości zalegania siarczanów (gipsów i anhydrytów),

- b) zbadanie struktur perspektywicznych dla bituminów w miocenie i w jego podłożu,
- c) zdefiniowanie budowy geologicznej największej w Polsce anomalii grawimetrycznej Korytków-Biłgoraj, zwłaszcza jej mezo-paleozoicznego podłoża.

Roztocze rozgraniczało dwie jednostki: od północy nieckę lubelską z karbonem produkcyjnym, a na południu zapadlisko przedkarpackie ze znanymi już złożami gazu ziemnego Cetynia i Szczutków i przejawami osiarkowania anhydrytów w pojedynczych otworach. Struktury perspektywiczne precyzowano na podstawie badań grawimetrycznych i sejsmicznych IG i przemysłu naftowego.

Zlokalizowane w strefie brzeżnej otwory Babczyn, Cieszanów, Osuchy i Kozaki stwierdziły wzrost miąższości ilów krakowieckich (sarmatu). Osiarkowanie gipsów i anhydrytów od kilku metrów stwierdzono w otworach Cieszanów i Osuchy. Podłoże miocenu wykazało duże zróżnicowanie (idąc od SE w kier. NW): kreda górna, jura górna (otwór Cieszanów-Babczyn), ordowik (Osuchy), kambr górny, tremadok (Kozaki).

W strefie anomalii grawimetrycznej na linii Korytków-Hedwiżyn stwierdzono uskoki o amplitudzie 800 m. Najgłębszy wówczas na Roztoczu otwór Dyle (2560 m) w rejonie Biłgoraja koło Hedwiżyna stwierdził gruby kompleks kredy górnej - 1200 m, z fosforytami w spągu, 400 m jury górnej i środkowej, z ooidami żelazistymi w spągu i z dużym hiatusem oraz kambr górny, silnie zlitfikowany, z mikrofałdowymi strukturami.

Objawy bituminów stwierdzono w kilku przypadkach, m.in. w otworze Babczyn koło Cieszanowa, w miocenie nad siarczanami (zgazowana płuczka). W otworze Dyle, w kompleksie wapieni jurajskich obserwowano zapach bituminów i olbrzymie ucieczki płuczki (kilka wagonów objętości).

Poszukiwanie bituminów wymaga stosowania szeregu standardowych badań, w skład których wchodzi: opróbowanie interesujących partii, diagramy karotażowe, termodiagramy, diagramy zgazowania, charakterystyka mineralizacji wód w strefie horyzontów wytypowanych do perforacji i ustalenie ich wydajności w m³/godz.

Pozornie monotonne termogramy pozwalały po ich zróżnicowaniu (II-ga pochodna) odtworzyć pierwotne pole termiczne, wyraźnie kontrastowe na granicy zróżnicowanych wiekowo kompleksów skalnych. Metoda ta pozwalała typować okresy wysoko- i niskotemperaturowe w odpowiednim przedziale czasu. Metodę tę można również wykorzystać w litostratygrafii, zwłaszcza przedziały wysoko- lub niskotemperaturowych okresów rozwoju.

Metody tej nie opatentowałem. Może być ona przydatna w bezrdzeniowych partiach otworów.

Etap intensyfikacji badań i odkryć największych złóż siarki w latach 1969-1977

Elementy decydujące wówczas o strategii poszukiwań:

- 1) Ówczesny stan rozpoznania i udokumentowane zasoby nie gwarantowały otwierania nowych frontów eksploatacji.
- 2) Skokowo rosnące wydobycie i duże zapotrzebowanie siarki na krajowe potrzeby i na eksport oparte były na jedynej kopalni odkrywkowej „Piaseczno” i na będącej w budowie kopalni „Machów” na prawym tarasie rzeki Wisły.
- 3) Żadne ze złóż udokumentowanych w latach 1953-57 nie miało naturalnych konturów. Dotyczyło to zwłaszcza złóż Tarno-brzeg – Machów i Grzybów.
- 4) Rozwój regionalny infrastruktury, szlaki komunikacyjne, obszary zajmowane pod przyszłe kopalnie, filary ochronne oraz budownictwo komunalne były podstawowymi elementami hamującymi otwieranie nowych frontów eksploatacji.

Z naukowego punktu widzenia należało co najmniej dla jednego złoża ustalić naturalne granice, a także zmienność w nim mineralizacji siarkowej i rozkład podstawowych parametrów złożowych, takich jak miąższość, % zawartości siarki, zasobność, przepuszczalność i warunki strukturalne. Były to ważne elementy dla sformułowania poglądów na genezę złóż siarki, dla przygotowania podziemnego wytapiania i dla ustalenia nowych kryteriów bilansowości.

W 1963 r. otrzymałem polecenie opracowania projektu ustalenia kontynuacji złoża Machów – Mokrzychów w kierunku wschodnim, do rzeki Łęg koło Jamnicy. Po wykonaniu oceny warunków strukturalnych, oceny zasobności oraz głębokości zalegania potencjalnych utworów siarkonośnych i przyjęciu zasobów siarki w wielkości około 230 mln Mg, w projekcie przewidziałem wykonanie 50 otworów o łącznej długości 10 000 mb.

Dwaj główni specjaliści: prof. St. Pawłowski i Prezes CUG, prof. M. Mrozowski, uznali te założenia za mało wiarygodne. Zalecono więc etapową realizację projektu, przy zastosowaniu desantowej metody lokalizacji otworów: w Jeziorcu F-15, na Grębowie H-17 i w Jamnicy K-19 nad rzeką Łęg. Wszystkie te otwory, zlokalizowane na odcinku 15 km, stwierdziły osiarkowanie profili o miąższości od 17 do 22 metrów.

W dokumentacji złoża Jeziorko-Grębów ustalono zasoby w kat. C₂ na 268 mln Mg. Pomyłka rzędu 15% byłaby w granicach błędu. Konsekwentnym fantastom „szczęście sprzyja”. Konturowanie złoża Jeziorko-Grębów zakończono na rzece Łęg, bez zamknięcia jego granicy. Stosując metodę małych kroków ustalono przedłużenie złoża o dalsze 9 km, po Turbie-Rozwadów, do rzeki San. Powiększyło to zasoby siarki w kat. C₂ o dalsze 124 mln Mg.

Łącznie, od Piaseczna aż do rzeki San, odkryte złoża siarki kontynuują się na odcinku 35 km, w tym kompleks Jeziorko-Grębów-Jamnice-Rozwadów: na odcinku 23 km. Takiego gigantycznego złoża siarki do tej pory nie zarejestrowano w annałach światowych.

Równolegle do badań w widłach Wisły i Sanu, dokumentowano połączenie złoża Solec-Gacki ze złożem Grzybów koło Staszowa. Celem prac było ustalenie zasobów dla podejmowanego na tym złożu eksperymentu podziemnego wytopienia metodą Frasha, w 1966 r. uwieńczony sukcesem – pierwszym udanym podziemnym wytopem siarki w Polsce i w Europie.

Poza tym kontynuowano prace badawczo-poszukiwawcze w rejonie pierwszego wiercenia Luszycy 1 koło Połańca. Zmierzały one do stworzenia rezerwowego złoża dla kopalni siarki. Zakończono je udokumentowaniem w 1973 r. złoża Rudniki, o zasobach 45 mln Mg siarki w kat. C₂. Złoże Rudniki występuje w tym samym ciągu strukturalnym o kierunku SE, co złoża Solec-Grzybów.

Prawie równolegle z obszarem kieleckim rozpoczęto poszukiwania w rejonie Horyńca-Baszni, na E od Lubaczowa, z graniczącym na SE złożem Niemirów na granicy Polski z Ukrainą zachodnią. Stwierdzone w latach 1957-1960 w otworach Trusze 3 i Cieszanowe przejawy osiarkowania i przeprowadzona analiza strukturalna wykazały istnienie wąskiej zrębowej struktury między Cieszanowem a granicą Państwa. Zlokalizowany w jej obrębie otwór Basznia 26 nawiercił w 1970 r. bogato osiarkowane wapienie. Już w 1974 r. przedstawiono dokumentację złoża siarki, zwiększającą dotychczasowy bilans siarki o 13%. Pozostała część obszaru perspektywicznego między Basznią i Cieszanowem stwarzała możliwość przedłużenia złoża w kierunku Cieszanowa.

W 1977 roku na złożu Basznia uruchomiono doświadczalną kopalnię otworową. Miała ona duże znaczenie dla adaptacji eksploatacji otworowej do tzw. złóż kompaktowych, o zwartej porowatości i słabej drożności wód i upłynnionej siarki. Prowadząc badania w dwóch odległych rejonach (Rudniki – Basznia), odległych około 150 km od siebie, podjęto kolejne prace na

tarasie zalewowym Wisły, między Osiekiem i Baranem Sandomierskim na południe od Tarnobrzega, na strukturze odkrytej badaniami sejsmicznymi – refleksyjnymi Państwowego Górnictwa Naftowego. Drugim powodem podjęcia prac dla wyjaśnienia siarkonośności obszaru było zlokalizowanie elektrowni na południe od Osieka, na tarasie Wisły, *vis a vis* zamku w Baranowie Sandomierskim.

Od pierwszych otworów nawiercano tam duże miąższości wapieni siarkonośnych. Zintensyfikowany w latach 1973-1976 program badań doprowadził do odkrycia i udokumentowania drugiego po tarnobrzeskim giganta. Złoże Osiek-Baranów-Skopanie jest zasobowo równoważne złożu Jeziorko-Grębów. Ponadto złoże to charakteryzują miąższości dochodzące do 45 metrów. Złoże występuje w specyficznym układzie topograficzno-komunikacyjnym. Prawie 60% zasobów złoża uwieczonych jest w filarach, którymi są: rzeka Wisła, miasto Baranów Sandomierski, zamek Baranów, szlaki komunikacyjne, tor kolejowy. Odkrycie złoża wymusiło zmianę lokalizacji nowej elektrowni i przemieszczenia jej do Zawad, na N od Połańca.

Ostatnim akordem prac poszukiwawczych było rozpoznanie obszaru na SW od Jeziorka, położonego w rejonie Alfredówka – Buda Stalowska, gdzie w kilku otworach stwierdzono wapień siarkonośną o miąższościach powyżej 20 m. Zasoby tej odnogi oszacowano na około 60 mln Mg. Był to ostatni etap prac badawczych w północnej części zapadliska przedkarpackiego, w południowym obrzeżeniu Gór Świętokrzyskich i Roztocza.

Krótkie kalendarium drugiego etapu poszukiwań przedstawia się następująco:

rok 1963	rozpoczęcie drugiego etapu poszukiwań w rejonie Jeziorko-Grębów
rok 1966, czerwiec	uruchomienie kopalni otworowej w Grzybowie
rok 1967, luty	dokumentacja geologiczna w kat. C ₂ złoża Jeziorko-Grębów
rok 1967, lipiec	uruchomienie kopalni otworowej Jeziorko
rok 1968, marzec	dokumentacja złoża siarki Poręba Wierzbička – Dobrów - Grzybów w kat. C ₂
rok 1968, lipiec	program intensyfikacji badań w rejonie Połańca
rok 1971, luty	memoriał w sprawie dalszych poszukiwań złóż siarki

	w Polsce (St. Pawłowski)
rok 1971, marzec	dokumentacja geologiczna złoża siarki Jamnica
rok 1972, marzec	prognoza zasobów siarki do 2000 r. (oprac. B. Kubica, St. Pawłowski i K. Pawłowska)
rok 1973, czerwiec	dokumentacja geologiczna złoża siarki Rudziki w kat. C ₂
rok 1974, czerwiec	dokumentacja geologiczna złoża siarki Basznia w kat. C ₂
rok 1975, marzec	opracowanie perspektyw rozwoju polskiej siarki
rok 1976, lipiec	dokumentacja złoża siarki Osiek – Baranów
rok 1977, sierpień	wyniki geologicznych badań w rejonie Alfredówki – Buda Stalowska
rok 1977, wrzesień	otwarcie kopalni otworowej siarki Basznia w Smolin- ce na E od Lubaczowa

Podsumowując 24-letni okres badań (1953-1977) należy stwierdzić, że był on nieprzewidywalnie owocny w efekty:

- 1) stosując nowe metody geofizyczne (grawimetria) można było precyzyjnie zlokalizować obszary siarkonośne, dotąd nie badane, bez stosowania tradycyjnych metod;
- 2) opracowano geologicznie i zasobowo złoża siarki rodzimej z ich naturalnymi konturami;
- 3) z cząstkowych etapów badań i dokumentowania złóż ustalono, po skumulowaniu, następujący ranking złóż siarki:
 - 3a – złożo Piaseczno-Machów-Jeziorko-Grębów-Jamnica, długości 33 km, o łącznych zasobach w kat. C₂ - 0,5 mld Mg; największy w skali światowej gigant zasobów siarki rodzimej;
 - 3b – złożo Osiek-Baranów-Skopanie, o zasobach 0,26 mld Mg;
 - 3c – złożo Basznia, o zasobach 0,12 mld Mg, z otwartym konturem do miejscowości Cieszanów;
 - 3d – złożo Poręba Wierzbicka-Dobrów-Grzybów, o zasobach 55 mln Mg;

- 3e – złożo Rudniki koło Połańca, o zasobach ~45 mln Mg;
- 4) w drugim etapie poszukiwań (1962-1978) zasoby siarki zostały zwielokrotnione prawie dziesięciokrotnie w stosunku do stanu z 1957 r. i osiągnęły pułap ~1 mld Mg (kat. C₂);
 - 5) koncepcyjny i badawczy wysiłek zespołu geologii z PIG-u, w składzie prof. dr St. Pawłowski, doc. K. Pawłowska i dr B. Kubica, w ciągu 24 lat udokumentował olbrzymi potencjał zasobów dla przemysłu siarkowego, niezbędnej gałęzi wielu przemysłów (~240), na potrzeby krajowe i na eksport (w szczytowej fazie rozwoju do 25 krajów na różnych kontynentach). W latach 1977-1985 Polska była w świecie drugim producentem i trzecim eksporterem siarki, wydobywanej metodą Frasha i w odkrywkach;
 - 6) akcje poszukiwawcze wyprzedzały poczynania i decyzje inwestycyjne przemysłowego zagospodarowania nowo odkrytych złóż.

Podsumowanie ekonomiczne badań i odkryć złóż siarki rodzimej

Prace badawczo-poszukiwawcze, zwłaszcza drugiego etapu badań, cechował wysoki poziom trafności pozytywnych otworów (60-70%). Na efekty te złożyły się:

- 1) trafne modele przestrzennej pozycji złóż siarki, tworzącej wydłużone, wężopodobne formy „typu anakonda”, o długości od kilku do kilkudziesięciu km i szerokości od 0,5 do 1,5 km;
- 2) nowa metoda lokalizacji otworów dla dokumentacji zasobów w kat. C₂, która polegała na ich zagęszczaniu w odległościach od 100 do 500 m, na przekrojach wyznaczanych co 1-1,5 km, zorientowanych prostopadle do podłużnej osi struktury.

Gdyby zastosować tradycyjną metodę lokalizacji otworów (dla kat. C₂) w formie prostokątów o rozstawie 1,0-1,5 km, to w większości przypadków byłyby to otwory płonne.

W procesie badawczo-poszukiwawczym, oprócz rozpoznawania rejonu Tarnobrzega-Machowa, w latach 1954-1977 na całą akcję zaangażowano 0,5% rocznego budżetu PIG-u. Koszt udokumentowania 1 tony siarki wahał się od 4-24 groszy, średnio 14 gr., w ówczesnych relacjach cen. Sumarycznie, w latach 1953-1977 na poszukiwanie i rozpoznawanie złóż siarki wydatkowano odpowiednik kosztów jednego wiercenia o głębokości 5500 metrów. Należy tu przypomnieć, że w latach 1960-1980 na badania podstawowe

we i poszukiwanie bituminów wykonano na Nizu Polskim 250 otworów o głębokości 4000-5000 m.

Problematyka geologiczno-sozologiczna

W latach 90-tych ubiegłego wieku miała miejsce reorientacja badań geologicznych Państwowego Instytutu Geologicznego z regionalnych, tektoniczno-strukturalnych i poszukiwawczych na mniej kapitałochłonne, geologiczno-sozologiczne.

W okresie tym problematykę sozologiczną mineralizacji siarkowej w Polsce przedstawiłem w formie dwóch atlasów:

- 1) Atlas geologiczno-sozologiczny tarnobrzeskiego zagłębia siarkowego. Prezentuje on wpływ infrastruktury górniczej i przetwórstwa siarki na tle geologicznym (litofacje, tektonika, kwalifikacje zasobów, obszary eksploatowane i przewidziane do wydobywania), skażenie środowiska (gleby, lasy), warunki bytowe i wodne.
- 2) Atlas geologiczno-sozologiczny miocenijskiej formacji skalnej całego zapadliska przedkarpackiego. Jest to oryginalne ujęcie sozologiczne wpływu na środowisko infrastruktury przemysłowej i bytowej, związanej z aktualnym i potencjalnym zagospodarowaniem złóż surowców mineralnych (siarki rodzimej, gazu i ropy, soli kamiennej, surowców chemicznych i skalnych, w podłożu miocenu - węgla kamiennego oraz wód mineralnych i przemysłowych), ze szczególnym uwzględnieniem stref skażonych w miocenijskiej formacji i w jej podłożu. Dane zestawione zostały na 5-ciu mapach.

Geologiczna działalność zagraniczna

Działalność geologiczna w mojej dziedzinie dotyczyła poszukiwań, dokumentowania i eksploatacji surowców chemicznych: siarki rodzimej, gipsów-anhydrytów oraz ropy i gazu w strefie obszarów siarkonośnych. Obejmowała ona głównie przedpole Karpat północnych i Orientalnych.

W strefie Karpat północnych były to południowo-wschodnie obszary zapadliska przedkarpackiego na Ukrainie Zachodniej, poczynając od granicy, od złoża Basznia (Polska), przez Niemirów (Ukraina), aż do Zakarpacia, przez strefę złóż Niemirów-Rodół-Żydaczów.

W strefie Karpat Orientalnych dotyczyło to obszarów w Rumunii: Jassy oraz na południu przedpola Karpat południowych, Baniassa. Były to

wymiany wzajemne, sympozja i zjazdy np. Polskiego Towarzystwa Geologicznego w 1965 r.

W ramach Funduszu Marii Skłodowskiej-Curie zainicjowałem w latach 1980-1983 studia porównawcze złóż siarki rodzimej w USA i Polsce. Projekt nie został zrealizowany w pełni z powodu wybuchu stanu wojennego. Amerykańscy specjaliści reprezentowali trzy główne koncerny: Freeport Sulphur Co, Texass Golf Co i Duval Co, eksploatujące siarkę metodą Frascha. Zespół w składzie St. Pawłowski, K. Pawłowska i B. Kubica zapoznał się w 1981 r. ze złożami i metodami eksploatacji siarki na lądzie (Duval i Texass Golf Co) oraz w strefie *off shore* (Freeport Sulphur Co) na platformach (przedsięwzięcie trudne technicznie z powodu sztormów i huraganów).

W ramach współpracy Geominero de España i Państwowego Instytutu Geologicznego byłem ekspertem w hiszpańskim Departamencie Poszukiwań Surowców Mineralnych. Problem dotyczył możliwości poszukiwań złóż siarki w andaluzyjskiej strefie eksploatacji złóż siarki. Hiszpania w XIX-tym i na początku XX-ego wieku była znaczącym producentem i eksporterem siarki rodzimej. Siarkę eksploatowano odkrywkowo i sztolniami podziemnymi, przy zastosowaniu nowoczesnych metod badawczych: geofizyka, hydrologia, fotolineamenty, zgazowanie, wiercenia.

W związku z intensywną eksploatacją złóż gazu i zasiarzonej do kilku % ropy naftowej, jej odsiarczanie spowodowało znaczącą podaż siarki na rynku (do 80% światowego zapotrzebowania) i niskie ceny zbytu. Cena siarki górniczej nie odpowiada aktualnie na rynkach światowych kosztem wydobycia.

Kontrakty zagraniczne

W ramach umów międzynarodowych geolodzy polscy, m.in. z Państwowego Instytutu Geologicznego, realizowali różnego rodzaju kontrakty dotyczące badań regionalnych, zdjęć geologicznych, badań geofizycznych, poszukiwań surowców oraz kształcenia kadr. Kontrakty te zawierały głównie państwa Maghrebu: Libia, Tunis, Algieria i Maroko. Realizowałem dwa takie kontrakty w Algierii.

Pierwszy wykonywałem w 1977 r. w ramach Kopeksu. Kontrakt prowadzony był przez Przedsiębiorstwo Geologiczne w Kielcach. W zespole pięcioosobowym byłem doradcą naukowym. Głównym zadaniem było spenetrowanie obszarów z utworami siarczanowymi, określenie zasobów siarki nadającej się do eksploatacji, zlokalizowanie źródeł wód z udziałem

siarkowodoru i wsięków ropy naftowej. W archiwach dostępne były mapy geologiczne, wyniki wierceń oraz badań geofizycznych - sejsmicznych.

Badaniami penetracyjnymi objęto olbrzymi obszar między Marokiem i Tunezją, w strefie Atlasu Telskiego na północy, a Atlasem Saharyjskim na południu. We wschodniej części, między Konstantiną a Guelmą-Heliopolis, występują stare kopalnie siarki, eksploatowane od czasów greckich, intensywniej za czasów francuskich. Wielkość wydobycia oceniono na 10 000 tys. ton. W środkowej partii, na południe od Setifii, spenetrowano obszar Gór Hodna. Był on intensywnie badany sejsmicznie metodą refleksyjną przy poszukiwaniach złóż ropy i gazu. Materiałów sejsmicznych, niestety, nam nie udostępniono.

W wychodniach Gór Hodna znajdowały się rozproszone skupienia gipsów z przerostami ilastymi i wapienie pogipsowe płonne. Za najbardziej perspektywny w strefie zachodniej uznano Basen Dolnego Chelifu - jego północne побереże w Atlasie Telskim, między Sig a Oued Rhiou. Obszar Basenu Chelif wytypowano do przyszłych poszukiwań złóż siarki. W wychodniach gipsów stwierdzono tu drobne skupienia siarki, źródła wód z siarkowodorem, chałupnicze metody wydobycia siarki w pojedynczych ouedach (dolinach), wapienie pogipsowe w strukturach antyklinalnych, wsięki ciężkiej ropy naftowej. W pojedynczych otworach naftowych SONAREMu nawiercono przerosty wapieni osiarkowanych, od 0,5-2 metrów miąższości.

Drugi kontrakt realizowany był w latach 1984-1989. Dotyczył poszukiwań złóż siarki w basenie Chelifu. Zawarty został między Państwowym Instytutem Geologicznym a ERM, nadzorowany przez Geopol. Wytypowano dwa obszary: B - zachodni, na strukturze antyklinalnej na S od Bougirat-Djebel Milar oraz A - struktury antyklinalne na NE, w strefie Ain Zelt-Mazouna.

Efekty prac poszukiwawczych:

Na strukturze Djebel Milar w obszarze zachodnim B stwierdzono zaawansowane procesy osiarkowania. Duże miąższości serii gipsowej: 60-80 m podlegały w 0,5-2,0 m strefie przyspągowej przeobrażeniom w wapienie siarkonośne. Układ przestrzenny serii gipsowej ma tutaj charakter diapirowy, dodatkowo komplikowany wodami siarkowodorowymi typu artezyjskiego.

Obszar A, Ain Zelt-Mazouna, reprezentuje wieloraki zestaw struktur antyklinalnych, zaburzonych tektonicznie w epoce młodopalpejskiej (w mio-pliocenie). Miały one związek z procesem przeobrażeń gipsów w

wapienie, przy udziale węglowodorów i siarkowodoru, a następnie przy udziale bakterii, do siarki rodzimej. Szczegółowe zdjęcie geologiczne 1:10 000 ustaliło obecność płatów wapieni pogipsowych na powierzchni oraz drobnych skupień siarki w gipsach i wapieniach. W lokalnych nieckowatych zagłębieniach występowały skupienia ciężkiej asfaltowej ropy. W przekroju wykonanym 10-ciu otworami, od Ouedu z kopalenką siarki, w kierunku maksymalnej elewacji, w kilku otworach stwierdzono w partii spągowej wapienie siarkonośne do kilku metrów miąższości. Stwierdzono też utwory płonne – gipsowe, a w strefie maksymalnie wyniesionej, Kaben El Arbi, utwory z wapieniami siarkonośnymi, od kilku do kilkunastu metrów miąższości, z zawartością siarki od 15 do 25%. Wstępnie oszacowane zasoby tej antykliny oszacowano na 10 mln ton. Na skutek niepokojów wewnętrznych w Algierii, które wywołali integraliści muzułmańscy, prace poszukiwawcze przerwano.

Podsumowując: obszar Ain Zelt-Mazouna - Kaben El Arbi, położony w strefie Basenu Chelifu i południowego pobraża Atlasu Tellskiego, jest strefą występowania złóż siarki rodzimej w północnej Algierii. Natomiast należy wyłączyć z dalszych penetracji strefy Mont Hodna i Guelma-Heliopolis.

Zestawienie ważniejszych publikacji, atlasów i map Bolesława Kubicy

Publikacje

1. B. Kubica, 1954-1977, Dokumentacje geologiczne (17) dla 5-ciu złóż; opracowanie zbiorowe.
2. B. Kubica, 1965, Charakterystyka litologiczna mioceńskich utworów chemicznych w widłach Wisły i Sanu. *Przeł. Geol.* 13.
3. B. Kubica, 1972, O procesie dehydratacji gipsów (genezy anhydrytów) w zapadlisku przedkarpackim. *Przeł. Geol.* 13.
4. B. Kubica, 1978, O możliwości prognozowania istotnych dla podziemnego wytapiania siarki parametrów geologicznych na przedpolu eksploatacji. *Biul. Inst. Geol.* 309/t. XIII pod redakcją B. Kubicy, w 40-lecie pracy naukowej Prof. Stanisława Pawłowskiego.
5. B. Kubica, 1979, Geology and Genesis of the Polish Sulphur Deposits. *Econ. Geol.* 74-475-483, publ. zbior.: St. Pawłowski, K. Pawłowska i B. Kubica.
6. B. Kubica, 1981, Historia odkrycia złóż siarki w Polsce Ludowej. Materiały na Symp. Kielce-Tarnobrzeg, p. 29-32 i 33-59.

7. B. Kubica, 1985, Budowa geologiczna tarnobrzeskiego złoża siarki rodzimej. Prace Państw. Inst. Geol., publ. zbior.: St. Pawłowski, K. Pawłowska i B. Kubica.
8. B. Kubica, 1992, Rozwój litofacjalny osadów chemicznych badenu w północnej części zapadliska przedkarpackiego. Prace PIG 133.
9. B. Kubica, 1994, Metasomatism of Badenian Sulphates of the Carpathian Foredeep and its paleogeographic Conditions. Kwartalnik Geol. PIG.
10. B. Kubica, 1997, Relation od Sulphur-forming processes to lithofacies and structural features of Badenian chemical sediments in the Carpathian Foredeep (Poland). Slovak Geological Magazine 2/97 vol. 3, No 1.
11. B. Kubica, 2004, Litostratygrafia mioceńskich osadów podgipsovych Morawianu w północnej części zapadliska przedkarpackiego. Biul. PIG 407, 5-28.

Atlasy

12. B. Kubica, 1996, Atlas geologiczno-sozologiczny Tarnobrzeskiego Zagłębia Siarkowego 1:50 000. Oprac zbiorowe. Autor główny B. Kubica oraz U. Józefko, E. Panek i R. Skrzypczak z Krakowa.
13. B. Kubica 1998, Atlas geologiczno-sozologiczny mioceńskiej formacji skalnej zapadliska przedkarpackiego 1:500 000. Oprac. zbiorowe: część tekstowa i tabele III, IV, V B. Kubica; Tab. I U. Józefko, E. Panek, R. Skrzypczak, E. Pietrzyk-Sokółska - Kraków; Tab. II R. Skrzypczak.

Mapy

14. B. Kubica, 1994, Mapa geologiczna Tomaszów Lubelski, arkusz A i B 1:200 000, Autorzy: B. Kubica i J. Rzechowski.
15. B. Kubica, 1996, Mapa geologiczna 1:50 000, arkusz Lubaczów.
16. B. Kubica, Mapa geologiczna Polski 1:500 000, autor E. Rühle. Materiały dotyczące N-części zapadliska opracował B. Kubica.
17. B. Kubica, Mapa surowcowa Polski 1:500 000, autor R. Osika. Materiały dotyczące utworów siarkonośnych opracował B. Kubica.

***BOLESŁAW KUBICA**

Urodzony w 1929 roku w Cieszynie. Absolwent Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej (1953 r.). Geograf. W Państwowym Instytucie Geologicznym pracował w latach 1953-2008. Współodkrywca i dokumentator polskich złóż siarki rodzimej. Od 2008 r. na emeryturze.

Teresa Marcinkiewicz*

**PRZYGODA Z MEGASPORAMI MEZOZOICZNYMI
(1955-1993)**

Pamiętam, że zmurą mojego życia w czasach szkolnych była matematyka, to też postanowiłam przejść przez życie bez twierdzenia Pitagorasa. Lubiłam natomiast rysować, więc było oczywiste, że będę studiować na Wydziale Sztuk Pięknych. Ale tak się nie stało, bo czyż sztuki piękne mogą zapewnić chleb powszedni? Wybierając geologię jako kierunek studiów sprawiłam wszystkim zawód. Geologia okazała się jednak ciekawym kierunkiem z tego względu, że są to studia wszechstronne, kształcące w zakresie nauk przyrodniczych. Poza tym niosą w sobie załączek przygody oraz możliwość poznania pradziejów świata.

Po uzyskaniu dyplomu Nr 104 magistra geologii stratygraficznej i poszukiwawczej na Wydziale Geologii UW stanęłam z duszą na ramieniu w dniu 18 czerwca 1955 r. przed Komisją Przydziału Pracy dla Absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego.

Wśród członków Komisji byli m.in. dyrektorzy kopalni ze Śląska, kierownicy Przedsiębiorstw Geologicznych i Hydrogeologicznych i był także dr Jan Czermiński – kierownik Zakładu Badań Podstawowych Instytutu Geologicznego w Warszawie (późniejszy dyrektor Instytutu), który zapytał mnie, czy chciałabym pracować w Instytucie Geologicznym. *„Ależ tak, to jest moje marzenie.”* - odpowiedziałam.

Pełna wdzięczności za takie wspaniałe zrządzenie losu stawiałam się w kadrach z nakazem pracy Nr 48 w dniu 1 sierpnia 1955 r. Jakież było moje zdumienie, kiedy dowiedziałam się, że będę pracować w Pracowni Analizy Sporowo-Pyłkowej Trzeciorzędu, kierowanej przez mgr Julię Doktorowicz-Hrebnicką. Byłam przecież świeżo upieczonym geologiem i nie widziałam siebie w świecie roślin, ponieważ moją wyobraźnią zawładnęły już amonity, trylobity i inne skamieliny liczące sobie wiele milionów lat.

Ale stało się i rozpoczęłam staż pracy od oglądania pod mikroskopem preparatów z ziarnami pyłków i spor pochodzących z osadów trzeciorzędowych. Pragnąc lepiej utrwalić w pamięci obraz i budowę morfologiczną ziarn pyłku zaczęłam je rysować.

KOMISJA PRZYDZIAŁU PRACY

— dla Absolwentów
 Resort, Instytut ogólnego szkolnictwa
 Uniwersytetu Warszawskiego

Warszawa, dnia 18.6.1955 r.

p. B. f. ad

Nakaz pracy Nr 48

1306

Na podstawie art. 5 ustawy z dnia 7 marca 1950 r. o planowym zatrudnieniu absolwentów średnich szkół zawodowych, oraz szkół wyższych (Dz. U. Nr 10 poz 105) przydziela się:

Obywatel(a-ke) Marcinkiewicz Teresę

zamieszkał(ego-a) w Warszawie, Tamka 4

(podać pełny adres
 geol. stratygraf.

absolwent(a-ke) Wydz. Geologicznego Uniw. Warszawskie

(nazwa i adres szkoły)

do pracy w resorcie Centr. Urzędzia Geologicznym

w celu zatrudnienia w zakładzie określonym w skierowaniu do pracy zgodnie z kwalifikacjami Obywatel(a-ki) na okres

od 1.8.55

(dłuz. miesiąc, rok rozpoczęcia pracy)

do dnia 1.8.58

(dłuz. miesiąc, rok zakończenia pracy)

PK Kowalski
 podpis



Skierowanie do pracy

Na podstawie powyższego nakazu skieruję Obywatel(a-ke),
 do pracy w Instytucie Geologicznym Warszawa

(nazwa zakładu pracy i adres)

na okres wyżej oznaczony w charakterze zgodnym z kwalif.

z uposażeniem

początkowym z obow. przepisów

(grupa uposażenia, dodatki)



(podpis)

Wzrost SW 22 C. W. D. Wzrost, Gen. Sulejowski 66, zam. 20/1h.

B-2-69338 W PT (druk) Nakład 162012 K. 54 100.000 A-5 pismenowy sk. VII 60 g.

Skierowanie do pracy w Instytucie Geologicznym, 1955 r.



Julia Doktorowicz - Hrebicka

Julia Doktorowicz-Hrebicka widząc moje rysunki wyraziła szczerą zachwyty i zaproponowała mi, żebym wykonała rysunki ziarn pyłku i spor do jej podręcznika analizy pyłkowej, który wkrótce miał się ukazać w druku. Wykonałam więc kilka setek rysunków ziarn pyłku i spor z osadów trzeciorzędowych, które spotkały się z miłą oceną pani Julii Doktorowicz-Hrebickiej.

25.X 1960r
Warszawa

INSTYTUT GEOLOGICZNY
BIULETYN 157

Drogiemu Koleścu - Mgr. Teresie Marcinkiewicz
z najserdeczniej szym podziękowaniem za przyjęcie
moich rysunków ziarn pyłku i spor wykonanych
dla Pani w imię jej pracy J. Doktorowicz-Hrebicka

JULIA DOKTOROWICZ-HREBNICKA i JADWIGA MAMCZAR

STRATYGRAFIA ŚRODKOWEGO MIOCENU POLSKI ŚRODKOWEJ
NA PODSTAWIE ANALIZY SPOROVO-PYŁKOWEJ
WĘGLA BRUNATNEGO Z WOJEWÓDZTWA
BYDGOSKIEGO I POZNAŃSKIEGO

(z 2 Rys. 44 tab.)

Dedycacja Julii Doktorowicz-Hrebickiej

Niestety, podręcznik nigdy się nie ukazał i tylko część rysunków (238) znalazła się w pracy Julii Doktorowicz-Hrebnińskiej i Jadwigi Mamczar z 1960 r. „*Stratygrafia środkowego miocenu Polski Środkowej na podstawie analizy sporowo-pyłkowej węgla brunatnego z województwa bydgoskiego i poznańskiego*”.

Mijały pierwsze miesiące mojego stażu, a ja zdążyłam się już oswoić z myślą o mojej przyszłej pracy w Pracowni Analizy Sporowo-Pyłkowej Trzeciorzędu.



*Pani prof. dr Jadwiga Raniecka-Bobrowska, 1989.
Założycielka i wieloletnia kierowniczk Pracowni Paleobotanicznej IG.*

W tym samym czasie pani dr Jadwiga Raniecka-Bobrowska zupełnie nieoczekiwanie wystąpiła z propozycją przeniesienia mnie do kierowanej przez nią Pracowni Paleobotanicznej. Propozycję tę przyjąłem i już 1 stycznia 1956 r. znalazłam się w Pracowni Paleobotanicznej.

Z inicjatywy pani Profesor podjęłam badania nad występowaniem megaspor mezozoicznych, ze szczególnym uwzględnieniem ich występowania

w utworach triasu górnego i jury dolnej, rozwiniętych na Niżu Polskim jako utwory śródlądowe, zawierające tylko nieliczne wkładki morskie. Megaspory miały dostarczyć wskaźników biostratygraficznych, ponieważ fauna w tych utworach należy do rzadkości.



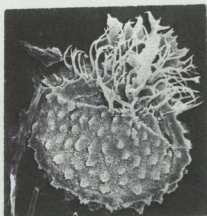
Czy można dostrzec megaspory pod taką archaiczną lupą?, sierpień, 1964 r.

Wprawdzie na studiach miałam wykłady z paleobotaniki, ale moje wyobrażenie o megasporach było raczej mgliste. Temat był dla mnie enigmatyczny, ponieważ nigdy nie widziałam megaspor, a mikro- i megaspory kojarzyły mi się wyłącznie z przemianą pokoleń u mszaków i paproci.

Brak opracowań z tej dziedziny w Polsce, z wyjątkiem doniesień w pracy J. Znoski z 1955 roku o zastosowaniu rozproszonych megaspor do ustalenia stratygrafii osadów dolnej jury na obszarze Jury Krakowsko-Wieluńskiej, jak również nieliczne publikacje zagraniczne, utrudniały w znacznej mierze początkowe badania.

Pierwsze przebadane próbki, pochodzące z liasu rejonu Praszki (koło Gorzowa Śląskiego), były płonne. Zaczęłam mieć wątpliwości, czy w ogóle można dostrzec megaspory wśród ziarn piasku, w dodatku w źle oświetlonym polu widzenia bardzo archaicznej lupy binokularnej.

Wtedy pani mgr Maria Rogalska, która opracowywała kompleksy mikroskop występujące w liasie Polski, wpadła na pomysł, aby zbadać kawałek węgla przyniesiony przez nią z własnej piwnicy. Poddanie węgla działaniu chemikaliów spowodowało uwolnienie megaspor uwieczonych w węglu, ale były to oczywiście megaspory karbońskie. Był to jednak moment przełomowy w moich poszukiwaniach, ponieważ zobaczyłam wreszcie megaspory, których dotąd nigdy nie widziałam.



Nathorstisporites hopliticus Jung

Pan mgr Władysław Karaszewski, śledząc z uwagą moje żmudne poszukiwania, zaproponował zbadanie próbek z odsłoneń liasowych północno-wschodniego obrzeżenia Gór Świętokrzyskich. Te badania zostały uwieńczone sukcesem, ponieważ znalezione liczne megaspory należały do gatunku *Lycostrobus scotii* Nathorst (= *Nathorstisporites hopliticus Jung*), który już wtedy, mimo sporadycznych tylko doniesień w literaturze (T. M. Harris 1935, C. A. Wicher 1951, B. Lundblad 1956), uchodził za gatunek charakterystyczny dla florystycznego poziomu *Thaumatopteris schenki* dolnego liasu.

Dalsze moje badania megasporowe dotyczyły już przede wszystkim próbek pochodzących z głębokich wierceń wykonywanych na Niziu Polski. Szczególnie ważne okazały się wyniki badań megasporowych próbek z profilu wiercenia Mechowo IG 1, z Polski Zachodniej, które przebiło w całości twory triasu górnego i dolnej jury. Osady retyku i liasu, rozwinięte tu w

facji limnicznej, zawierały również wkładki morskie z przewodnią fauną i mikrofauną.

Profil otworu Mechowo IG 1, ze względu na zróżnicowanie zespołów megasporowych pod względem gatunkowym i na obecność dokładnych datowań makro- i mikrofaunistycznych, został potraktowany jako wzorcowy profil megasporowy dla utworów dolnej jury w Polsce. Stał się on również kluczem do rozwiązania problemów stratygrafii utworów jury także w innych regionach Polski.

Udowodniono wtedy górnoliasowy wiek warstw helenowskich górnych z rejonu Gorzowa Śląskiego - Praszka, uważanych poprzednio za dolnoliasowe. W świetle analizy zasięgów zespołów megasporowych sprecyzowano także granicę pomiędzy retykiem i liasem w obrębie jednolitych pod względem litologicznym osadów, które przez ponad 100 lat traktowano jako nie dający się rozdzielić „retyko-lias”.

Granica ta, przypadająca przez zespołem *Trikites pinguis*, określającym osady retyckie, a zespołem *Nathorstisporites hopliticus*, dokumentującym osady liasowe, została utożsamiona z grenlandzką granicą między retyckim poziomem makroflorystycznym *Lepidopteris ottonis*, a liasowym poziomem *Thaumatopteris schenki*.

Udowodniono również, że megaspory są przydatne do określania biostratygrafii w profilach o zredukowanej miąższości osadów brzeżnych stref zbiornika, a także w strefach silnie zaangażowanych tektonicznie.

Praca w Instytucie Geologicznym dawała mi dużą satysfakcję, a moje problemy udzielały się także moim koleżankom z Pracowni, czego wyrazem może być wierszyk napisany przez Irenę Grabowską:

„W mezozoicznym straszliwym świecie
ładne bywają roślinki – to wiecie,
a megaspory tak szczęście wróżą,
że aż dziewczęta swe oczy mrużą.”

W tym czasie, w godzinach pozasłużbowych, znowu rysowałam, ale tym razem były to rysunki mikrospor karbońskich, które ukazały się w pięknej monografii Soni Dybowej i Aleksandra Jachowicza z 1957 r. o mikrosporach Górnos Śląskiego Zagłębia Węglowego.

Pracowałam więc w Instytucie do późnych godzin wieczornych, a mieszkałam wówczas (od sierpnia 1955 r. do połowy 1957 r.) w instytutowym hotelu robotniczym, który mieścił się w drewnianym baraku w Iwicznej poza Warszawą. W hotelu tym mieszkali młodzi pracownicy przyjęci do pracy w Instytucie w połowie lat 1950-tych. Mieszkali tam także pracowni-

cy Centralnego Urzędu Geologii i innych instytucji geologicznych. Pokój hotelowy dzieliłam z moją koleżanką ze studiów, Madzią Łubińską, zatrudnioną w Wydawnictwach Geologicznych oraz z dwiema pracownicami CUG-u, z Łodzią Olek i Janiną Omańską.



Imieniny Hani Ważyńskiej, 1969 r. Solenizantka – siedzi z lewej, obok prof. Raniecka-Bobrowska, stoją od lewej: Teresa Orłowska – Zwolińska, Maria Rogalska, Feliks Rusek, Zofia Dłużakowa i Zosia Kopikowa.

Jedynym środkiem lokomocji na trasie Warszawa-Iwiczna była wówczas kolejka wąskotorowa, tzw. „ciuchcia”, która odjeżdżała z Dworca Południowego na Służewcu, do Piaseczna, a Iwiczna była przedostatnią stacją na tej trasie.

„Ciuchcia” jechała z szybkością 15 km/godz.; zwykle była zatłoczona, w powietrzu unosiły się kłęby dymu z wypalanych powszechnie „Sportów”, a z „kozy” stojącej w rogu wagonika unosił się specyficzny swąd spalanego węgla. Parowóz gwizdał, syczał, kopcił piekielnie czarnym dymem i buchał

parą, a wagoniki rozpedzonej „ciuchci” kolebały się na wszystkie strony, wydając przy tym różne odgłosy skrzypienia.



„Ciuchcia” piaseczyńska (foto z archiwum rodzinnego Szpernoli i Jacka Mrówczyńskiego. <http://forumpiaseczno.info/topic/1297-historia-kolejki-ciuchcia-kolejarze-i-sentynty/>)

W tej chwili mogę powiedzieć, że jestem miłośniczką starych parowozów i wszystkiego co „retro” i cieszę się, że „ciuchcie” zostały wpisane do rejestru zabytków prawnie chronionych. Ale 50 lat temu, to nie była taka frajda! Z tego względu po pracy w Instytucie wybierałam zwykle inny wariant, czyli dojazd autobusem miejskim do Dąbrówki, a następnie szłam pieszo jeszcze parę kilometrów pustą na ogół szosą (chyba, że trafiła się okazja „auto-stop”) i bywało, że dopiero „ciemną nocą” docierałam do hotelu w Iwicznej.

Dojazd do pracy stwarzał mniej problemów, ponieważ pracowników dowożono do Instytutu ciężarówką krytą brezentową plandeką. Mimo, że wiatr targał plandeką, a śnieg zacinął przez szpary w plandecę i było przenikliwie zimno, aż do szpiku kości, to jednak było sympatycznie w gromadzie rówieśników, młodych adeptów geologii, którzy z czasem utworzyli podstawową kadrę naukową w Instytucie Geologicznym.

W hotelu w Iwicznej mieszkali wówczas m.in.: Elżbieta Czajorówna, Krystyna Dąbrowska, Maria Jaskowiak, Julia Kalkstein (później Wyczółkowska), Jadwiga Królicka, Danuta Kühn, Stanisława Mączyńska (z Mu-

zeum Ziemi), Danuta Natusiewicz, Józef Porzycki, Stanisław Przeniosło, Waclaw Ryka, Bożena Serafin, Sylwester Skompski, Hubert Sylwestrzak, Tadeusz Wątkowski i Emil Woźny.



Tak dojeżdżaliśmy z hotelu w Iwicznej do Instytutu Geologicznego w Warszawie. Szarmancki kolega, Sylwester Skompski, tym razem pomaga Teresie Marcinkiewicz. Stoją: Janina Bugalówna, Maria Jaskowiak, Elżbieta Czajorówna i pozostali pasażerowie; z prawej stoi Michał Marzec?, 1957 r.

Pokoje hotelowe ogrzewane były małymi piecami na węgiel, które nie trzymały ciepła, toteż temperatura w nocy szybko spadała do kilku stopni powyżej zera, a w czasie srogiej zimy 1955/1956 bywało, że woda w szklance zamarzała. Pamiętam, że spałam pod 11-stoma kocami (lichej jakości), spod których trudno było się wygrzebać rano, a co dopiero wstać, ubrać się i wsiąść do lodowatej ciężarówki. Ale tak było w latach 1955-1957, gdy mieszkalam w hotelu w Iwicznej. Jednakże z biegiem lat hotel wyludnił się, a na miejscu dawnego baraku zbudowano magazyn rdzeni wiertniczych.

Mimo wszystkich niedogodności, związanych z życiem hotelowym w Iwicznej, wspominam ten okres jako czas beztroski, ponieważ był jakby kontynuacją życia akademickiego. W hotelu było bowiem wesoło, kwitło życie towarzyskie, a w soboty bywały potańcówki.

Po dwóch latach mieszkania w hotelu w Iwicznej skorzystałam z możliwości przeniesienia się do Hotelu Robotniczego przy ulicy Ogrodowej w Warszawie. Mieszkałam tam do maja 1959 r. Nie było już tak wesoło i swojsko, jak w hotelu w Iwicznej, ale za to byłam w Warszawie.

W pewnym momencie nasza koleżanka, botaniczka, Irka Romanowicz oświadczyła, że po sześcioletniej pracy w Pracowni Paleobotanicznej kończy w marcu 1959 r. pracę w Instytucie Geologicznym i wstępuje do Zakonu Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża w Laskach koło Warszawy. Zwolnioną kawalerkę służbową przy ulicy Zawiszy przekazała do dyspozycji Dyrekcji Instytutu zatrzymując chwilowo klucze do czasu zabrania swoich rzeczy.

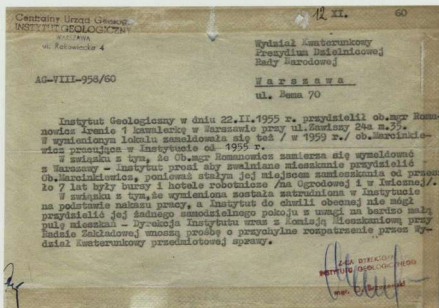


*Z wizytą u Siostry Anzelmy (Ireny Romanówny) w Laskach, kwiecień 1997.
Od lewej: Autorka, s. Anzelma i Irena Grabowska.*

W zaistniałej sytuacji pani docent J. Raniecka-Bobrowska, kierowniczka Pracowni Paleobotanicznej, podjęła się wystąpienia do dyrektora J. Czerwińskiego z prośbą o przekazanie mnie kawalerki po I. Romanowicz. Niestety, nie uzyskała na to zgody Dyrektora, ponieważ kawalerkę tę przewidziano już dla młodego pracownika Instytutu, Bolesława Kubicy.

Pani Docent przekazała mi tę niekorzystną dla mnie decyzję Dyrektora, ale grono moich koleżanek i kolegów wpadło na pomysł, żebym po prostu zamieszkała w tej kawalerce, dopóki Irka jest w posiadaniu do niej kluczy. Z oporami przystałam na ten szalony pomysł i przy pomocy przyjaciół, którzy wystąpili w roli tragarzy mojego skromnego dobytku, opuściłam Ho-

tel Robotniczy przy ul. Ogrodowej i przeniosłam się do kawalerki na ulicy Zawiszy. Po jakimś czasie ocknęły się instytutowe Związki Zawodowe i sam ich Przewodniczący pojechał razem z Bolkiem Kubicą do siostry Anzelmey do Lasek, gdzie dowiedzieli się, że to ja posiadam klucze.



Pismo dyrektora mgr Olgierda Brzozowskiego, 1960

W międzyczasie mieszkania służbowe, w tym również zajmowana przeze mnie służbowa kawalerka, przeszły pod zarządek Wydziału Kwaterunkowego przy Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej. Korzystając z tej informacji, wystąpiłam z oficjalnym pismem do Komisji Mieszkaniowej przy Radzie Zakładowej Instytutu Geologicznego z prośbą o udzielenie poparcia w sprawie przydzielenia mi kawalerki. Sprawie tej nadał tok Zastępca Dyrektora IG mgr O. Brzozowski, który w piśmie z dnia 12.11.1960 r. wskazał na to, że od przeszło siedmiu lat moim miejscem zamieszkania były hotele robotnicze. W związku z tym prosił o przychylnie rozpatrzenie mojej sprawy.

Wydział Kwaterunkowy moją sprawę rozpatrzył przychylnie i decyzją z dnia 4 września 1961 r. przydzielił mi tę kawalerkę przy ulicy Zawiszy. Stało się to jednocześnie podstawą uzyskania stałego meldunku w Warsza-

wie, którego dotychczas nie miałam, ponieważ byłam zameldowana w Toruniu. Dyrektor J. Czerwiński przyjął pomyślny finał całej tej sprawy z uśmiechem i chyba z zadowoleniem, że fortel mi się udał. Niedługo potem w nowo przydzielonej kawalerce odbyło się okolicznościowe spotkanie z przyjaciółmi. Dodam tutaj, że Bolek Kubica również wkrótce otrzymał mieszkanie i to w samym śródmieściu i do tego o wyższym standardzie i większym metrażu od mojej kawalerki.

Od lat 1950-tych przy Instytucie Geologicznym była stołówka pracownicza, która funkcjonowała przez wiele lat i dopiero w końcu lat 1970-tych przestała istnieć. Warto jednak przypomnieć, że organizatorką tej stołówki była Jadwiga Raniecka-Bobrowska. Przy stołówce działała Komisja Stołówkowa, składająca się z powoływanych co jakiś czas pracowników Instytutu. Ja sama, z własnej woli i chęci zgłosiłam się do tej Komisji, ponieważ będąc od zawsze smakoszem sądziłam, że uda mi się podnieść jakość i smak przyrządzanych potraw w kuchni.

Już w godzinach rannych rozbrzmiewał w telefonie głos Kierownika stołówki: „*Pani Marcinkiewicz, proszę przyjść do rozważania kości*”, albo „*do rozważania loju*”, czy też „*ogonów*”. Musiałam więc, jako czynnik społeczny, uczestniczyć przy ważeniu i sporządzaniu raportów z dostaw towaru do kuchni, a następnie kładłam swój podpis pod raportem. Najbardziej przerażały mnie świńskie ogony, więc pytałam: „*Co Pan gotuje na tych ogonach?*”, a Kierownik odpowiadał: „*Jak to co, grochówkę*”.

Po zjedzeniu obiadu wpisywałam w zeszycie znajdującym się u Kierownika czy obiad był dobry, czy też miałam jakieś uwagi dotyczące smaku dań obiadowych. Przeważnie miałam uwagi krytyczne, ale Kierownik ostro się stawał i mówił: „*Co też Pani chce; w zupie są kości, jest włoszczyzna, jest pieprz, listek laurowy, krupy są, więc jak może być zła zupa?*” Pamiętam, że najlepszą ocenę wystawiałam jednak grochówce gotowanej na świńskich ogonach.

W Instytucie Geologicznym było też Koło Fotograficzne, które dysponowało własną ciemnią. Opiekę nad Kołem sprawowała pani mgr Maria Rogalska organizując co pewien czas konkursy fotograficzne cieszące się dużym zainteresowaniem pracowników IG, np. „*Polska szlakiem tysiąclecia*”. Do Komisji Kwalifikacyjnej powoływano zwykle panią Danutę Gołachowską, która była wówczas Kierownikiem Fotografii Naukowej oraz inne osoby, a z zewnątrz był zapraszany znany artysta fotograf, pan Marian Dederko. Rozstrzygnięcia konkursów kończyły się rozdaniem nagród książkowych, fundowanych przez Dział Socjalny Instytutu Geologicznego.



Prześwietne Jury pochylone nad fotosami z konkursu „Polska szlakiem Tysiąclecia” Od lewej: Maria Rogalska, Krystyna Wyrwicka, Janina Sztejn, Edward Torz, Jadwiga Mamczar, NN, Janusz Kopik, Jadwiga Raniecka-Bobrowska, Teresa Marcinkiewicz i Jan Wyżykowski. 1966 r.



Maria Rogalska wręcza I nagrodę Autorce za udział w konkursie fotograficznym „Dziecko w obiektywie”, 1968 r.

W 1968 r. otrzymałam I nagrodę w konkursie „Dziecko w obiektywie”, co do dziś wspominam z dużą przyjemnością. Koło Fotograficzne przetrwało do lat 1970-tych tylko dzięki niestrudżonym zabiegom, pomysłowości i inicjatywie pani Marii Rogalskiej.

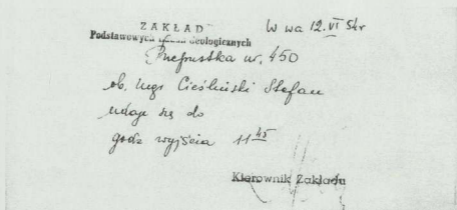
Pewnie już mało kto pamięta, że jeszcze w połowie lat 1950-tych, kiedy zaczynałam pracę w Instytucie, w holu siedziała strażniczka z karabinem na ramieniu, której trzeba było codziennie przy wejściu okazywać legitymację służbową. Pani ta traktowała swą powinność niezmiernie poważnie, to też nikt bez okazania legitymacji nie mógł się prześlizgnąć niezauważony.



Kierownicy Zakładu Stratygrafii: Stefan Cieśliński i Janusz Kopik, 1993 r.

Pracownicy Instytutu jeszcze przez wiele lat po wojnie musieli korzystać z przepustek, nie tylko przy każdorazowym wyjściu, ale także przy przejściu z budynku A do budynku C, gdzie znajdowała się biblioteka. Po ostemplowaniu przepustki w bibliotece zwracało się ją w sekretariacie Zakładu. Pracowników obowiązywała również dyscyplina pracy, która nie

tolerowała spóźnień, toteż każde spóźnienie, nawet pięciominutowe, było odnotowywane przez pracowników Kadr kolorem czerwonym na liście obecności.

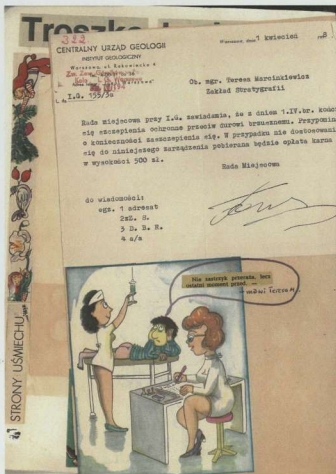


Przepustka Stefana Cieślińskiego, 1954 r.

Jeszcze przez wiele lat po wojnie obowiązkowe były w zakładach pracy szczepienia przeciw durowi brzuszemu. Zabieg ten był wielce nieprzyjemny, ponieważ igły w tamtych czasach były grube. Poza tym trzeba je było każdorazowo sterylizować przez gotowanie w metalowych pojemnikach, bo nie było wtedy igieł jednorazowych. Wklucie takiej igły w ramię lub w żyłę bywało powodem tego, że co wrażliwsze osobniki mdlały. Właśnie mnie się to przytrafiało i z tego względu uchylałam się przed zastrzykami.

Moja awersja do zastrzyków podsunęła znanemu z poczucia humoru koledze Januszowi Kopikowi myśl, żeby wystosować do mnie odpowiednie pismo o charakterze urzędowym informujące mnie o pobraniu opłaty karnej w wysokości 500 zł, jeśli nie poddam się szczepieniu. Pamiętam, że ten żart Janusza, przygotowany z okazji *prima aprilis* t.j. pierwszego kwietnia 1958 r., wzbudził ogólną wesołość koleżeńskiego grona.

Inna kara za naruszenie Regulaminu Pracy, jaka mnie spotkała po 25 latach pracy w Instytucie, była już całkowicie realna. Dyrekcja IG nie wyraziła bowiem zgody na trzydniowy urlop bezpłatny. W rezultacie potrącono mi wynagrodzenie za trzy dni pracy, które dodatkowo obciążono karą.



Strona z Kroniki Pracowni Paleobotanicznej z pismem Janusz Kopika w sprawie szczepień, 1958

W tamtych latach, ósmego marca jak kraj długi i szeroki obchodzono Dzień Kobiet. Z tej okazji odbywało się pospolite ruszenie Panów, którzy za wszelką cenę usiłowali zdobyć symboliczny kwiatek dla swojej Ewy. Dzień Kobiet był świętowany we wszystkich zakładach pracy. Nie inaczej było w Instytucie Geologicznym. Kierownicy Zakładów wręczali każdej Pani, pracownicy Zakładu, tulipan, bądź czerwony goździk, który był najbardziej modnym kwiatem w tamtych latach.

W latach późniejszych zarzucono w Instytucie ten zwyczaj zastępując go organizowaniem okolicznościowej akademii z występami aktorów scen warszawskich, wśród których błyszczały takie gwiazdy, jak Hanka Bielicka, Irena Kwiatkowska, Jerzy Połomski, Bohdan Łazuka i inni.

Nastrój i atmosferę tego Święta Kobiet oddaje poniższy wierszyk (fragment): „Kwiatków nie dali / W rączkę nie pocałowali / (Chociaż były umyte i kremem pokryte) / Zbytnio się Adasie nie wysilali / I po dwa talonki (á 20 zł) do CDT-u dali. / Kupcie co chcecie / Rzekli Kobiecte, / Wszak wielki wybór / W naszym CDT-cie.”

W roku 1961 niespodziewanie otrzymałam zaproszenie od prof. dr Ivara Hesslanda, Dyrektora Instytutu Geologii na trzymiesięczny pobyt na Uniwersytecie Sztokholmskim. Pod kierunkiem doc. dr A. B. Lundblad zapoznałam się z nowymi metodami maceracji szczątków roślinnych. Poza tym skorzystałam z możliwości studiowania unikalnej kolekcji megaspor zebranych przez prof. T.M. Harrisa z utworów retyku i liasu w Scoresby Sound we wschodniej Grenlandii w latach 1931-1937. Kolekcja ta pod względem taksonomicznym i biostratygraficznym posłużyła jako materiał porównawczy do badań prowadzonych w Polsce i poza jej granicami.

Wziąłam także udział w wycieczkach geologicznych organizowanych przez prof. I. Hesslanda dla studentów geologii na odsłonięcia retyku i liasu oraz innych formacji geologicznych w Skanii, w Danii i na Bornholmie. W wycieczkach tych uczestniczył też doc. W. Karaszewski, który przyjechał na zaproszenie prof. I. Hesslanda, by wygłosić cykl wykładów na temat stratygrafii liasu w Polsce.

Mimo ówczesnych ograniczeń w kontaktach zagranicznych, utrzymywałam listowne kontakty z gronem światowych specjalistów, zajmujących się badaniem megaspor. Między innymi miałam stały kontakt z profesorem Tomem M. Harrisem z Uniwersytetu w Reading, w Anglii, który z wielkim zainteresowaniem śledził wyniki moich badań, czemu dawał wyraz w swoich listach.

W Pracowni Paleobotanicznej dość często zjawiali się goście z różnych stron świata, którym chętnie udostępniano kolekcje mikro- i makroflorystyczne oraz prezentowano wyniki aktualnych badań. Wizyta zagranicznego gościa kończyła się zwykle wpisem do „Złotej Księgi” Pracowni.

Upżejmości profesora Williama Gilberta Chalонера z Botany Department w Birkbeck College z Londynu zawdzięczam wykonanie całej serii fotografii megaspor w dużym powiększeniu elektronowym mikrosko-

pem skaningowym (*Scanning Electron Microscope SEM*), których w tamtym czasie nie mogłam wykonać w Instytucie Geologicznym.

TELEPHONE NO. 81771



THE UNIVERSITY,
READING
Botany Department
16th October, 1962.

Dear Dr. Marcinkiewicz,

Thank you very much for your extremely interesting paper on Polish Megaspores. It gives me great pleasure when I see a paper which does good work on these attractive little fossils. I only wish that as much progress had been made with the Botany of these plants as with their stratigraphy, but I suspect that most of them were produced far from the Estuarine marshes and the river banks which provided ordinary plant fossils.

Yours sincerely,

Tom Harris

Tom M. Harris

List od prof. dr T.M. Harrisa, 1962 r.

Many thanks for a most interesting morning of Polish palynology. My admiration is equally divided between your beautiful spores, and the ladies who are studying them so carefully!

Bill Chaloner
Botany Department
Birkbeck College
(London University)
Malet St. London
WC1.

Wpis W. G. Chaloner do „Złotej Księgi”.

Zastosowanie dużych powiększeń przyczyniło się do wyjaśnienia genezy gładkich kuleczek występujących na powierzchni megaspor *Trileites murrayi* (Harris) Marcinkiewicz. Okazało się, że kuleczki te są prawdopodobnie rezultatem działalności organizmów podobnych do saprofitycznych grzybów. To zagadnienie było tematem mojego artykułu „*Fungi like forms on Jurassic Megaspores*”, który ukazał się w 1979 r.

Na wspomnienie zasługuje także wizyta dr Finna Bertelsena z Duńskiej Służby Geologicznej, z Kopenhagi, który przyjechał w 1969 r., żeby zapoznać się z moją kolekcją megaspor z retyku i liasu i zostawił wpis w „Złotej Księdze”.

Kończąc prezentację materiałów i omawianie problemów stratygraficznych zapytałam Finna, czy chciałby zobaczyć syrenkę na Starym Mieście, albo pałac w Wilanowie. Na to Finn odparł: „*No mermaid, no Wilanów ...*”. Okazało się natomiast, że chciałby zobaczyć „*polskie mieszkanie z jednym oknem*”, bo ktoś mu powiedział, że w polskich blokach mieszkalnych „*jedno okno, to jedno mieszkanie*”. Życzenie to nie było trudne do spełnienia, ponieważ właśnie ja miałam takie mieszkanie z jednym oknem. Finn przekonał się o tym naocznie.

Rok później, w 1970 r., dzięki staraniom dr Finna Bertelsena, otrzymałam stypendium Rask-Ørstedta, które umożliwiło mi dwutygodniowy pobyt w Służbie Geologicznej w Kopenhadze. Miałam wtedy okazję zapoznać się z wynikami badań megasporowych profili triasu i jury Danii, co miało duże znaczenie dla porównań z polskimi profilami. Wzięłam też udział w wyjazdach terenowych zorganizowanych przez dr Bertelsena i dr Jensa Lunda na odsłonięcia retyku w Lunnom i liasu w miejscowości Gantofta w północno-zachodniej Skanii.

Lunnom. Retyk wykształcony jest w postaci serii piaskowców i ilów tzw. warstw Vallökra. Osady te są redeponowane z warstw Kågeröd leżących w spągu retyku. Warstwy Vallökra zawierają charakterystyczną dla tego okresu bogatą florę *Lepidopteris ottonis* oraz faunę mięczaków.

Gantofta. Odsłonięcie liasu w tej miejscowości ma szczególne znaczenie ze względu na odkrycie fauny amonitowej. Stwierdzono tu występowanie *Asteroceras obtusum*, który wg. R.A. Reymonta charakteryzuje ten poziom amonitowy w górnym synemurze (lias). Poniżej występują dolno synemurskie otwornice.



Autorka z dr Finnem Bertelsenem w Lunnom, Skania, Szwecja, 1970 r.



Od lewej: Jens Lund, Finn Bertelsen

Dr Jens Lund z Geologisk Institut, Aarhus Universitet w Danii, był także gościem naszej Pracowni w 1972 r. Rano, jak zwykle, była prezenta-

cja materiałów i zaznajamianie gościa z zagadnieniami palinologiczno-stratygraficznymi osadów triasu i jury w Polsce. Na wieczór zaproponowałam Jensowi pójście do Teatru Wielkiego. W Teatrze była akurat wielka gala z okazji siódmego listopada, czyli kolejnej rocznicy Rewolucji Październikowej. Jakimś cudem udało mi się zdobyć bilety i wtenczas Jens zakomunikował mi, że jest głodny.

Pognaliśmy więc szybko w stronę Starego Miasta, na ulicę Podwale, gdzie była jakaś knajpa, choć niezbyt reprezentacyjna. Podeszłam do lady, za którą stała bufetowa w białym fartuchu i powiedziałam jej dyskretnie, że mam gościa zagranicznego (co zwykle robiło wrażenie) i że proszę o podanie ładnej porcji kurczaka z rożna plus piwo. Bufetowa przyjęła moje zamówienie w milczeniu i znikła za kotarą. Już po chwili dało się słyszeć, jak rąbie kurczaka tasakiem na drewnianym kłocu. Następnie wynurzyła się zza kotary trzymając na jednej dłoni ćwiartkę kurczaka z nóżką, a drugiej dłoni ćwiartkę ze skrzydełkiem. Wysunęła obie dłonie w moją stronę zadając krótkie, rzeczowe pytanie: „Którą?” Pamiętam, że z przerażeniem w oczach powiedziałam: „*Blagam, niech pani szybko połóż te porcje na talerzu*”.

Jens zapewne pierwszy raz w życiu widział taki sposób serwowania dania, ale zjadł kurczaka z apetytem, popił piwem, po czym stwierdził, że w Polsce kurczaki są smaczniejsze niż w Danii. Chyba miał rację, ponieważ w tamtych czasach polskie kury biegały po wiejskich podwórkach i nie były jeszcze karmione antybiotykami i innymi substancjami chemicznymi, jak to ma miejsce teraz..

Pragnę wspomnieć, że wobec zdarzeń w Polsce, jakie przyniosły lata osiemdziesiąte, zazałam ze strony Jensa Lunda i jego żony, Jane, wielu gestów wzruszającej życzliwości i pamięci. Otrzymywałam bowiem od nich paczki w okresie Świąt Bożego Narodzenia ze wspaniałą na owe czasy zawartością w postaci kawy, herbaty i różnego rodzaju słodczy.

Wśród wielu innych gości wizytujących naszą Pracownię, byli m.in. prof. dr V.A. Vakhrameev, dr M.P. Dołudenko (1976) i dr I. Dobruskina z Instytutu Geologicznego AN ZSRR w Moskwie (1963), dr V. A. Samylin (1974) i dr N. Snigirevskaya (1989) z Instytutu Botanicznego im. Komarowa w Leningradzie.

Z kolei mój kontakt z dr E.V. Zhelezkovą z Instytutu Botanicznego zaowocował wspólnym artykułem „*A comparison between dispersae megaspores of Trileites polonicus and megaspores of Pleuromeia rossica (Lycopsidea, Pleuromeiaceae) from the Low Triassic*” (1992).



Symposium Botaniczne w Zakopanem. Od lewej stoją: Maria Rogalska, prof. V. A. Vakhrameev z IG N ZSRR w Moskwie, Jadwiga Raniecka-Bobrowska, Teresa Orłowska-Zwolińska oraz Teresa Marcinkiewicz. 1963.



Przed wejściem do Instytutu. Stoją od lewej: Hanna Winter, Teresa Marcinkiewicz, dr Natasza Snigierewskaya oraz Zofia Kopikowa, 1989,

Miłe wspomnienia wiążą się także ze spotkaniami w mokatowskim mieszkaniu pani profesor Jadwigi Ranieckiej-Bobrowskiej, na które zapra-

szane były wszystkie Panie z Pracowni Paleobotanicznej. Były to urokliwe spotkania, aranżowane co roku w czasie karnawału, na których byłyśmy goszczone wspaniałym chrupiącym chrustem i innymi smakowitymi wypiekami pani Profesor. Herbata podawana przez panią Profesor w pięknych filiżankach z cienkiej porcelany, które w tamtych czasach można było widzieć tylko w „Desie”, miała też swój niepowtarzalny smak i aromat.

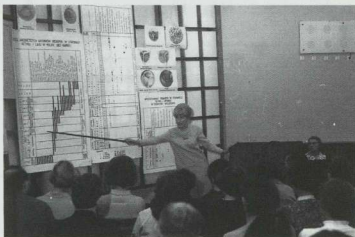
Bogaty materiał badawczy, uzyskany z przebadania trzech tysięcy próbek, pochodzących z ponad 70 otworów wiertniczych wykonanych na terenie Polski pozakarpackiej, posłużył mi do napisania rozprawy doktorskiej pod tytułem „*Stratygrafia retyku i liasu w Polsce, na podstawie badań megasporowych*”. Badania te dały podstawę do przedstawienia biostratygraficznego schematu megasporowego, opartego na czterech zespołach megasporowych, które wykorzystano do określenia stratygrafii badanych odcinków profili, jak również do szeroko pojętej korelacji na rozległym obszarze Niżu Polskiego. Pani docent J. Raniecka-Bobrowska jako promotor mojej pracy zaproponowała dla mnie egzamin w obszernym zakresie paleobotaniki, stratygrafii i paleogeografii starszego mezozoiku. Recenzentami został prof. dr hab. Mikołaj Kostyniuk z Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego i doc. dr Jerzy Znosko z Instytutu Geologicznego w Warszawie.



Profesor Jadwiga Raniecka-Bobrowska w otoczeniu swoich pracownic. Spotkanie karnawałowe z chrustami. Od lewej: Irena Grabowska, Lidia Jakubowska, Hanna Winter, Teresa Marcinkiewicz, Zofia Kopikowa oraz Jadwiga Mamczar, 1989.

Trzy tygodnie przed obroną otrzymałam recenzję prof. M. Kostyniuka, w której Profesor zwrócił uwagę na niewłaściwą pisownię terminu „*eksyna*”. Termin ten wzięłam z podręcznika palynologii Jadwigi Dyakowskiej. Zdaniem Profesora powinno być „*egzyna*”, co jest zgodne z zasadami adaptacji do języka polskiego słów greckich i łacińskich, uchwalonymi w 1937 r. na Walnym Zejeździe Polskiego Towarzystwa Botanicznego. Dodał też, że w dużym „*Słowniku języka polskiego*” również znajdujemy termin „*egzyna*”. Prof. M. Kostyniuk dodał, że J. Dyakowska „*ponosi winę za niepotrzebne wprowadzenie nowej i nieuzasadnionej pisowni tego terminu*”.

Postanowiłam tę sprawę definitywnie wyjaśnić. Pomimo ostrzeżeń i rad mojej koleżanki, Jadzi Mamczar, że „*nie dyskutuje się z krokodylem w wodzie*”, czyli z recenzentem, wybrałam się do profesora slawistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Do profesora jednak nie dotarłam, ponieważ poślizgnęłam się na schodach budynku przy ul. Oboźnej i złamałam nogę w śródstopiu. Wylądowałam więc na Pogotowiu Ratunkowym, gdzie założono mi gips na sześć tygodni. Sytuację tę chciałam wykorzystać do przełożenia obrony, ale mowy nie było o przesunięciu terminu.



Prezentacja tezy pracy doktorskiej, 1967 r.

Obrona pracy doktorskiej, mimo przeciwności losu odbyła się w wyznaczonym czasie (7 grudnia 1967 r.), a ja musiałam występować z nogą w gipsie. Dyskusji na temat pisowni „*egzyna*”, czy też „*eksyna*” nie było. Natomiast w słowie końcowym wyraziłam podziękowanie prof. M. Kostyniukowi.

kowi za cenne uwagi i złożyłam obietnicę, że przygotowując pracę do druku poprawię pisownię na „*egzyna*”, zgodnie z zaleceniem Pana Profesora. Dodam jeszcze, że prezentowane w czasie obrony pracy doktorskiej plansze graficzne o dużych rozmiarach zostały wykonane przez zdolnego kreślarza, Wojtka Ruska, z Pracowni Paleobotanicznej. Zaraz po obronie „spowita w bandaże i gipsy”, ze spuchniętą i obolałą nogą, odjechałam do domu samochodem, który uprzejmie użyczył mi Dyrektor Instytutu.



Doktorantka z nogą w gipsie w przerwie obrony pracy doktorskiej.

Dopiero po zdjęciu gipsu i osiągnięciu jakiejś takiej sprawności ruchowej zdecydowałam się zaprosić szanownych członków Komisji Rady naukowej oraz koleżanki z Pracowni Paleobotanicznej IG na zwyczajowe przyjęcie po obronie pracy doktorskiej, zorganizowane 17 lutego 1968 r. w Grand Hotelu w Warszawie, uchodzącym wówczas za szczyt elegancji.

Wśród zaproszonych gości była moja promotorka, pani docent Jadwiga Raniecka-Bobrowska, recenzenci: prof. Mikołaj Kostyniuk i docent Jerzy Znosko, dyrektor Instytutu, prof. Edward Rühle, wicedyrektor Instytutu, dr Jan Czermiński, kierownik Zakładu, dr Stefan Cieśliński i moje koleżanki: mgr Maria Rogalska, mgr Jadwiga Mamczar, mgr Anna Ważyńska, mgr Teresa Orłowska-Zwolińska, mgr Zofia Kopikowa i kolega, mgr Janusz

Kopik. Pamiętam, że atmosfera była dobra, było dużo żartów i śmiechu, a bufet był wyśmienity. Niestety, fotografa przy tym nie było. Zachował się jedynie rachunek z Grand Hotelu.

W sierpniu 1971 r. doszłam do wniosku, że po doświadczeniach z wyjazdów do Szwecji w 1961 r. i do Danii w 1970 r. mogę już bez lęku wyjechać do Jugosławii. Zachęcał mnie do tego i zapraszał Borivoj Milaković, geolog z Belgradu, który dziesięć lat temu przebywał na stypendium w Pracowni Paleobotanicznej, w Instytucie Geologicznym. Jugosławia w tym czasie był to już „Zachód” ze względu na otwarte granice po zerwaniu stosunków z ZSRR.

Był to mój pierwszy wyjazd prywatny za granicę. Zaczął się on od przygody z walizką. Wsiadając z samolotu w Belgradzie zostałam przyjemnie owiana i otulona bardzo ciepłym i parnym powietrzem. Na tym skończyły się przyjemne wrażenia. Za chwilę okazało się, że nie ma mojego bagażu, czyli mojej białej walizki, którą bardzo lubiłam. Zostałam tylko z tym co miałam na sobie i z dużym kapeluszem.

W Dziale Reklamacji zapytano mnie, czy w czasie startu mojego samolotu z Warszawy do Belgradu odlatywały samoloty do innych miast „na literę B”. Przypomniałam sobie, że były zapowiadane loty do Bejrutu i do Berlina. Usłyszałam wtedy, że jeśli mój bagaż poleciał przez pomyłkę do Bejrutu, to są raczej nikłe szanse na odzyskanie walizki. Jeśli jednak poleciał do Berlina, to mogę spodziewać się, że za parę dni bagaż się odnajdzie. Nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie czekać. Na szczęście, okazało się, że mój bagaż poleciał do Berlina i odnalazł się po trzech dniach.

Po odzyskaniu walizki mogłam już wyjechać nad Adriatyk, gdzie spędziłam dwa tygodnie w uroczych, tonących w zieleni letniskach o nazwie Kaštel Štafilić, Kaštel Novi i Kaštel Stari, tworzących jedną miejscowość, położonych na północny zachód od Splitu. Każdego dnia cieszyłam się żarem upalnego słońca i przezroczystym błękitnym niebem i zwiedzałam wybrzeże Zatoki Kaštelanskiej, położone u wysokich gór między Trogirem a Splitem.

Wracając do spraw zawodowych, w następnych latach skierowałam swoje zainteresowania na badania zespołów megasporowych występujących w epikontynentalnych ogniwach triasu, które w powszechnie stosowanym schemacie litostratygraficznym w Polsce określane są jako pstry piaskowiec, wapień muszlowy, kajper i retyk.



Ulubiona biała walizka w rękach roześmianej Autorki. Belgrad, 1971 r.

Zmiany zarysowujące się w pionowym występowaniu megaspor w poszczególnych jednostkach litostratygraficznych umożliwiły wydzielenie ośmiu zespołów o randze poziomów zespołowych. Stwierdzenie obecności ważnych dla stratygrafii gatunków pozwoliło na porównanie wydzielonych poziomów megasporowych w Polsce z podobnymi poziomami i zespołami wyróżnionymi na obszarze Europy. Powiązano je również z miosporowym podziałem triasu, opracowanym przez Teresę Orłowską-Zwolińską, co pozwoliło na ustalenie pozycji chronostratygraficznej wydzielonych w ich obrębie poziomów megasporowych.

Z kolei opracowanie megaspor występujących w środkowo jurajskich glinkach z Grójca koło Krakowa umożliwiło włączenie się w dyskusję trwającą już od ponad 100 lat na temat wieku tych gliniek i roślinności w nich zawartej. Wyniki badań megasporowych w powiązaniu z sugestiami geologów, dotyczącymi położenia gliniek, stały się podstawą poglądu, że okres tworzenia się gliniek, dla których przyjmowano wiek liasowy, wiąże się z okresem sedymentacji poprzedzającym transgresję najwyższego batonu.



*Teresa Marcinkiewicz przy swoim warsztacie pracy
(już z nowoczesną lupą!), 1987.*

Możliwość korzystania w ostatnich latach pracy z mikroskopu skaningowego SEM ujawniła też niezwykle piękno i misterną budowę morfologiczną megaspor mezozoicznych pochodzących od różnorodnych roślin widłakowych (*Lycopsidea heterosporae*), zielnych i drzewiastych, których rodzaje nie mają już swych przedstawicieli we florze współczesnej.

Miejszem wegetacji tej grupy roślin były rozległe obszary bagniste, znajdujące się w pobliżu zbiorników lądowych, bądź w strefie delt i lagun nadmorskich. Megaspory po oderwaniu się od roślin macierzystych pozostawały *in situ*, bądź też były splukiwane z powierzchni lądu przez okresowe, ulewne deszcze do pobliskiego zbiornika akumulacyjnego, w którym mogły zaznaczać się okresowe połączenia z morzem.

Z perspektywy minionych lat stwierdzam, że megaspory mezozoiczne były pasją mojego życia, spędzonego w Instytucie Geologicznym przy rozwiązywaniu fascynujących problemów stratygraficznych. Była to wspaniała przygoda paleobotaniczna i geologiczna. To było spotkanie z mało dotąd znanym mikroświatem roślin – megasporami mezozoicznymi, przez który strumień piękności przepłynął, a ja miałam to szczęście, że przez 38 lat mogłam podziwiać i zachwycać się ich piękną budową morfologiczną. Piękno megaspor dostrzegł także F.M. Hueber (1982), czemu dał wyraz pisząc, że

„the beauty of the megaspore diverted my attention and led me to research the literature for any records.”



Tenellisporites marcinkiewiczae Reinhardt et Fricke, 1969 (z lewej)
Verrutriletes marcinkiewiczae Kozur, 1973 (z prawej)

Przygoda ta zakończyła się również związaniem mojego nazwiska z nazwami dwóch nowych taksonów: *Verrutriletes marcinkiewiczae* Kozur i *Tenellisporites marcinkiewiczae* Reinhardt et Fricke.



Collage Autorki. ilustracja do wierszyka

Kończąc wspomnienia z lat mojej pracy w Instytucie Geologicznym pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden wierszyk napisany przez Irenę Grabowską:

„Tereska w słoneczniku promieni koronie
wraz z nim ku słońcu obraca swe skronie
wspominając dawne, gorące dni triasu,
megaspory ... paprocie w podszyciu lasu.”

Pod koniec pracy w Państwowym Instytucie Geologicznym zajęłam się stworzeniem kroniki przedstawiającej chronologiczny zapis ważniejszych wydarzeń z życia zawodowego i prywatnego pracowników Pracowni Paleobotanicznej w latach 1947 do 1993.

Zamieszczona w kronice bogata dokumentacja fotograficzna opatrzona została komentarzami kronikarskimi, których teksty utrzymane były w ciepłej, niekiedy żartobliwej formie. Poniżej cytuję fragmenty tekstów zamieszczonych w Kronice.



Jasne Oświecone Najmilsza Pani

Ukończyły szczególnie opisane dawnych
dziękuję o uczonych blagotowach z Paleobotaniki,
jako też innych uczonych ludziach z niemi
związanych, mam zaszczyt prosić Waszą Miłość
o przyjęcie zaproszenia i przybycie do mojej
siedziby dnia dwudziestego czterdziestego, miesiąca
czerwca, Anno Domini 1986, celem wzięcia
udziału w uroczystości otwarcia i obejrzenia
na własne oczy owej pamiątkowej książki.
Z wielkim ukontentowaniem na Wasze
wielmożności czekam w Wasze.

Kronikar Teresa Ormianka
z gorąco, na rok

Zaproszenie na uroczystość otwarcia „Kroniki Paleobotaniki”, 1986 r.

Witajcie witać się fajnie i miło.

Z wielkim ukontentowaniem przyjęłam
zaproszenie na wspaniałą wesele, który jak
kawałek - a wspaniałe nie mam - będzie miły
serce dzięki wspomnieniom czasu, który
ukazał, a spisały w kronice, jak
słuchamy komunistki tak gustownie umówi-
my, a przede wszystkim dzięki jej miłoś-
kowie i przyjaciółki kronikarce, która to spe-
ctanie z taką wielką miłością umyśliła.
Nam nadzieję, że wspaniałe powrót wspaniałe
24 znowu te sławne okoliczności i bez długiego
stąd ma do wieńca miłe do domu
fajnie i miło. Słyszałam, że drogi są tam
dobrze, a nie jak u nas w lokalach
pełne dymu i wybojów.

Polecając się państwu i życzę miło

Kartki kładę się wspaniałe i miło

wspaniałe

Jadwiga Bobrowska

Dane Jaworska, 19 czerwca AD 1986.

„Ja sama po 38-letniej żmudnej pracy poświęconej zbieraniu kronikarskich wiadomości na *panis bene merentium* przechodzę. Odtąd w swym domostwie wśród zbytków sprzęcie śledzić będę z daleka myśli i poczynania miłośników nauk o Ziemi, jako też dociekać będę działań natury od stworzenia do naszych czasów.”



Autorka w swoim domostwie. Warszawa, 1999 r.

„Na koniec z respektem wypada przytoczyć prawidło sformułowane na początku wieku XIX przez ojca geologii polskiej – Stanisława Staszica. Oto one: *Zmieniały się na ziemi naszej wierzchy, zmieniały się w okolo niej płyny, zmieniały się na niej rośliny i zwierzęta. Co się działo od wieków, to dziać się będzie i dalej.*”

„*Ad complementum* wspomnieć się godzi, że oba voluminy kroniki z życia Pracowni Paleobotaniki nabyte zostały za *vilis moneta* i jako obiekt archiwalny spoczywać będą na wieczną rzeczy pamiątkę w Archiwum Muzeum Geologicznego przy Państwowym Instytucie Geologicznym.”

Na otwarcie drugiego woluminu Kroniki sprowadzono maga, który z czarodziejskiej skrzynki gotowe konterfekty wydawał.

Wydarzenia związane z kroniką podsumowała moja przyjaciółka, Teresa Wilczyńska (też geolog) w formie wierszyka, z którego jedną zwrotkę przytaczam: „Strach pomyśleć, co by było, / co się wszak dość często zdarza, / dzieje idą w zapomnienie, / gdy zabraknie ... kronikarza.”



Spotkanie koleżeńskie na otwarciu II woluminu Kroniki, 1994 r. Od lewej: Barbara Słodkowska, Teresa Marcinkiewicz, Zofia Dłużak, Anna Ważyńska, Jadwiga Bobrowska (córka pani Profesor), Hanna Winter.

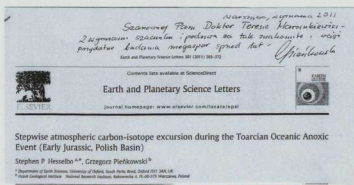


Jak wyżej, 1994 r. W górnym rzędzie, od lewej: Hanna Winter, Zofia Kopik, Zofia Dłużak, Anna Ważyńska, Jadwiga Bobrowska. Przedni rząd, od lewej: Jadwiga Mamczar, Irena Grabowska i Teresa Marcinkiewicz.

Mijają lata i jest już rok 2011, ale okazuje się, że moja przygoda z megasporami wciąż trwa. Na spotkaniu seniorów Państwowego Instytutu Geologicznego spotykam bowiem prof. dr hab. Grzegorza Pieńkowskiego, który mówi mi o potwierdzeniu przydatności zespołów megasporowych nie tylko w biostratygrafii, lecz także do interpretacji paleoklimatycznych. Wręcza mi także swoją publikację z dedykacją, którą przyjąłem z ogromnym wzruszeniem i satysfakcją.

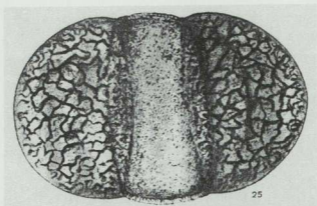


Autorka z prof. dr hab. Grzegorzem Pieńkowskim w Muzeum PIG, 2011 r.



Dedykacja prof. dr hab. Grzegorza Pieńkowskiego, 2011 r.

Minęły kolejne lata i na wystawie „Okruchy przeszłości w węglu brunatnym”, otwartej w grudniu 2014 r. w Muzeum Geologicznym Państwowego Instytutu Geologicznego, oprócz ciekawych eksponatów znalazły się także zapomniane już moje rysunki ziarn pyłku i spor z osadów miocenu, wykonane w 1956 r. Została też wyłożona Kronika Paleobotaniki przywołująca wspomnienia tamtych odległych czasów i wydarzeń.



Rysunki Autorki: u góry – *Picea*, niżej, od lewej – *Osmunda* i *Lycopodium* (zamieszczone w publikacji Julii Doktorowicz-Hrebnickiej – *Paralelizacja pokładów węgla brunatnego województwa bydgoskiego i poznańskiego*, Biul. Instytutu Geologicznego 157, 1960.)



*Kronika Pracowni Paleobotanicznej Instytutu Geologicznego,
fot. Maria Hofmann, 5.12.2014.*



Autorka (w środku) przegląda Kronikę, fot. M. Hofmann, 5.12.2014.

NIEOCZEKIWANE STYPENDIUM W SZWECJI (1961)

W lipcu 1960 r. spędzałam beztroskie wakacje w leśniczówce położonej wśród lasów w rejonie Przedborza, gdzie leśniczym był sympatyczny pan Stanisław Soborowski, dobry znajomy Stefana Cieślińskiego. Właśnie Stefan na leśniczych zaproszenie zachęcił mnie oraz Zosię Janczyk, Janusza Kopika i innych znajomych, żebyśmy spędzili urlop w tych pięknych okolicach.



Autorka i Zofia Janczyk (Kopikowa) pochylone nad kwiatem czarnego bzu, Warszawa, 1960 r.

Był z nami także Borivoj Milaković z Jugosławii, który przebywał w Pracowni Paleobotanicznej w latach 1960-61 na rocznym stypendium. Zapoznawał się tam z problemami badań paleobotanicznych trzeciorzędu. Już po trzech miesiącach pobytu w Polsce dobrze mówił po polsku i śpiewał modne w tym czasie szlagiery Sławy Przybylskiej: „Złoty pierścionek” i inne. Borivoj był człowiekiem sympatycznym i spontanicznym w wyrażaniu

swoich uczuć i emocji. Kochał życie, kobiety i śpiew. Do tej pory pozostaje z nim w kontakcie telefonicznym.



Borivoj Milaković.



Leśniczy S. Soborowski uczy Autorkę strzelania, Przedbórz, 1960 r.

Pan leśniczy posiadał strzelbę myśliwską – dubeltówkę, więc była okazja do nauki strzelania, z czego chętnie korzystaliśmy, oczywiście pod okiem pana leśniczego. W zaprzyjaźnionym gronie czas płynął miło i przyjemnie i tylko z zaopatrzeniem był pewien problem, który trzeba było rozwiązywać we własnym zakresie. W lesie były grzyby, więc codziennie zbieraliśmy kurki na obiad. Spędzaliśmy więc czas wśród lasów, pól i malowniczych wzgórz Pasma Przedborsko-Małogoskiego.

Ten sielski nastrój został nagle przerwany listem dr Władysława Karaszewskiego, w którym była wiadomość o wizycie profesora Ivara Hesslanda z Uniwersytetu w Sztokholmie w Instytucie Geologicznym. Podczas wizyty została wysunięta propozycja wyjazdu dr Karaszewskiego do Szwecji. Sprawa ta była omawiana z dyrektorem Janem Czermińskim, który zgodził się uwzględnić tę propozycję w planach wyjazdów na rok 1961.

Druga wiadomość, która wywarła bardziej ekscytujące wrażenie, dotyczyła mojego ewentualnego wyjazdu na stypendium do Szwecji. Było to motywowane tym, że mogłabym tam zapoznać się z metodami badań nabłonek liściowych u doc. dr Britty Lundblad.

W związku z tą wiadomością cały mój nastrój wakacyjny, sielsko-anielski, przestał istnieć. W niedługim czasie otrzymałam zaproszenie od prof. dr I. Hesslanda, Dyrektora Instytutu Geologii na Uniwersytecie w Sztokholmie, zawiadamiające mnie, że mam przyznane trzymiesięczne stypendium. W tej sytuacji Instytut Geologiczny miał pokryć jedynie koszty mojej podróży do Sztokholmu. Mój wyjazd został zaplanowany na 25 marca 1961 r.

W tamtym czasie żyłam wyłącznie realiami PRL-u i o żadnym wyjeździe za granicę nawet nie marzyłam. Z tego względu mój wyjazd do Szwecji poprzedzony był ogromnym zdenerwowaniem i to nie tylko z tego powodu, że musiałam podjąć intensywną naukę języka angielskiego, ale przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy w życiu miałam wyjechać za granicę, w dodatku do kraju zachodniego, czyli za „żelazną kurtynę”. Nikt z moich znajomych nie był dotąd w Szwecji, więc nie miałam żadnych bezpośrednich relacji z tego kraju.

Mijał czas i wieść o moim wyjeździe zaczęła się rozchodzić po Instytucie. Nieoczekiwanie zostałam telefonicznie zaproszona przez prof. Władysława Pożaryskiego na rozmowę. Profesor zaczął od tego, że jestem bardzo młoda i nie znam krajów zachodnich, ani sposobu zachowania i obyczajów tamtych grup społecznych. Ostrzegał mnie więc przed kontaktami z

mężczyznami dodając, że nawet przyjęcie zaproszenia do kawiarni na kawę lub do kina może być zobowiązujące.

Któregoś dnia zostałam poproszona do gabinetu Dyrektora Administracyjnego, Olgierda Brzozowskiego, gdzie czekał na mnie nieznan mi osobnik. Ku mojemu zdumieniu ten pan zaczął rozmowę na temat megaspor retyku i liasu, z czego mogłam wnosić, że geologia nie była dla niego obcą domeną. Następnie skupił się na udzielaniu mi przestróg życiowych. Radził, żebym była ostrożna w kontaktach i rozmowach i w zawieraniu znajomości z ludźmi. Poinformował mnie również, że po powrocie ze Szwecji muszę zaraz zwrócić paszport w Biurze Paszportowym.

Krótko przed moim wyjazdem zjawiała się u mnie pani S., która pracowała w Dziale Administracyjnym Instytutu. Pani ta miała w Sztokholmie syna, który znalazł się tam po ucieczce ze statku „*Mazowsze*”, odbywającego rejs po Morzu Bałtyckim. Statek ten nieopatrznie zawinął do portu w Szwecji, co spowodowało, że większość pasażerów została na lądzie szwedzkim.

Pani S. wystąpiła do mnie z błagalną prośbą, żebym wzięła jakąś pamiątkę dla jej syna i zaproponowała obraz olejny w złożonych ramach. Zaskoczona tym pomysłem odmówiłam mówiąc, że nie można wywozić z Polski arcydzieł sztuki. Jakież było moje zdumienie, gdy parę dni później pani S. przyniosła ogromną i bardzo ciężką kryształową patere. Ja z litości i braku asertywności nie umiałam jej odmówić. Patera ta zajęła prawie połowę mojej walizki, kupionej w PDT-cie.

Walizkę tę mam jeszcze do dzisiaj i traktuję ją z sentymentem jako eksponat retro. Jest ona solidnie wykonana z twardej dykty obitej czerwona skórą, a wewnątrz jest wyłożone beżowym materiałem z falbankami. Walizka ta, ważąca 3,5 kg, plus patera, plus moje osobiste rzeczy stanowiły razem ciężar nie do udźwignięcia, ale ja z tym koszmarnym bagażem zdecydowałam się jechać pociągiem i promem do południowych wybrzeży Szwecji i dalej pociągiem do Sztokholmu.

Na dworcu w Sztokholmie czekała na mnie doc. Britta Lundblad, która od razu oznajmiła mi, że nie będę mieszkać w hotelu, tylko prywatnie. Miałam zamieszkać u zaufanej osoby, pani Astman, na przedmieściu Sztokholmu, Bromma, położonym daleko od śródmieścia. Poczym Britta nieopatrznie dźwignęła moją walizkę i z miejsca opadły jej ręce. Dźwigałyśmy więc tę walizkę wspólnie z wielkim trudem, aż w końcu dotarłyśmy do wyjścia i do metra – kolejki podziemno-nadziemnej.



Anita Britta Lundblad

(<http://scholar.google.com/citations?user=w9sr7-0AAAAJ&hl=en>)



Domki na przedmieściu Bromma, Sztokholm, 1961 r.

Przedmieście Bromma okazało się ładną dzielnicą willową, gdzie wszystkie domki były drewniane, o stromych dachach, pomalowane na kolor czerwony, z białymi obramowaniami okien i drzwi. Sympatyczna pani Astman mówiła tylko po szwedzku. Za wynajmowanie pokoju miałam płacić 175 koron miesięcznie. O tej porze roku, czyli w marcu – kwietniu było chłodno, ale w ogródkach przydomowych i na skwerach było pełno kwiatów. Kwitły w tym czasie krokusy, prymule, tulipany, narcyzy i inne.

Pomimo mojego ogromnego zmęczenia podróżą pojechaliśmy jeszcze raz metrem na Uniwersytet przy ul. Kungstensgatan 45, który znajdował się w samym śródmieściu, w pobliżu ul. Kungsgatan (Królewskiej). Przywitał mnie prof. Ivar Hessland i powiedział, że otrzymam wynagrodzenie za 2/3 etatu asystenckiego, z którego będą potrącane koszty moich wyjazdów na wycieczki geologiczne, planowane na maj i czerwiec.

W ramach pracy asystenckiej zapoznawałam się pod kierunkiem doc. B. Lundblad z różnymi metodami maceracji skał, stosowanymi w celu uwolnienia materiału roślinnego, jak kutikule, megaspory i in. Miałam również możliwość studiowania preparatów z mikroflorą retyko-liasową Szwecji z kolekcji B. Lundblad. Udostępniono mi też kolekcję megaspor zebraną przez T. M. Harrisa z utworów retyku i liasu w Scoresby Sound, we wschodniej Grenlandii, w latach 1931-37. W wolnym czasie zajmowałam się również analizą próbek z wiercenia Wielichowo IG, które nadesłano mi z Instytutu.

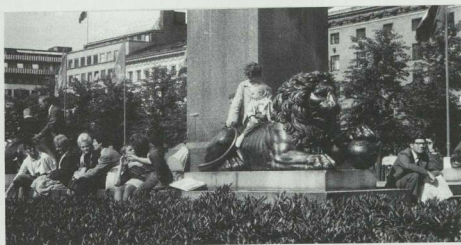
W programie dnia bywały też różne odczyty i pokazy, na które chodziłam razem z B. Lundblad, np. wykład o geologii południowej Ameryki. Były też pokazy mikroskopu elektronowego wraz z demonstracją urządzeń, albo pokazy najbardziej nowoczesnej aparatury Leitza itd.

Szwedzi bardzo lubią przyrodę i szukają sposobności, by jak najczęściej przebywać na jej łonie. Wielkanoc, która w 1961 r. wypadła na początku kwietnia, była chłodna i był śnieg, a drzewa straszły widokiem nagich gałęzi. Pomimo złej aury Szwedzi tłumnie wyjeżdżali samochodami za miasto i tam siadali na skrawkach zieleni, gdzie nie było śniegu, odpoczywali i spożywali przywiezione ze sobą wiktuały.

Święto wielkanocne obchodzone jest przez Szwedów w Wielki Piątek. Tego dnia wierni podążają do Kyrki (kościół ewangelickiego) na nabożeństwa wielkopostne, poświęcone rozpamiętywaniu męki Chrystusa, według Pasji Bacha i Ewangelistów.

W dniu trzydziestego kwietnia, czyli w dniu powitania długo oczekiwanej wiosny, wyjechałyśmy z B. Lundblad do jej znajomych poza Sztok-

holm. Do obrzędów tego dnia należy zapalenie ogromnych ognisk, wokół których gromadzą się tłumy ludzi. Tańczą i śpiewają. Taka zabawa trwa do późnej nocy. Wizyta u znajomych Britty zaczęła się od podania lodów w głębokich talerzach, choć tego dnia było bardzo chłodno i ja spodziewałam się gorącej zupy.



Odпочywakcy w wiosennym słońcu, Sztokholm, 1961 r.

Wraz z nadejściem wiosny pojawiły się pierwsze słoneczne dni. Mieszkańcy Sztokholmu, spragnieni ciepła, zaczęli wychodzić w porze lunchu na ulice i z rozkoszą wchłaniać promienie wiosennego słońca. Siadali wtedy z twarzami zwróconymi ku słońcu wszędzie, na wszystkich schodkach, kamiennych, słupkach, ławkach, na stopniach portalu przed Filharmonią, na chodniku, a nawet na pomnikach.

W Szwecji, szczególnie na północy kraju, występuje zjawisko białych nocy. W Sztokholmie białe noce obserwowałam już od połowy czerwca. Słońce wtedy prawie nie zachodzi, co robi ogromne wrażenie, ponieważ jest całkiem widno.

Sztokholm leży na 14 wyspach połączonych ze sobą ponad 50 mostami. To piękne położenie sprawia, że jest zaliczany do najpiękniejszych stolic świata. Parki, skwery pełne kwiatów, strzeliste wieże kościołów górujące nad dachami domów, szerokie bulwary nadbrzeżne, łodzie i statki stojące w portach nadają szczególne urody temu miastu.

Najbardziej charakterystyczna dla Sztokholmu jest chyba duża ilość mostów, jak również ogromna ilość pięknych pomników wkomponowanych w otoczenie. Pomniki nagich postaci stoją nie tylko w parkach i na skwerach, ale także na tarasach przed ratuszem (Stadshuset) i często nawet przy samej ulicy. Powietrze jest czyste, prawie krystaliczne. Klimat łagodzi Golfstrom, dzięki czemu najbardziej na północ położone części kraju mogą być zamieszkałe przez ludzi.



Snöcklokan (pierwiosnek), (Per Hasselberg, 1850-1894), Sztokholm, 1961 r.

Najbardziej lubiłam chodzić urokliwymi uliczkami Starego Miasta (Gamla stan), które jest położone na małej wysepce połączonej mostami z innymi wysepkami. Wąskie i kręte uliczki, latarnie, szyldy, liczne antykwariaty mieszczące się w domach z XV i XVI wieku oraz cisza panujące dookoła nadają szczególnego uroku temu pięknemu zakątkowi. Znajduje się tu również pałac królewski oraz kilka pięknych kościołów, jak Storkyrkan (= Wielki Kościół; kościół św. Mikołaja) z 1260 r., w którym odbywały się koronacje wszystkich królów szwedzkich. Na wysepce Riddarholmen znajduje się Riddarholmskyrkan (kościół luterański) pochodzący także z XIII wieku, który jest miejscem spoczynku większości szwedzkich władców.



Teresa Marcinkiewicz na tarasie widokowym przed Stadshuset, Sztokholm, 1961



Kopia rzeźby św. Jerzego; Stare Miasto w Sztokholmie.

Pałac królewski (Kungliga Slottet) położony jest w północnej części Starego Miasta. Jest to największy pałac na świecie i służy nadal jako rezydencja rodziny królewskiej. Pałac ten zaprojektowany przez Nikodema Tessina Młodszeo został wzniesiony w latach 1690-1754. Tuż obok pałacu w 1905 r. został wzniesiony olbrzymi gmach parlamentu (Riksdagshuset). Na Starym Mieście przyciąga też uwagę rzeźba św. Jerzego walczącego ze smokiem. Jest to kopia drewnianego oryginału wykonanego w 1489 r. przez rzeźbiarza Bernta Notke z Lubeki, znajdującego się w kościele św. Mikołaja.



Anioł z ogrodu Carla Millesa, Sztokholm, 1961 r.

Ważną atrakcją w Sztokholmie jest ogród Carla Millesa (1875-1955) na wyspie Lidingo, w którym zostały zgromadzone oryginały lub kopie wszystkich jego rzeźb. Pojedyncze rzeźby i monumentalne grupy wykonane w brązie, granicie i marmurze stoją na tarasach opadających w stronę jeziora Värtan. Carl Milles był mistrzem przedstawiania figur w locie, w ruchu, w tańcu. Toteż niezwykle zachwyty wzbudziły we mnie ustawione na smukłych kolumnach anioły, wsparte tylko na pięcie, lecące wprost we wszechświat.

Do obowiązkowych atrakcji należy też zwiedzanie Skansenu. Jest to pierwsze na świecie muzeum pod gołym niebem, założone w 1891 r. Na terenie rozległego parku stoją tu domy charakterystyczne dla wszystkich

regionów Szwecji, warsztaty rzemieślnicze, zagrody i kościoły drewniane. Można tu obejrzeć pracę garncarzy, szewca lub hutnika szkła i zwiedzić ogród zoologiczny, w którym zwierzęta przebywają w warunkach zbliżonych do naturalnych.

Podczas pobytu w Sztokholmie byłam świadkiem historycznego momentu, kiedy po 333 latach wydobyto z dna zatoki wielki galeon z czasów wojny trzydziestoletniej. Statek zatonął tuż po zwodowaniu w 1628 r.

W Sztokholmie odszukałam syna pani S., który z wdzięczności zaproponował mi pójście do restauracji, bądź do kina - cineramy. Wybrałam więc film amerykański „*Seven wonders of the World*”, wyświetlany na półokrągłym ekranie, który dostarczył mi wielu niezwykłych wrażeń. Na przykład, miałam wrażenie, że woda wylewa się z ekranu na widownię.

W maju przyleciał do Sztokholmu dr Władysław Karaszewski, zaproszony przez prof. Hesslanda do wygłoszenia na Uniwersytecie Sztokholmskim cyklu wykładów na temat stratygrafii liasu w Polsce.

Wycieczka geologiczna do Skanii

W dniach od 12 do 19 maja wzięliśmy z nim udział w wycieczce geologicznej do Skanii, zorganizowanej przez prof. Hesslanda dla studentów geologii.



*Tuż przed wyjazdem na wycieczkę geologiczną 12 maja 1961 r.
Od lewej: Autorka, Ivar Hessland i Britta Lundblad. Sztokholm.*

Pierwszego dnia, 12 maja, o godzinie 6.30 rano opuściliśmy Sztokholm. Pogoda była piękna, ale było zimno. Jechaliśmy dwoma samochodami. Pierwszy samochód prowadził prof. Hessland. Pasażerami byli: doc. Britta Lundblad, dr. Karaszewski i ja. Drugim samochodem jechali studenci. Profesor Hessland przekazywał nam nie tylko wiadomości geologiczne, ale starał się też pokazać jak najwięcej zabytków, co było dla nas wielkim urozmaiceniem.

Przebyliśmy trasę: Stockholm – Södertälje – Nyköping – Norrköping – Linköping – Mjölby – Gränna – Jönköping – Halmstad – Laholm – Båstad. Jechaliśmy autostradą, jedną z najpiękniejszych w Szwecji. Mijaliśmy olbrzymie głązy wygładzone przez lodowiec – nunataki.

W pobliżu Norrköping, w Marmorbruket, oglądaliśmy kamieniołom, w którym eksploatowane są najpiękniejsze marmury szwedzkie: białe, zielone z dużą domieszką chlorytów i szare. W Mjölby oglądaliśmy łupki aluonowe, górnokambryjskie, które są przedmiotem eksploatacji, ponieważ zawierają uran. Jadąc dalej, mijaliśmy znaki drogowe, które ostrzegały o przechodzeniu łosi przez drogę. Następnie jechaliśmy wzdłuż jeziora Vättern (widok cudowny!), które z jednej strony jest ucięte olbrzymim uskokiem, tworzącym wysoką ścianę. W Jönköping mijamy wysokie torfowisko ze *sphagnum* i karłowatymi sosenkami. Tuż za Halmstadem mijamy olbrzymią kopię głowy z Wyspy Wielkanocnej. Nocleg w Båstad.

Na noclegi zatrzymujemy się w niewielkich hotelach leżących na trasie naszych wycieczek, w których zawsze czeka na nas słynny *Smörgåsbord* (szwedzki bufet), składający się z szeregu dań następujących po sobie. Będą to śledzie, najczęściej w słodkich sosach, następnie wędzony lub gotowany losoś, sardynki, krewetki, sałatki, wędliny, pasztety, zrazy wołowe i inne zimne mięsa. Chleb świeży lub suszony, zwany *Knäckebröd* i masło. I wreszcie smażone kielbaski i omlety. Na końcu podaje się sery i owoce. Wszystko popija się mlekiem. Mleko nie jest gotowane, chłodne, pasteryzowane. Inną potrawą są naleśniki (*Pannkaka*), które podaje się w czwartki z doskonałymi borówkami.

Drugi dzień wycieczki, 13 maja, rozpoczynamy od oglądania wapieni danu w miejscowości Båstad. Wapienie te są przepełnione mszywiolami i rudystami (olbrzymie małże rafowe). Nawet piaskowce kambryjskie, które poprzez zmywanie przez morze kredowe dostały się do osadów, zawierają na swojej powierzchni małże i mszywioly.

W Torekov, około 20 km na zachód od Båstad – Dolny kambr. Są to piaskowce różnoziarniste, pocięte żyłami diabazu. Ziarna kwarcu często

noszą ślady gładzenia eolicznego. Występują ripplemarki oraz „u” kształtne ślady robaków. Höganäs, kilkanaście km na południe od Torekova. Retyk i dolny lias (lias α_1 i α_2). Retyk reprezentowany jest przez serię Vallåkra. Są to węgle silnie uwęglone, przelawicone łupkami. Są one eksploatowane. Lias dolny – piaskowce jasnoszare lub białe, z wkładkami szarych lub czarnych łupków. Występują w nich także wąskie wkładki węgliste. W Inge-lstråde, kilka km na SE od Höganäs, występują piaskowce z serii Hälsingborg (lias α_1 i α_2) z *Cardinia sp.*

Nocujemy w Strandbaden. Mamy widok na cieśninę Sund. Widzimy światła w domach duńskich. O godz. 20.00 słońce jest jeszcze na niebie. O godz. 20.20 słońce zachodzi, ale na widnokręgu jest jasna poświata.

Trzeci dzień wycieczki, 14 maja, poświęcony był odsłonięciom kajpru, retyku i liasu.

Döshult. Lias α_3 i dolna część liasu β . Są to piaskowce gruboziarniste, silnie zlimonityzowane, z płasko obtoczonymi glazikami. Prof. Hessland sądził, że osad ten był przyniesiony z terenów plażowych. Hälsingborg. Lias α_1 - α_2 . Jest to olbrzymie odsłonięcie piaskowców z rizo-idami i śladami falowania, przelawiconych ciemno szarymi łupkami z florą. W środkowej partii profilu występuje bardzo cienka wkładka węgla. W Kulla Gunnarstorp, kilka km na południe od Döshult, obserwujemy utwory liasu α_1 - α_2 (seria *Avicula* i *Ostrea*). Nieco dalej mamy już odsłonięcia piaskowca z małżami z serii Döshult (lias α_3). Vallåkra. Retyk dolny reprezentowany przez serię Vallåkra. Obejmuje osady o miąższości 25-30 m. Są to ciemno szare ily ze sferysyderytami i wkładkami węglistymi. Baltenberga. Kajper. Jest to seria Kageröd, którą tworzą piaskowce, konglomeraty i łupki, zwykle o czerwonym zabarwieniu.

Nocujemy w Rostånga, około 30 km na wschód od Hälsingborg.

Czwarty dzień wycieczki, 15 maja, rozpoczynamy od oglądania w Djudadal w okolicy Malmö tufu wulkanicznego z bombami i lapillami ze szczątkami roślin, a w Lillö, około 100 km na wschód od Malmö, bazaltowego wypełnienia komina dawnego wulkanu (neku).

Stanstorpgraven. Lias α – reprezentowany przez piaskowce arkozowe i budowlane, przedzielone iłami. Nieco dalej widać wciśnięcie iłów pomiędzy dwoma poziomami piaskowców.

W Rövarekulan oglądamy ciemne łupki ludlowu z graptolitami i ortocerasami. Jest to seria *Colonus*.

Pada deszcz. Profesor Hessland otwiera swoje walizy – ma ich aż cztery i obdarowuje wszystkich płaszczami od deszczu i kurtkami. Mnie w udziale przypadł parasol.

Hardeberga – piaskowce dolnego kambru z robakami, śladami organicznymi i fosforytami, pocięte żyłami diabazu permskiego.

W Limhamn, który jest południowym przedmieściem Malmö, znajduje się słynny kamieniołom wapieni mastrychtu z wkładkami krzemieni i fauną amonitową. Wyżej leżą wapienie danu z licznymi rafami mszywiolowymi i jeżowcami, opracowanymi przez dr Romana Kongiela z Polski.

Kilka km na wschód od Malmö, w Sallerup, oglądamy tkwiącą w morenie krę kredy piszącej.

Falsterbo, około 30 km na południe od Malmö – nocleg.

Piąty dzień wycieczki, 16 maja. Falsterbo. Jesteśmy na samym cypelku. Obserwujemy na plaży ślady fal i deszczu oraz charakterystyczne linie powstałe na skutek przesuwania materiału. Podobne ślady fal prof. Hessland znajdował w skałach kambryjskich. Tuż za Falsterbo mijamy małe jezioro, które odcięte jest wydrami od blisko położonego morza. W jeziorze tym mogą się tworzyć osady trojakiego rodzaju: 1) jeziorne, aż do torfów włącznie; 2) eoliczne; 3) morskie, gdyż w czasie silnych sztormów jezioro to zalwane jest przez morze, które niesie ze sobą faunę.

Jedziemy następnie wzdłuż brzegu morza ku wschodowi. Mijamy Trelleborg, Smygehamn, Ystad.

W Benestad, około 10 km na północ od Ystad, oglądamy trawertyny czwartorzędowe z doskonale zachowanymi szczątkami roślinnymi i ślimakami. Trawertyny te były odsłonięte w 1910 r., w czasie Międzynarodowego Zjazdu Geologicznego, odbywającego się w Sztokholmie.

W Ramsåsa, nieopodal Benestadu, mamy odsłonięcia ludlowu i d-wtonu. Są to piaskowce i łupki ciemno wiśniowe z miką i bogatą fauną *Beyrichii* i *Leperditia*, ortocerasów oraz ze szczątkami ryb. Jest to facja oldredu.

Eriksdal – Fyledalen. Olbrzymia kopalnia. Lias β i γ . \S to żelaziste piaskowce z bogatą fauną małży i amonitów. W górnej partii występują warstwy syderytowe i szamozytowe, które były niegdyś przedmiotem eksploatacji. Na uwagę zasługują tkwiące w morenie głazy kambryjskie z trylobitami (*Agnostus pyriformis*) oraz łupki z graptolitami. Obserwujemy również ślady pożaru w węglu – popiół jest barwy czerwonej.

Lövestad, około 20 km na północ od Ystad – nocleg.

Szósty dzień wycieczki, 17 maja. W Onslunda, około 10 km na południowy wschód od Lövestad, oglądamy zmineralizowane piaskowce dolnokambryjskie z fluorytami, galeną i blendą cynkową.



*Piaskowce dolnego kambru z olbrzymimi ripple-markami.
Simrishamn, Skania, 1961 r..*



*Odpozynek na piaskowcach dolnego kambru z olbrzymimi ripple-markami.
Simrishamn, Skania, 1961. Od lewej: T. Marcinkiewicz, I. Hessland, doc.dr
B. Lundblad i studenci geologii. (fot. W. Karaszewski)*

W Simrishamn, kolejne 10 km na wschód od Onslunda, mamy jeszcze raz dolny kambr. Są to piaskowce jasne, zlewne, przedzielone łupkami alurowymi. Na powierzchni widoczne olbrzymie ripplemarki. Mijamy piękne sady owocowe. Drzewa są obsypane kwieciami, a po kilku dniach niepogody mamy znowu słońce.

Kivik. Około 5 km na wschód od Simrishamn. (*Kivik, stanowiące centrum sadownictwa jabłoniowego we wschodniej Skanii, jest miejscowością wypoczynkową, położoną nad morzem. Na południe od centrum miejscowości znajduje się kurhan, pochodzący z epoki brązu, tzw. Kungagraven i Kivik. Około 3 km dalej na południowy wschód położony jest park narodowy Stenshuvud. Wikipedia*).



Wejście do grobu królewskiego w Kivik

(http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Kungagraven_kivik.jpg)

Królewski grób w Kivik był największym odkryciem w historii badań archeologicznych w Europie. Odkrycie to miało miejsce w 1748 r. Jest to największy grób, liczący 75 m średnicy, jaki został dotąd poznany w Szwecji. Odrestaurowano go w latach 1932 – 1933. Grób zbudowany jest ze stosu kamieni. W jego wnętrzu znajduje się izba zawierająca płyty z pierwotnymi rysunkami.

Płyta 1-sza. Rysunki siekier były szczególnie ważne dla datowania grobowca, ponieważ wykazywały podobieństwo do siekier z epoki środko-

wego brązu. Płyta 2-ga. Zawiera rysunek okrętu. Ten rodzaj okrętu jest dobrze znany z rysunków w północnej Europie. Pionowe kreski mogą reprezentować załogę okrętową. Płyta 3-cia. Przedstawia zwierzęta, prawdopodobnie konie. Podobne formy są również znane ze Skandynawii z epoki brązu. Płyta 4-ta. Na płycie są dwa koła z krzyżami. Jest to częsty motyw powtarzający się w rysunkach z epoki brązu – symbol magiczny, lub symbol słońca. Na płycie 5-tej znajdują się krótkie linie. Płyta 6-ta. Koła z krzyżami oraz symbole rysowane parami. Liczba „dwa” ma znaczenie magiczne. Płyta 7-ma. Przedstawia procesję. U samej góry są to postacie czterech mężczyzn. Dwaj z nich posiadają miecze. Dalej powóz prowadzony przez uzbrojonego mężczyznę z meczem. Poniżej mężczyzna i postacie ludzkie przebrane za ptaki lub foki. Duże ryby (?) i dwa czworonożne zwierzęta interpretowane są jako zwierzęta ofiarne.



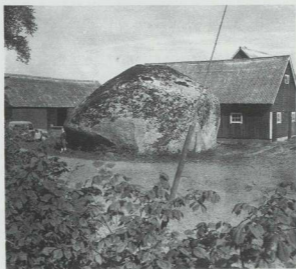
*Płyta z rysunkami z okresu brązu, grobowiec w Kivik,
(http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/5/5f/Kiviksgraven_slab_1.jpg)*

Płyta 8-ma. W górnym szeregu można wyróżnić postacie bijące w bębny oraz innych muzykantów. W środkowym szeregu widać postacie ludzkie wyraźnie pochylone nad jednym obiektem. Jest to z pewnością scena składania ofiary. Poniżej dwie grupy osób stojące przed półokrągłymi figurami. Według badaczy figury te reprezentują otwarte grobowce.

Andrarum. Nieczynna kopalnia łupków alunowych, otwarta w XVII wieku. Dolna część górnego kambru. W piaskowcach występuje pospolicie *Agnostus pyriformis*. Obok stoi stary magazyn alunu sprzed 200 lub 300 lat.



Przed zamkiem z XV wieku w Trolle-Ljungby, Skania, 1961.
Od lewej: Maud Bevaqua, W. Karaszewski i Autorka.



Trolle-Ljungby. Przed tym glazem tańczył potwór Trolle.

W Trolle-Ljungby, około 10 km na wschód od Kristianstad, zwiedzamy zamek z XV wieku.

W Ivö zwiedzamy kopalnię kaolinu.

W Åsen – santon wykształcony w postaci ciemnych ilów ze szczątkami roślin – facja deltowa.

Sölvesborg. Miasto portowe w regionie Blekinge, około 25 km na wschód od Kristianstad – nocleg.

Siódmy dzień wycieczki, 18 maja.

Balsvik. Mamy tutaj dolny i górny kampan oraz dolny mastrycht. W kampanie znajdowane były szczątki gadów. Stąd został opisany nowy gatunek *Actinocamax balsvikensis*, przewodni dla dolnego kampanu.

Ullstorp, około 15 km na zachód od Kristianstad. Koniak – santon (?). Oglądamy hard-ground.

Ignaberga, w pobliżu Hässleholm. Są tutaj wapienie kampanu z typową skamieniałością *Crania ignaberga* i liczną fauną belemnitów, mszywiolów, ostryg i koleców jeżowców.

W Tyckarp, w pobliżu Hässleholm. Zwiedzamy groty w wapieniach kampanu, które są znane od tysiąca lat. W stropie widoczna jest morena z tkwiącymi w niej głazami kredowymi.

Przejeżdżamy przez Stenbrohult, około 40 km na północny wschód od Hässleholm; miejsce urodzenia Carla Linneusza (1707 – 1778).

Vetlanda, nocleg. Miejscowość położona jest w środkowej części prowincji Småland, ok. 80 km na południowy wschód od Jönköping.

Ósmy dzień wycieczki, 19 maja.

Powrót do Sztokholmu: Vetlanda – Eksjö – Gränna – Mjölby – Linköping – Norrköping – Nyköping – Södertälje – Stockholm.

W Eksjö, około 25 km na północ od Vetlanda, przed kościołem jest kamień z pismem runicznym.

W Himmesta na głazach wygładzonych przez lodowiec oglądamy rysunki z epoki brązu (2000-3000 lat p.n.e.). Rysunki przedstawiają okręty, słońce, psy i konie oraz odciski stóp. Są prawdopodobnie tego samego wieku co grobowiec w Kiviku.

Wycieczka geologiczna do Danii i na Bornholm

Po dziesięciu dniach pobytu w Sztokholmie, 29 maja wyjechaliśmy na czterodniową wycieczkę geologiczną do Danii i na Bornholm. Przewodnikiem był tam dr H. Gry z Danmarks Geologiske Undersøgelse (Duńskiej Służby Geologicznej) w Kopenhadze.

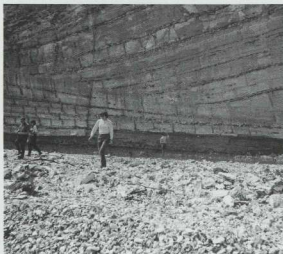
Pierwszy dzień wycieczki, 29 maja.

Pierwszy dzień wycieczki poświęcony był odsłonięciu kredy w obrębie Stevns Klint na wschodnim wybrzeżu Danii i na wyspie Møn.

W Holtug, w pięknym profilu kredowym śledzimy granicę pomiędzy górnym mastrychem i dolnym Danem. Wapienie z *Bryozoa*. Biohermy.



Biohermy. Højerup, Dania, !961 r.



Biohermy. Højerup, Dania, !961 r. W białej bluzce – Autorka.

Nieco dalej, w Højerup oglądamy ten sam profil. Brzeg tworzy piękną falezę stromo opadającą ku morzu. Interesujące jest wtórne pionowe wytracenie krzemieni wśród szczelin. W wyższej partii profilu występują wapienie bryozoowe o miąższości 10m, z wkładkami krzemieni. Biohermy.

Na wyspie Møn, gdzie brzeg wynosi się na 128 m, obserwujemy morenę, w której tkwi kra kredowa. Na plaży, w najdalszym zasięgu fal piasek jest czarny, złożony głównie z granatów i magnetytów.

W Faxe oglądamy wapien koralowy danu.

Nocą płyniemy statkiem „*Hammershus*” z Danii na Bornholm. Przybijamy do miasta Rønne, gdzie będziemy mieszkali w hotelu z 1822 r., prowadzonym przez misjonarzy. Kształt wyspy jest uwarunkowany częściowo uskoki, z których na szczególną uwagę zasługują uskoki biegnące wzdłuż zachodniego i północno-zachodniego brzegu wyspy.

W obrębie tych uskoków występują osady triasu, jury i kredy, podczas gdy pozostałą, północno-wschodnią część wyspy budują utwory prekambru i paleozoiku. Na prekambry składają się granity i gnejsy pocięte licznymi żyłami diabazu. Paleozoik reprezentują utwory kambru, ordowiku i dolnego syluru. Brak tutaj wyższego paleozoiku. Mezozoik obejmuje utwory kajpru, jury i kredy.

Drugi dzień wycieczki, 30 maja.

W pierwszym dniu wycieczki po Bornholmie oglądamy w Åkirkeby dolno kambryjski piaskowiec kwarcytowy, silnie potrząskany. Widoczne są drobne przesunięcia, fleksury. Na powierzchni widać ripplemarki różnej wielkości przebiegające w różnych kierunkach.. Występują tam też drobne nafałdowania i zmarszczki, które mogły powstać podczas krzemienia piaskowców na skutek nierównomiernego odkładania się krzemionki. Piaskowce te są odpowiednikami piaskowców sanijskich z Simrishamn z olbrzymimi ripplemarkami.

Trzeci dzień wycieczki, 31 maja.

W Råbåkeverket u podstawy odsłonięcia oglądamy zwietrzały granit. Wyżej leży kaolin niekiedy warstwowy. Na tym leżą osady wealdu w postaci ciemnoszarych ilów, w których obserwujemy powierzchnie zwietrzeniowe.

W Robbedale śledzimy profil kredy rozpoczynający się wealdem i kończący się na turonie. W wealdzie wyróżnia się tutaj trzy serie: serię rabekke, robbedale i Jydegaard. Seria rabekke charakteryzuje się obecnością sferysyderytów, które często zawierają faunę małży brakicznych (*Cyrena*, *Paludina*) i szczątki roślin. Wyżej leżą piaski (seria robbedale) ze śladami

korzeni pięknie zachowanymi śladami robaków. Dalszy ciąg profilu mamy nad brzegiem morza, gdzie nad wyżej wspomnianymi piaskami widać już nowy typ sedimentacji, rozpoczynający się od piasków (seria Jydegaard) przechodzących w konglomeraty. Nieco dalej mamy już piaszczyste wapienie cenomanu z fosforytami, glaukonitem i śladami robaków. Jeszcze dalej – opoki turonu, zawierające gąbki krzemionkowe i *Inoceramy*.



Dr W. Karaszewski fotografuje ślady korzeni i robaków, Robbedale, Bornholm, 1961 r.

W Rønne oglądamy utwory liasu, które w pobliżu uskoku wykazują silne wypiętrzenie. Są to ility z wkładkami piaszczystymi i syderytowymi z fauną.

W **czwartym dniu wycieczki, 1 czerwca**) oglądamy granit Rønne, który w środkowej części jest kwaśny, a na bokach zasadowy. Wspaniała kontakt z pegmatytem – duże ortoklasy, plagioklasy i kwarc zadymiony. Wiek granitów prawdopodobnie Swiński (starszy Archaik).

Jydegaard – weald w kontakcie z granitem. Są to ciemne ility ze zlimonizowanymi szamozytami. Wyżej leżą zielone piaski koniak.

Oglądamy piękny kamieniołom, skąd pochodzi flora znana jako flora z Bagå. Dr Gry przypuszcza, że osady z florą reprezentują lias środkowy.

Potem jemy śniadanie na północnym cyplu Bornholmu, gdzie znajdują się ruiny zamku Hammershus. Ta potężna twierdza, ulokowana na 70-metrowym wzgórzu, powstała w XIII wieku na polecenie arcybiskupa szwedzkiego Lundu.



Ruiny zamku Hammershus – wieża więzienna. Bornholm, 1961 r.



Kościółek romański z XII w., Nyker, Bornholm



Kolumna we wnętrzu kościółka w Nyker, Bornholm, 1961 r.

Z ery brązu oglądamy w okolicy Allinge naskalne rysunki przedstawiające słońce i okręty. Jedziemy piękną szosą wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża Bornholmu. Mijamy Tejn, Gudhjem i Svaneke. Koło tej ostatniej miejscowości znajduje się sporo wiatraków.

Symbolem wyspy są słynne kościoły rotundowe w miejscowościach Østerlars, Desker, Nylars i Nyker. Powstały w XII wieku jako budowle obronne. Odwiedziliśmy kościół w Nyker i podziwialiśmy freski na potężnym filarze. Domki na wyspie pomalowane są najczęściej na kolor czerwony lub żółty, z udziałem drzewa pomalowanego na czarno. W wielu oknach zamontowane są lustra – peryskopy umożliwiające obserwowanie ruchu na ulicy. Skręcamy na wschód, na Neksø, Bodilskirke, Åkirkeby, które do XVIII wieku było stolicą Bornholmu, a w Nylars oglądamy drugi okrągły kościół.

W drodze powrotnej do Sztokholmu zatrzymujemy się w Kopenhæge. W programie jest zwiedzanie Glyptoteki i Muzeum Thorwaldsena. W Glyptotece widzieliśmy jeden z najoryginalniejszych pomników Kai Nielsen (1881-1924): „Matka Woda”. Spośród innych rzeźb przyciągał wzrok „Pocałunek” Augusta Rodina (1840-1917).



„Matka woda”, Kai Nielsen, Glyptoteka, Kopenhaga
 (http://en.wikipedia.org/wiki/File:Kai_Nielsen,Vandmoderen,Glyptoteket.jpg)



Bilet do Muzeum Thorvaldsena, Kopenhaga, 1961 r.

Polaków najbardziej interesuje jednak Muzeum Bertela Thorwaldse-
na, czołowego przedstawiciela klasycyzmu w Europie. W Muzeum tym
znajduje się cały dorobek artystyczny tego rzeźbiarza. Polacy mają wielki
sentyment do tego miejsca, ponieważ mogą tu zobaczyć pomnik Kopernika,
jak również gipsowy odlew Józefa Poniatowskiego, który posłużył do od-
tworzenia pomnika jako daru Kopenhagi dla powojennej Warszawy.

Na kopenhaskiej promenadzie Langelinie mijamy okazałą fontannę –
pomnik bogini Gefion, prowadzącą sochę, którą ciągną woły. Nieco dalej,
na przybrzeżnym głazie widzimy niewielką figurę zadumanej Syrenki, wy-
rzeźbioną w 1913 r. przez Edwarda Eriksena na podobieństwo młodzietki
tancerki Ellen Price. W trakcie pracy nad rzeźbą E. Eriksen zakochał się w
swojej modelce i wkrótce para się pobrała.

Rzucamy jeszcze spojrzenie na najpiękniejszy fragment stolicy Danii
– królewski pałac Amalienborg, dzieło architekta Nikolai (Nielsa) Eigtveda
i na wartowników w ogromnych futrzanych czapach i żegnamy Kopenhagę.

X

Dr W. Karaszewski po wygłoszeniu wykładów Na Uniwersytecie
Sztokholmskim powrócił do Warszawy. Zostałam znowu sama, ale i dla
mnie nadszedł taki dzień, kiedy musiałam opuścić Sztokholm, miasto leżące
wśród lasów i jezior, w którym zdążyłam się już zadomowić na dobre. Na
lotnisko odprowadziła mnie Britta Lundblad.

Na lotnisku Okęcie nastąpiło zderzenie z polską rzeczywistością: cel-
niczka zarekwirowała mi 10 długopisów, przeznaczonych na prezenty dla
moich znajomych.

Od tamtych czasów minęło już wiele lat. Teraz wspomnienia odżyły i
mogę powiedzieć, że czas spędzony w 1961 r. w Szwecji dostarczył mi nie-
zapomnianych wrażeń o jakich w tamtych latach nawet nie marzyłam. Była
to przygoda na miarę lat 60-tych XX wieku. Przeżycie tych chwil zawdzię-
czam prof. I. Hesslandowi, który nie bacząc na to, że byłam dopiero począt-
kującym pracownikiem Instytutu Geologicznego, rozpoczynającym prace
badawcze nad megasporami, przysłał mi imienne zaproszenie umożliwiające
mi ten wyjazd do Szwecji.

W czasie pobytu na Uniwersytecie Sztokholmskim poznałam sympat-
ycznego geologa z Bombaju, V.R. Dongre, z którym chętnie rozmawiałam.
ponieważ łatwiej mi było porozumieć się po angielsku z Hindusem niż ze
Szwedami. Kiedyś powiedział mi, że nie chciałby mieszkać w Szwecji. Na

moje pytanie „dlaczego?” odparł: „*bo tutaj ludzie są chłodni*”. Może miał rację, ale ja, na szczęście, czułam się otoczona troską i życzliwością ze strony profesora I. Hesslanda i Britty Lundblad.

**TERESA MARCINKIEWICZ*

Urodzona w 1931 r. w Wilnie. Absolwentka geologii Uniwersytetu Warszawskiego z 1955 r. Doktor nauk przyrodniczych w zakresie geologii (1967). Specjalistka w zakresie paleobotaniki, zwłaszcza badań megaspor. Pracowała w Państwowym Instytucie Geologicznym w latach 1955-1993.

Maciej Podemski*

**POCZĄTEK PRACY W INSTYTUCIE
(1961-1965)**

Zakład Soli i Surowców Chemicznych

Z Instytutem Geologicznym w Warszawie po raz pierwszy zetknąłem się w 1959 r. Rozpocząłem wtedy przygotowywanie pod patronatem Instytutu pracy magisterskiej. Poprzedzone to było porozumieniem Dziekana Wydziału Geologii UW z Dyrekcją IG. Temat pracy „*Cechsztyń w rejonie Lubin Legnicki – Sieroszowice*” otrzymałem od prof. Józefa Poborskiego z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, zatrudnionego na pół etatu w Zakładzie Złóż Ropy, Soli i Surowców Chemicznych Instytutu Geologicznego



Zbigniew Werner i Zofia Kapturska, kreślarka (1973)

Kierownikiem Zakładu był wówczas mgr inż. Zbigniew Werner, specjalista badań złóż soli kamiennych i potasowych, absolwent AGH, wychowanek profesora Józefa Poborskiego. On to, po uzyskaniu przeze mnie absolutorium, zaproponował mi podjęcie stałej pracy w Instytucie. Zgodę na moje zatrudnienie wydał dziekan Wydziału Geologii UW, docent Henryk

Makowski. Instytut uzyskał dla mnie tzw. promesę meldunkową, ponieważ na stałe zameldowany byłem w Mogilnie, a podczas studiów mieszkalem w akademiku UW na Muranowie, przy ulicy Anielewicza. W tamtych czasach duże miasta były zamknięte dla osób mieszkających poza nimi i nie było łatwo uzyskać zgodę na przeniesienie się na stałe do nich. Po załatwieniu niezbędnych formalności, rozpocząłem więc z dniem 4 listopada 1961 r. stałą pracę w Zakładzie Złóż Ropy, Soli i Surowców Chemicznych IG.



Autor. Zdjęcie z kwestionariusza osobowego, 1961 r.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI
(Podkreślenie przez przebiegłość)

ZEZWOLENIE Nr 2

Na podstawie przepisów Uchwały nr 109/52 Prezydium Rady z dn. 1 marca 1952 r. w sprawie ograniczenia pracy zarobkowej studentów szkół wyższych udzielam

Ob. **Maciej FODERSKI**

studentowi **VI** roku wydziału **Geologii Uniw. Warsz.**

nr alb. **30352** zezwolenia na wykonywanie pracy zarobkowej

w **Instytucji Geologicznej w Warszawie**

ul. **Smolwieskiej 4**

na okres od dnia **1 listopada 61r.** do dnia **28 lutego 1962**

Data **Warszawa, dn. 24. I. 1961r.**

[Signature]
(podpis)

120-81 CWD Białostok, Warszawa 12 tom 5140-80
 1277 Lpno 6-50 633 5-7-236 8.200 50 pism. 51. 7 49 g

*Zezwolenie na pracę zarobkową,
 wydane przez dziekana Henryka Makowskiego, X.1961 r.*

Głównym zadaniem Zakładu było poszukiwanie i dokumentowanie cechsztyńskich złóż soli, głównie w obrębie środkowo-polskich wysadów solnych. Szczególne miejsce w tych badaniach zajmował wysad kłodawski, na którym działała już kopalnia soli Kłodawa. Poza tym, kopalnia soli (najstarsza w centralnej Polsce) działała też na wysadzie w Inowrocławiu; eksploatowany był również wysad solny w Wapnie.

W tym czasie rozwiercane i dokumentowane były przez Zakład dwa inne wysady solne: w Mogilnie i w Rogóźnie. Wysad mogileński dokumentował Zbigniew Werner. Poza nim w Zakładzie pracowali dwaj młodzi geolodzy: mgr Andrzej Jaworski, który dokumentował wysad w Rogóźnie oraz mgr Andrzej Wasilewski. Pracownikiem Zakładu, na stałe oddelegowanym do Krakowa, był mgr inż. Aleksander Garlicki, który zajmował się przedkarpaccimi solami miocenijskimi.

Pracownię Petrografii Soli prowadziła mgr inż. Jadwiga Orska, u której pracowała nasza koleżanka, mgr Teresa Hanczke. Staropolskie złoża siarki (m.in. w Swoszowicach) badał mgr Tadeusz Osmólski. W tym czasie do Zakładu należała jeszcze Pracownia Złóż Ropy i Gazu Ziemnego, prowadzona przez dr inż. Stanisława Depowskiego. Pracownikiem jej była m.in. mgr inż. Jadwiga Królicka. Pracownia ta wydzielona została wkrótce w odrębny Zakład Instytutu.



Tadeusz Osmólski, z tyłu Józef Dębski (1973?)

Dyrektorem Instytutu był wówczas prof. dr hab. Edward Rühle, a wicedyrektorami merytorycznymi: dr Jan Czermiński, I Zastępca Dyrektora Instytutu oraz doc. mgr inż. Eugeniusz Wutcen, Zastępca Dyrektora Instytutu ds. surowców mineralnych. Dyrektorem ekonomicznym był mgr Olgierd Brzozowski. Kadry prowadziła mgr Wanda Krzempek.



*Dyrektorzy Instytutu Geologicznego w latach 1960-tych
(od lewej: Jan Czermiński, Eugeniusz Wutcen i Edward Rühle)*

W Zakładzie miałem zastąpić Andrzeja Wasilewskiego, który właśnie odchodził z Instytutu. Zająłem jego biurko w dużym, czterookiennym pokoju, na czwartym piętrze tzw. „nowego gmachu” Instytutu. Pokój ten był jednocześnie sekretariatem kierownika Zakładu. Sekretarką była pani Cecylia Łaciokowa. Jej biurko znajdowało się tuż przy wejściu do gabinetu Zbigniewa Wernera, którego pani Celina z nabożeństwem nazywała „Panem Magistrem”. W pokoju tym pracował też Andrzej Jaworski i chyba Tadeusz Stasiak, kreślarz.

Dwa tygodnie po mnie do Zakładu (i do naszego pokoju) został przyjęty mgr Józef Dębski, pracujący przez dwa (?) poprzednie lata w warszawskim Przedsiębiorstwie Geologicznym. Podczas pracy w przedsiębiorstwie przebywał stale w terenie, w nadzorze głębokich wierceń, czego miał już

serdecznie dosyć. Jakies pół roku później dołączył do nas również, po obronie pracy magisterskiej, Hubert Szaniawski, który zajął w naszym pokoju miejsce kreślarza. W ten sposób pracowało nas w tym pokoju pięcioro.



*Celina Łaciokowa przy swoim sekretarskim biurku; (1973)
Na lewym zdjęciu: otwarte drzwi do pokoju Kierownika Zakładu.*



Józio Dębski



Tadeusz Stasiak

Jako wyposażenie otrzymałem duże (wygodne) stare biurko, chyba jeszcze przedwojenne oraz przedwojenną szafę na tace z okazami geologicznymi. Historyczne przejścia tego mebla dokumentowały dziury po strzałach karabinowych lub odłamkach pocisków z czasu II Wojny Światowej. W takich warunkach przepracowałem w Zakładzie Złóż Soli i Surowców Chemicznych następane trzynaście lat.

Złoże węgla brunatnego w Złoczewie

Pierwszym moim zadaniem, dla którego zresztą zostałem przyjęty do pracy, był nadzór geologiczny nad wierceniem Złoczew IG-1. Wiercenie usytuowane było na niewielkiej ujemnej anomalii grawimetrycznej w okolicy Złoczewa, w powiecie sieradzkim. Lokalne ujemne anomalie grawimetryczne wiązano w tamtym czasie z cechsztyńskimi wysadami solnymi, znanymi już dobrze z Centralnej Polski. Wprawdzie anomalia Złoczewa znajdowała się dość daleko na południowy-zachód od centralnego pola cechsztyńskiego basenu solnego, to jednak wyjaśnienie jej genezy przekazano wyspecjalizowanemu w badaniach wysadów solnych Zakładowi Złóż Ropy, Soli i Surowców Chemicznych IG.

Projekt robót wiertniczych na wykonanie otworu Złoczew IG-1, zlokalizowanego w centrum anomalii, do głębokości około 300 m, przygotował w maju 1961 r. Kierownik Zakładu, Zbigniew Werner, przy pomocy geologa, Andrzeja Wasilewskiego. Pod koniec 1961 r. rozpoczęto wiercenie tego otworu. Ponieważ Andrzej Wasilewski odchodził właśnie z Instytutu, przejąłem za niego nadzór nad wierceniem. Po kilku tygodniach, gdy do Zakładu przyjęto mgr Józefa Dębskiego, zaczęliśmy we dwóch wyjeżdżać do Złoczewa.

W okolice wiercenia dojeżdżaliśmy autobusem z Sieradza. Najbliższą otworu była wioska o wdzięcznej nazwie – Stolec. Warunki życia w terenie sieradzkim były wówczas dość prymitywne. Pamiętam, że raz dotarliśmy z Józkiem do Stolca pod wieczór i nie mieliśmy gdzie przenocować. Znaleźliśmy sołtysa i ten zaprowadził nas do chałupy pewnej wdowy. Ta zgodziła się nas przyjąć na noc wskazując duże łóżko z wielką pierzyną w jedynej w tej chałupie izbie. Spytaliśmy się – „*A pani gdzie będzie spała?*” Wskazała na to samo wielkie łóżko. Zszokowani czym prędzej czmychnęliśmy i nawet nie wiem, gdzie ostatecznie nocowaliśmy. Prawdopodobnie przenocował nas sam sołtys.

Wiercenie dość szybko postępowало i już na początku 1962 roku nawierciło na głębokości 229,5 m węgiel brunatny z wkładkami mułków, gytii

wapiennej i kredy jeziornej. Były to pierwsze węgle brunatne, gytie i inne utwory jeziorne, które w życiu profilowałem, przygotowując m.in. tzw. kartę otworu.

Pokład węgla kontynuował się do głębokości 304 m. Otwór zakończono w utworach jurajskich na głębokości około 318 m. Soli kamiennej nie było tam jednak ani śladu. W związku z tym Zakład Złóż Ropy, Soli i Surowców Chemicznych IG zakończył swoje badania rejonu Złoczewa.

Bardzo szybko węglami brunatnymi, nawierconymi w otworze Złoczew IG-1, zainteresował się Kierownik Zakładu Geologii Złóż Węgla Brunatnego IG, doc. mgr inż. Edward Ciuk. Jeszcze przed ukończeniem wiercenia wystąpił do Centralnego Urzędu Geologii z projektem odwiercenia na anomalii grawimetrycznej Złoczewa kilkunastu otworów wiertniczych.

Prace geologiczno-rozpoznawcze trwały na złożu w Złoczewie, z przerwami, przez lata 1960. i 1970. W 1980 roku Przedsiębiorstwo Geologiczne we Wrocławiu ukończyło je dokumentacją w kategorii C₂, określając zasoby węgla brunatnego na 492 mln ton.

Wyniki otworu Złoczew IG-1, poza odkryciem dużego złoża węgla brunatnego, zwróciły uwagę geologów na to, że ujemne anomalie grawimetryczne wywoływane mogą być nie tylko przez wysady solne, jak dotąd sądzono, ale i przez koncentracje węgla brunatnego. Odkrycie to zostało wykorzystane do opracowania metodyki poszukiwań złóż węgla brunatnego przy pomocy badań grawimetrycznych.

W chwili obecnej złożo węgla brunatnego Złoczew, o zasobach około 0,5 miliarda ton, przygotowywane jest jako złożo zapasowe kopalni w Belchatowie.

Złożo soli kamiennej w Rogoźnie/Rogóźnie

Kolejnym zadaniem, które zostało przydzielone Józiovi Dębskiemu, Hubertowi Szaniawskiemu i mnie (a więc młodemu narybkowi Zakładu), było opracowanie dokumentacji geologicznej złoża soli kamiennej w wysadzie solnym w Rogoźnie/Rogóźnie. Wysad ten odkryty został w roku 1939 badaniami grawimetrycznymi, prowadzonymi w okolicy Łodzi na zlecenie Państwowego Instytutu Geologicznego przez Stanisława Pawłowskiego.

W latach 1940-44 badania kontynuowała niemiecka firma „Seismos”. Po wojnie, w celu wyjaśnienia charakteru anomalii Rogoźna/Rogóźna, odwiercono w 1948 r. pod kierunkiem S. Pawłowskiego wiercenie Rogoźno PIG-I. Na głębokości około 350 m nawierciło ono cechsztyńską serię solną, potwierdzając tym samym istnienie tam wysadu solnego. Ponadto, wierce-

nie to napotkało w utworach trzeciorzędowych, pokrywających czapę wysadu solnego, dwa pokłady węgla brunatnego, o miąższości kilkudziesięciu metrów każdy. Kolejne otwory: Władysławów PIG-II i Wola Branicka PIG-I, odwiercone przez S. Pawłowskiego w latach 1948-1949, przyniosły dalsze potwierdzenie istnienia zarówno wysadu solnego, jak i zalegających nad nim pokładów węgla brunatnego.

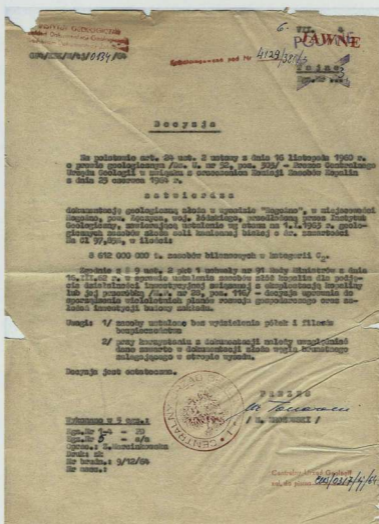
Dalsze prace geologiczno-wiertnicze, prowadzone z przerwami w latach 1950. i 1960. dla rozpoznania zasobów węgla brunatnego, zakończyły się udokumentowaniem ponad pół miliarda ton węgla, co kwalifikuje złożę w Rogoźnie / Rogóźnie do dużych złóż tego typu w Polsce.

W roku 1960 Zakład Złóż Soli i Surowców Chemicznych IG rozpoczął dokumentowanie zasobów soli kamiennej wysadu w Rogoźnie / Rogóźnie. Do połowy 1962 r. odwiercono 12 otworów. Nadzorował je mgr Andrzej Jaworski, który opracował też wstępnie ich wyniki.

Andrzeja Jaworskiego, nieco starszego kolegę geologa, poznałem dopiero po przyjeździe do Zakładu. Już wtedy, pod koniec 1961 r., nadzorował on i opracowywał kolejne otwory z wysadu solnego w Rogoźnie/Rogóźnie. Wtedy właśnie Andrzej zasadnie zakwestionował używaną dotychczas nazwę wysadu: „Rogoźno” twierdząc, że prawidłową nazwą powinno być „Rogóźnie”. Niestety, nie udało mu się jednak przekonać do tego środowiska instytutowego i nazwa „Rogoźno” nadal była używana w kolejnych opracowaniach i publikacjach.

Andrzej był ambitnym geologiem. W 1962 r. miał już na swoim koncie kilka publikacji i zamierzał przygotować pracę doktorską na temat wysadowych czap ilowo-gipsowo-anhydrytowych w Polsce. Propozycja ta nie została jednak zaakceptowana i Andrzej w drugiej połowie 1962 roku zwolnił się z Instytutu. Został zatrudniony w Przedsiębiorstwie Poszukiwań Geofizycznych w Warszawie, gdzie nb. otrzymał znacznie wyższe wynagrodzenie niż miał w Instytucie. Po pewnym czasie przygotował tam i obronił pracę doktorską.

Dokończenie prac prowadzonych przez Andrzeja Jaworskiego i opracowanie dokumentacji geologicznej złoża soli kamiennej w wysadzie solnym Rogoźno kierownik Zakładu, Zbigniew Werner, powierzył zespołowi najmłodszych swoich geologów: Józiovi Dębskiemu, Hubertowi Szaniawskiemu i mnie. Dokumentację tę ukończyliśmy w listopadzie 1963 r., a w lipcu 1964 r. Prezes CUG podpisał decyzję zatwierdzającą przedstawione w niej osiem i pół miliarda ton zasobów soli kamiennej w kategorii C2.



Akt zatwierdzenia dokumentacji złoża soli kamiennej Rogoźno, 1964 r.

W trakcie przedstawionych powyżej prac, wykonywanych w Instytucie w ramach obowiązków służbowych, opracowywałem również materiały zebrane do pracy magisterskiej. Miałem w tym zakresie pełne wsparcie kierownictwa Zakładu i Instytutu. Z Dyrekcji IG był to przede wszystkim dr Jan Czermiński, z którego inicjatywy Hubert Szaniawski i ja wykonywaliśmy prace magisterskie pod patronatem Instytutu. W drugiej połowie 1962

r. napisaną i oprawioną pracę złożyłem na Wydziale Geologii UW i w listopadzie tego roku na jej podstawie i po zdaniu egzaminu końcowego otrzymałem dyplom magistra geologii.

Złoże gazu ziemnego w Otyniu

W drugim kwartale 1962 r. kierownik Zakładu przydzielił mi jeszcze jedno zadanie: nadzór geologiczny wiercenia Otyń IG-1, zlokalizowanego koło Nowej Soli. Wiercenie to miało zbadać zasięg cechsztyńskiego poziomu soli potasowej, odkrytego w 1961 r. w otworze Przemysłu Naftowego, Nowa Sól 1 (Studzieniec), położonym nieco dalej na zachód od Nowej Soli. Poziom ten, napotkany na głębokości około 950 m, zbudowany był z soli kamiennych z domieszką soli potasowo-magnezowych, o zawartości 6-8% K_2O . Zawartość potasu zbliżona była do wartości bilansowej, a głębokość napotkanej koncentracji uznawana była wówczas za dostępną górnico.

W związku z tym, w styczniu 1962 r. Zbigniew Werner zaprojektował odwiercenie otworu Otyń IG-1, usytuowanego nieco na północ od Nowej Soli, około 10 km na NE od otworu Nowa Sól 1. Otwór ten miał również sprawdzić, czy w nadległych utworach trzeciorzędowych występują węgle brunatne, a także dowiercić się do spągu utworów cechsztyńskich dla zbadania ewentualnej miedzioności łupków miedzionośnych, występujących w spągu utworów cechsztyńskich. Projekt był aneksem do instytutowego planu poszukiwań złóż rud miedzi, przygotowanego przez Jana Wyżykowskiego na rok 1961. Zakończenie wiercenia przewidziano na głębokości 1500 m. W kwietniu 1962 r. projekt został zatwierdzony przez Prezesa Centralnego Urzędu Geologii.

W maju 1962 r. opracowałem założenia geologiczne otworu dla wykonawcy wiercenia, Przedsiębiorstwa Geologicznego w Warszawie. Zawierały one m.in. uwagi o możliwości pojawienia się objawów gazu ziemnego od stropu pstrego piaskowca i ropy naftowej poniżej 1000 m. Uwagi te włączone zostały do planu ruchu wiercenia i uwzględnione praktycznie przez dołączenie prewentera szczękowego do projektu konstrukcji otworu.

Na początku listopada 1962 r., wspólnie z Janem Wyżykowskim oraz Edwardem Torzem z Działu Robót Geologicznych Instytutu, wyznaczaliśmy otwór w terenie. Ze względu na trudne warunki terenowe, przesunęliśmy jego lokalizację o jakieś 100 m od pierwotnie planowanej. Później okazało się, że mogło to mieć znaczenie dla wyników wiercenia.

Pod koniec lutego 1963 r., po zmontowaniu urządzenia wiertniczego, rozpoczęto wiercenie otworu Otyń IG-1. Jego dozór geologiczny przejął

Eugeniusz Metlerski, technik geolog Zakładu Złóż Rud Metali IG, dozoru-
jący równocześnie instytutowe otwory Jana Wyżykowskiego, wiercone w
pobliżu w ramach poszukiwań rud miedzi.

Tymczasem w maju 1963 r., w kolejnym otworze Przemysłu Nafto-
wego, Nowa Sól 6, wierconym około 10 km na zachód od naszego otworu,
napotkano w cechsztyńskim dolomicie głównym złożę gazu ziemnego. W
związku z wejściem naszego wiercenia Otyń IG-1 w utwory środkowego
pstręgo piaskowca, zwróciłem uwagę kierownika wiercenia na możliwość
pojawienia się gazu ziemnego w pstrych piaskowcu, a zwłaszcza w cechsz-
tyńskim dolomicie głównym.

Na początku września 1963 r., gdy wiercenie wchodziło w stropowe
otwory cechsztyńskie, zmieniono kierownika wiercenia, Zapoznałem go
więc z przewidywanym dalszym profilem geologicznym otworu, uczulając
szczególnie na obserwowanie pojawienia się możliwych objawów bitumi-
nów.

Po powrocie do Warszawy otrzymałem od kierownika Zakładu, Z.
Wernera, zgodę na wzięcie urlopu z ważnych względów rodzinnych. Na
okres urlopu przekazałem nadzór geologiczny nad wierceniem Józiewi Dęb-
skiemu, zaopatrując go w szczegółowy opis przewidywanego profilu geolo-
gicznego, wraz z uwagami o możliwym pojawieniu się gazu ziemnego, lub
też ropy naftowej, w poziomie dolomitu głównego.

Później dowiedziałem się, że ze względu na wagę przewierczanych w
Otyniu skał oraz okresową nieobecność technika E. Metlerskiego, od 16
września na stały dozór geologiczny wiercenia skierowano pana Kazimierza
Piekło, starszego technika Zakładu Złóż Soli i Surowców Chemicznych IG.
Kierownik Zakładu, Zbigniew Werner, udał się również na urlop, przekazu-
jąc kierownictwo Tadeuszowi Osmólskiemu. Jak z tego widać, nie przewi-
dywano większych problemów z wierceniem otworu.

Wszystko to było jednak ciszą przed burzą. W południe 21 września
nastąpiła erupcja płuczki i gazu ziemnego z otworu i rozpętało się piekło
(*nomen omen*) na otworze i w całej okolicy. Dalszy ciąg wydarzeń znam ze
sprawozdań pana Kazimierza Piekło i Józia Dębskiego, a także z raportów
przedsiębiorstw zaangażowanych w akcję ratunkową. W Zakładzie zamel-
dowałem się 7 października, odwołany zresztą z urlopu niecodziennymi
wezwaniami, przekazywanymi przez Polskie Radio.

Pan Kazimierz Piekło raportował, że rano 21 września, około godziny
8-mej rano, stwierdził wraz z kierownikiem wiercenia, że nowo wyjęta z
otworu partia rdzenia, określona przez niego jako anhydryt z dolomitem,

posiadała silny zapach bitumiczny. Chociaż w płuczce wiertniczej nie stwierdził pan Piekło żadnych objawów bituminów, to jednak podobno zwrócił uwagę kierownikowi na możliwość pojawienia się w otworze gazu. Ponieważ jednak zadaniem wiercenia było nawiercenie soli potasowych, nie przywiązywano większego znaczenia do zagrożenia gazowego. Miało to o tyle istotne znaczenie, że przy nawiercaniu poziomów gazonośnych używana jest tzw. płuczka ciężka, przeciwdziałająca swoim ciężarem ciśnieniu nawierconego gazu, podczas gdy przy przewiercaniu poziomów solonośnych używa się płuczek „lekkich”, silnie zasolonych, aby nie wypłukiwały rdzeni soli kamiennych, a tym bardziej znacznie łatwiej rozpuszczalnych soli potasowo-magnezowych.

Dalsze wiercenie podjęto o godzinie 11-tej. Około godziny 12.20 nastąpił przypływ gazu ziemnego pod dużym ciśnieniem. *„Płuczkę w mgnieniu oka wyrzuciło z otworu,”* – napisał pan Piekło w swoim raporcie – *„tak że wiertacz nie zdążył już podciągnąć przewodu wiertniczego i prewenter założono na kwadratkę (zwaną też „graniatką” - najwyższa część przewodu wiertniczego w postaci grubościennej rury o przekroju kwadratowym lub wielobocznym, służąca do przekazania ruchu obrotowego ze stołu wiertniczego na przewód wiertniczy), przez co gaz nie bił w górę, a wydostawał się ponad rurę obsadową z tak wielkim rykiem, że oddech zapierał w pierśiach”*. Rzeczywiście, gwizd gazu z otworu słyszany był podobno w promieniu 2 km. Myślę jednak, że pan Kazimierz nie był osobiście świadkiem tego wydarzenia, bo według wszelkich reguł gry udał się w tym czasie na grzyby do okolicznego lasu.

Według sprawozdania kierownika wiercenia, podjęto jednak na otworze dodatkowe środki ostrożności, polegające głównie na obserwacji w korycie płuczkowym ewentualnych objawów zgazowania płuczki. W pewnym momencie wiercenia zaobserwowano zwiększony przypływ płuczki na korytach. Wysprzęglono wtedy stół wiertniczy, włączono drugi silnik i przystąpiono do podciągania przewodu. Po podniesieniu przewodu o 0,5 m *„gaz wyrzucił już płuczkę z taką siłą,”* – napisał kierownik wiercenia – *„że przesłaniał ciężarowską i zalał oczy wiertaczowi, a pod wpływem nadmiernego obciążenia zostały zdławione silniki”*.

Po stwierdzeniu, że przewód został przychwycony, zakręcono na graniatce prewenter szczękowy. Ponieważ nie tłumilo to wypływu gazu, po kilku minutach kierownik polecił otworzyć prewenter. Od momentu zauważenia zwiększonego przypływu płuczki na korytach do zakręcenia prewentera upłynęło, wg sprawozdania kierownika, około 5 minut.



Wyrzut płuczki z otworu wiertniczego Otyń IG-1, 1963. (fot. Emil Markulis)

Wieś gminna doniosła mi jednak później nieco inną wersję wydarzeń na otworze. Otóż wiertnicy prawdopodobnie całkowicie nie spodziewali się erupcji gazu. Biorąc pod uwagę fakt, że Przedsiębiorstwo Geologiczne z Warszawy w Otyniu wierciło swój pierwszy otwór na ropo- i gazonośnych terenach, załoga nie miała jeszcze doświadczenia z takimi erupcjami. Dlatego przy nagłym pojawieniu się wyrzutu zgazowanej płuczki z otworu, od razu zgaszono silnik i załoga uciekła z szybu wiertniczego. Po chwili jednak powrócono. Gaz wylał się już wtedy z pełną siłą, więc obawiając się wybuchu nie włączano już silnika, tylko zakręcono prewenter na kwadratce. Prewenter miał jednak przekrój okrągły, więc między jego obwodem, a ścianami kwadraty pozostały wolne przestrzenie, przez które przelatywał

gaz z taką siłą, że wyrwał gumowe uszczelki prewentera, co jeszcze zwiększyło przestrzeń przelotowe gazu.



*Erupcja gazu z otworu Otyń IG-1 (z lewej).
Grupa awaryjna PPKN w Krośnie w akcji (z prawej).
(fot. E. Markulis, 1963)*

Natychmiast po erupcji podjęto kroki zmierzające do zabezpieczenia otworu i terenu wokół otworu przed pożarem. O erupcji powiadomiono milicję, pogotowie ratunkowe i straż pożarną, a także państwowe władze geologiczne i górnicze oraz władze administracyjne powiatu i województwa. W ciągu paru godzin przyjechała Straż Pożarna i Pogotowie Ratunkowe, a milicja zatrzymała ruch pociągów na trasie Zielona Góra – Nowa Sól (otwór był usytuowany około 500 m od linii kolejowej) i zabezpieczyła drogi dojazdowe do szybu wiertniczego. Ruch pociągów był zatrzymany do niedzieli 22 września 1963 r., to jest do przyjazdu mgr Jana Calikowskiego z Instytutu Geologicznego i mgr M. Celarego, którzy wyposażeni w metanomierze stwierdzili, że nasycenie powietrza gazem w rejonie toru kolejowego nie grozi zapaleniem od iskry lokomotywy.

Opanowywanie erupcji gazu trwało do 29 września 1963 r. Akcją kierowało Przedsiębiorstwo Geologiczne z Warszawy. Bezpośredniego opa-

nowania erupcji dokonała grupa pracowników Państwowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Naftowego z Jasła. W niedzielę, 29 września, otwór zatłoczono ciężką płuczką, założono i zamknięto pełny prewenter, a także założono i zamknięto zasuwę. Erupcja gazu na otworze Otyń IG-1 została opamowana. Odtąd na otworze prowadzono tylko pomiary ciśnienia gazu i regulowano je przez odpuszczanie poduszek gazowych i dotłaczanie ciężkiej płuczki.

Józiu Dębski przebywał na otworze do 3 października. W dniach 4-7 października zastępował go Hubert Szaniawski, a od 7-go do 9-go października otwór ponownie nadzorował Józio. 9-tego października, po powrocie z urlopu, przejąłem otwór od Józia i dalej sam już go nadzorowałem.

Komisja powołana w Przedsiębiorstwie Geologicznym w Warszawie podsumowała informacje dotyczące erupcji gazu w otworze Otyń IG-1 oraz przeprowadzonej akcji ratunkowej. W protokole z 10 października 1963 r. zarzuciła instytutowemu nadzorowi geologicznemu, że nie zidentyfikował pojawienia się dolomitu na końcu ostatniego marszu wiertniczego przed erupcją.

Następnie rozważano możliwość przekazania otworu do Przemysłu Naftowego lub kontynuowania wiercenia zgodnie z pierwotnym założeniem. Tę drugą ewentualność odrzucono, zgadzając się tylko na przewiercenie całego poziomu dolomitu głównego. Problemem technicznym były jednak urwane obciążniki, które leżały na dnie otworu.

Dyskutowano również rodzaj i przydatność nawierconych bituminów. Gaz składał się z około 36% metanu i 64% azotu; zawierał także pewną ilość kondensatu gazowego. Przedstawiciele Przemysłu Naftowego uważali, że gaz może być związany ze złożem ropy naftowej. Stanisław Depowski z Instytutu Geologicznego twierdził natomiast, że jest to raczej złożo gazowe i że gaz nadaje się do przemysłowego wykorzystania. Zauważono przy tym, że istotną rolę w przepływie gazu odgrywają spękania w dolomicie.

Przez następny miesiąc przygotowywano urządzenie wiertnicze do dalszych prac, odpuszczano poduszki gazowe i prowadzono obserwacje otworu. Pod koniec listopada 1963 r. przystąpiono do instrumentacji otworu. Prace instrumentacyjne, wymiana prewentera i remonty urządzenia trwały do końca kwietnia 1964 r. Następnie zdecydowano o dalszych działaniach na otworze. Przede wszystkim podjęto wiercenie otworu. Niestety, osiągnięto jedynie głębokość 1161,4 m i po pewnych komplikacjach z płuczką wiercenie zakończono. Od tego czasu prowadzono tylko prace przygotowujące otwór do eksploatacji.



*Spalanie gazu ziemnego podczas badania zasobów (z lewej).
Odpuszczanie koncentratu gazowego z separatora (z prawej).
(fot. Z. Werner, 1963)*

Tymczasem w lutym 1964 r. Okręgowy Urząd Górniczy w Poznaniu skierował do mnie pismo w sprawie awarii na otworze Otyń IG-1. W piśmie tym zarzucono mi „nieodpowiednie i niewystarczające wykonywanie obowiązku nadzoru geologicznego”, wytykając w szczególności fakt, że między 5 września i 9 października 1963 r., kiedy można było spodziewać się objawów ropy i gazu, w ogóle nie byłem na otworze. Poza tym wytknięto, że „zgłoszony do OUG technik nadzoru ob. Eugeniusz Metlerski w ogóle nie był na otworze we wrześniu 1963 r., a oddelegowany przez Instytut Geologiczny inny technik od 16 września 1963 r., niezgłoszony do OUG, błędnie kwalifikował przewiercone pokłady wprowadzając przez to w błąd kierownika wiercenia odnośnie charakteru przewierconych warstw.” Zabrakło też, wg OUG, współpracy z Przedsiębiorstwem Geologicznym przy przewiercaniu cechsztynu i wykorzystaniu w tym momencie doświadczenia Przemysłu Naftowego z rozwiercanej przez niego struktury Nowej Soli. Zobowiązano mnie przy tym do „udzielenia szczegółowych pisemnych wyjaśnień w tej sprawie w terminie do dni 7-miu.”

W odpowiedzi skierowałem pismo do Zastępcy Dyrektora OUG w Poznaniu przedstawiające moje stanowisko w całej tej sprawie. Przede wszystkim sprostowałem informacje o przebiegu moich kontroli na otworze, o kontaktach z Przemysłem Naftowym w sprawie wyników wierceń w oko-

licy Nowej Soli oraz o współpracy z kierownictwem wiercenia Otyń IG-1 w zakresie przewidywanego profilu geologicznego i przewidywanych objawów gazowych i ropnych. Wskazałem też na to, że informacja o przewidywanych objawach gazowych i ropnych zawarta była zarówno w projekcie robót wiertniczych w Otyniu, jak i w założeniach geologicznych dla tego wiercenia. Zagrożenie gazowo-ropne było także uwzględnione przez wykonawcę w planie robót wiertniczych, gdzie przewidziano zabezpieczenie wiercenia prewenterem złożonym z czterech członów: prewentera o całkowitym zamknięciu, czworaka z dwoma kryzami i dwoma odpływami, zamkniętymi zasuwami, prewentera o zamknięciu szczękowym i dodatkowo zabezpieczającego prewentera wrzutowego.

Jeśli chodziło o opis rdzenia wykonany przez pana Kazimierza Piekło, to po pierwsze, istniało stopniowe przejście litologiczne od anhydrytu do dolomitu, a więc brakowało tam ostrej granicy. Po drugie, zarówno dolomit, jak i nadległy anhydryt były silnie przesycone bituminami, co zauważył także kierownik wiercenia, a zatem szczegółowe rozróżnienie litologii nie miało w tej sprawie żadnego znaczenia, a po trzecie gaz wydobywał się ze skały silnie zeszczelinowanej, którą był wprawdzie dolomit, ale równie dobrze mógł być sam anhydryt. Na koniec zwróciłem uwagę na fakt, że od 12 września 1963 r. byłem na urlopie za zgodą kierownika Zakładu, zaś swoje obowiązki wraz ze szczegółową instrukcją przekazałem koledze z Zakładu.

Na pismo to nie otrzymałem z OUG w Poznaniu żadnej odpowiedzi. Nie kierowano też już do mnie więcej żadnych służbowych pretensji. Niemniej, Dyrekcja Instytutu obciąła mi premię o 300 zł, co było wtedy dla młodego pracownika Instytutu znaczną sumą. Obcięto też, jak słyszałem, o 200 zł premię Kierownikowi Zakładu, a także, jak mi później opowiadał Z. Werner, zabrano coś z premii dyrektorowi E. Wutcenowi. Wyglądało na to, że dyrekcja Instytutu musiała znaleźć kozła ofiarnego, zapewne pod naciskiem Centralnego Urzędu Geologii. Nie miało przy tym żadnego znaczenia, że podczas erupcji gazu na otworze obydwaj ze Zbigniewem Wernerem byliśmy na oficjalnie udzielonych nam urlopach i że mieliśmy służbowo wyznaczonych zastępców.

Wiadomość o moich „zaniedbaniach w obowiązkach” rozeszła się po Instytucie, przynajmniej wśród Dyrekcji. Wywnioskowałem to w oparciu o następujący incydent. W którymś momencie, gdy byłem w jakiejś sprawie w sekretariacie dyrektora Wutcena, ze swego gabinetu, znajdującego się *vis-à-vis* wutcenowego, wyszedł dyrektor administracyjny, Olgierd Brzozowski. Dowiedziawszy się kim jestem powiedział: „A, pan Podemski? Słyszałem,

słyszałem!". Wzburzyło mnie to. Spojrzałem więc nieco ku górze na Brzozowskiego (był to wysoki mężczyzna, miał na pewno z 1.90 m) i odpowiedziałem, (przyznając, że bezczelnie, jak na młodego pracownika): „*Pan dyrektor Brzozowski? A słyszałem, słyszałem!*”. To dopiero nieco go speszyło, przyznając jednak, że nie miało dla mnie żadnych dalszych konsekwencji.

Wracając do sytuacji na otworze Otyń IG-1, pod koniec czerwca 1964 r. wywołano w nim produkcję gazu ziemnego. Na początku lipca Grupa Pomiarowa Przedsiębiorstwa Państwowego Kopalnictwo Naftowe w Krośnie wykonała pomiary potencjalnej produkcji otworu, określając wielkość dopuszczalnego poboru gazu na 36,5 Nm³/min. W lipcu Instytut Geologiczny i CUG wystąpiły do Zjednoczenia Przemysłu Naftowego oraz do Ministerstwa Górnictwa i Energetyki o przejęcie otworu do eksploatacji. Instytucje te uzależniły jednak przejęcie otworu od przeprowadzenia pomiarów zasobów złoża i ich wyników. W związku z tym Instytut zlecił PPKN w Krośnie wykonanie takich pomiarów. Zostały one wykonane w połowie listopada 1964 r. metodą spadku ciśnienia. Na tej podstawie określono zasoby złoża w Otyniu na około 152 miliony Nm³. Ponieważ jednak po wydobyciu w trakcie pomiarów 260 tysięcy Nm³ gazu uzyskano stosunkowo mały spadek ciśnienia, wyliczoną wielkość zasobów uznano jedynie za przybliżoną.

Ja tymczasem przygotowywałem dokumentację geologiczną złoża gazu ziemnego w Otyniu. W końcu do zamknięcia tej dokumentacji pozostał mi rozdział omawiający złożę, w tym jego pozycję geologiczno-strukturalną, rodzaj i jakość gazu oraz jego zasoby, geologiczne możliwości wydobycia kopaliny oraz stosunki wodne. Byłem przekonany, że rozdział ten opracuje któryś ze specjalistów Zakładu Geologii Złóż Ropy i Gazu IG. Kiedy jednak pozostała część dokumentacji była już gotowa i nikt nie zgłosił się do opracowywania rozdziału złożowego, sam podsumowałem zebrane materiały analityczne, napisałem brakujący rozdział i podpisałem dokumentację.

Notatkę weryfikacyjną do dokumentacji napisał mgr inż. Zbigniew Werner, który podpisał również dokumentację jako kierownik Zakładu. Dokumentację tę podpisali także: Zastępca Dyrektora Instytutu, doc. mgr inż. Eugeniusz Wutcen oraz Dyrektor Instytutu Geologicznego, prof. dr Edward Rühle, który w końcu grudnia 1964 r. przedłożył ją Komisji Zasobów Kopaliny CUG. Do zatwierdzenia w kategorii C₁ przedstawiono zasoby o wielkości 151 mln Nm³ gazu ziemnego oraz 19.300 ton gazoliny.

jednak w te niuanse i Prezes CUG, mgr inż. Mieczysław Mrozowski, podpisał decyzję zatwierdzającą dokumentację geologiczną złoża gazu ziemnego „Otyń” zgodnie z przedłożeniem Instytutu. Zaokrąglono tylko zasoby gazu ziemnego do 150 mln Nm³.

Wiele lat później Marcin Piwocki, starszy o kilka lat kolega ze studiów, pracujący w Zakładzie Złóż Węgla Brunatnego IG, opowiadał mi, jak to z Darkiem Osijukiem, innym naszym kolegą, śmiali się, że Maciek, jako młody pracownik Instytutu, nie wiedząc, że Instytut nie opracowuje dokumentacji geologicznych złóż bituminów, opracował taką dokumentację i ją zatwierdził w KZK CUG.

Gaz ziemny z otworu Otyń IG-1, wraz z gazem z otworu Nowa Sól 6, Przemysł Naftowy przesyłał przez kilkanaście lat (aż do wyczerpania zasobów) do Zielonej Góry. Dzięki temu, w Zielonej Górze zrezygnowano z budowy nowej koksowni.

Po powrocie w 1981 r. z Zambii, a więc kilkanaście lat później, dowiedziałem się od dr Leszka Bojarskiego, monitorującego w Instytucie produkcję ropy naftowej i gazu ziemnego w Polsce, że z otworu Otyń IG-1 wydobyto ponad 40 mln Nm³ gazu. Następnie pojawił się kondensat gazowy (gazolina), którego do tamtej pory wydobyto około 15 tysięcy ton. Nowszych danych, niestety, nie posiadam. W każdym razie wygląda na to, że mój koreferent, dr Olewicz, lepiej określił zasoby złoża gazu w Otyniu niż ekipa pomiarowa z Krosna.

Tak rozpoczęła się moja długa, bo ponad czterdziestoletnia, praca w (Państwowym) Instytucie Geologicznym w Warszawie.

***MACIEJ PODEMSKI**

Urodzony w 1939 r. w Margoninie, pow. Chodzież. Absolwent Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego (1962). Doktor nauk przyrodniczych (1968). Specjalista w zakresie geologii złożowej. Pracownik (Państwowego) Instytutu Geologicznego w latach 1961-2006. W latach 1974-1981 delegowany do pracy w Zambii. W latach 1981-1989 kierownik Zakładu Geologii Złóż Rud Metali IG; w latach 1990-2000 Zastępca Dyrektora Państwowego Instytutu Geologicznego. Od 2008 r. Prezes Stowarzyszenia Emerytowanych Pracowników Państwowego Instytutu Geologicznego.

Marian Stępniewski*

MOJA NIEPROSTA DROGA DO GEOLOGII (1960-2001)

Bywa, że wybór zawodu jest związany z tradycją rodzinną, jak u mojego kuzyna Janka W., doskonałego adwokata, którego ojciec był sędzią. Także jego dwie córki ukończyły studia prawnicze. A jest wiele prawdopodobne, że i dzieci córek pójdą tą samą drogą. Wielu moich kolegów, przyjaciół z okresu studiów i z późniejszej działalności zawodowej wspominało, że swój zawód wymarzyli sobie całkowicie samodzielnie już w latach szkolnych i że te dziecięce plany szczęśliwie zrealizowali.

Przyjaciele, z którymi przez wiele lat pracowałem w Instytucie Geologicznym: Józek Lis (1934-2009, dr nauk przyrodniczych, specjalista geochemii surowców mineralnych oraz geochemii środowiska przyrodniczego) i Hubert Sylwestrzak (1933-2009, dr nauk przyrodniczych, specjalista geochemii i mineralogii złóż surowców mineralnych), autorzy wielu cennych prac naukowych, badacze Afryki, wielokrotnie wspominali, że na ich zainteresowania i wybór zawodu miało wpływ środowisko, w którym wyrastali i które od wczesnych lat dawało im możliwość poznawania uroków przyrody nieożywionej.

Historia wyboru zawodu w moim przypadku, jakkolwiek szczęśliwie zakończona, taka prosta od początku nie była. Po części zdecydował zwykły przypadek, ślepy los, po części w ostatecznym wyborze profesji pomogła mi polityka.

Do pierwszej deklaracji w sprawie mojej zawodowej przyszłości zostałem przymuszony w klasie siódmej, kiedy wychowawczyni, pani Janina Ropek, zadała wypracowanie domowe: „*Co chciałbyś robić, kiedy dorosisz?*”. Mieszkałem wtedy na stacji w Wierzbniku, wchłonięm kilkanaście lat później przez przemysłowe, rozbudowujące się Starachowice, w drewnianym, zbudowanym ze starych podkładów kolejowym domku stojącym tuż obok torów. Przejeżdżające pociągi były źródłem rozrywki grupy rówieśników, z którymi się kolegowałem. Kładliśmy na szyny monety, kapiszony i proch. Odważniejsi wskakiwali na wagony i zrzucali bryły węgla, który wówczas był bardzo poszukiwanym towarem i łatwo go było wymienić na lody i cukierki. Nic zatem dziwnego, że przebywając w takim kolejarskim świecie, jako najatrakcyjniejszy wybrałem zawód maszynisty kole-

jowego. W wypracowaniu uzasadniłem to przyjemnością kierowania wielką maszyną, przewożeniem ludzi i towarów, możliwością podróżowania za darmo po świecie, zwiedzania coraz to nowych miejsc itp. Myślę, że pani Ropak była trochę zawiedziona, bo oczekiwała ambitniejszych marzeń swojego ucznia, choćby chęci zostania lotnikiem, czy marynarzem.

Zbierając zrzucane przez kolegów z wagonów bryły węgla zwróciłem uwagę, że na niektórych widoczne są jakieś odciski roślin. Bardzo mnie to zaciekało. Rozmawialiśmy o tym później na lekcji przyrody. Nie mogłem uwierzyć, że czarny węgiel powstał dawno temu z bujnego kiedyś zielonego lasu. Intrygowała mnie też czynna jeszcze wtedy kopalnia na Majówce, z licznymi wokół czerwonymi gliniastymi hałdami oraz dominujący w krajobrazie Starachowic wielki piec z olbrzymią górą szlaki, szklistej substancji pozostającej po wytopie metalu. W płynnej postaci, jeszcze przed zastygnięciem, wywożona była szlaka wąskotorową kolejką w wielkich kadziach na górę i wylewana, a czerwone jęzory ściekały ku dołowi, jak lawa z krateru wulkanu i nocą rozświetlały wielką łuną niebo nad miastem. Teraz wielki piec funkcjonuje jedynie jako muzeum, szlakowisko zarosło krzakami, a częściowo zostało zabudowane. Zarosły też pokopalniane pagórki hałd i niewielu już pamięta, że była tu kiedyś kopalnia.

W latach 1947-1951 w Starachowicach uczęszczałem do szkoły średniej i w maju 1951 r. otrzymałem świadectwo dojrzałości. Miałem wówczas 15 lat i byłem najmłodszym maturzystą w dziejach szkoły. Wiele zawdzięczałem prof. Helenie Stawarskiej, polonistce, która co prawda nie potrafiła zmusić mnie do przeczytania trylogii w oryginale, ale przekazała naprawdę dobre podstawy językowe nie tylko mnie, ale także wielu pokoleniom uczniów tej szkoły. Dzięki prof. Janowi Gmytrasiewiczowi, matematykowi, bez trudu zdałem egzamin na Politechnikę, a na studiach uniwersyteckich nie miałem najmniejszych problemów z trygonometrią, z geometrią wykreślną, wreszcie z wymagającą wyobraźni przestrzennej - krytalografią.

W mojej klasie było kilku aktywistów ZMP-owskich, w tym Janusz F., rodzinnie powiązany z najważniejszym wówczas Urzędem, w którym była zapewne teczka mojego ojca, mającego w tym czasie poważne kłopoty, wynikające z działalności podczas okupacji w niewłaściwych formacjach (najpierw ZWZ, potem B.Ch., pseud. „Młot”). Ojca poważnie obciążał też przedwojenny nauczycielski epizod kresowy, a po wojnie nawet fakt, że w 1947 r., współorganizował z ks. Szczęsnym wakacyjne kolonie w Rabce dla dzieci z Wierzbnika.



Grupa maturzystów z wychowawczynią prof. Pauliną Cywińską przed budynkiem Liceum i Gimnazjum im. T. Kościuszki w Starachowicach; kwiecień 1951 r. Pierwszy z lewej - autor, trzeci - Leszek Kawczyński, późniejszy długoletni dyrektor Fabryki Autobusów w Sanoku, czwarty - Zbigniew Podpora, ceniony lekarz - pulmonolog, od lat w Dziemianach na Pomorzu.

Tuż przed maturą otrzymałem zarzut „antysocjalistycznej postawy”, co było równoznaczne z zamknięciem drogi na studia. W opinii ze szkoły, do której poufnie dotarliśmy w Kuratorium w Kielcach, napisano wprost, że jako wrogi element z klerykalnej rodziny nie zasługuję na rekomendację o przyjęcie na studia. Prof. Gmytrasiewicz dodał mi otuchy ulubionym jego powiedzonkiem: „Do krasa bimbasa, nadajesz się na studia techniczne, próbuj”. Złożyłem papiery na Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej. Przy pierwszym podejściu nie zostałem dopuszczony do egzaminu wstępnego. Po odwołaniach zostałem dopuszczony, ale mimo bardzo dobrze zdanego egzaminu nie byłem przyjęty ani na Wydział Mechaniczny, ani na Wydział Mechanizacji Rolnictwa, z powodu „braku miejsc”, chociaż na tym drugim dramatycznie wówczas brakowało kandydatów. Zrezygnowany wróciłem do Starachowic i zacząłem rozglądać się za pracą.

W przypadkowej rozmowie, od pani P., która pracowała w Warszawie i odwiedzała w Starachowicach rodziców, dowiedziałem się, że na Uniwersytecie Warszawskim poszukują młodego człowieka na stanowisko laboranta. Szybko zrozumiałem, że może to być dla mnie szansa, możliwość zerwania z nieprzychylnym środowiskiem i postanowiłem, przy wsparciu ro-

dziców, rozpocząć starania. Odszukałem ul. Pasteura na Ochocie i zgłosiłem się do prof. Ludwika Chrobaka (1896-1982), który przeprowadzał się właśnie z Wrocławia i organizował na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Katedrę Krystalografii. Profesor pochodził z Krakowa, przed wojną kierował Zakładem Krystalografii na Uniwersytecie we Lwowie, objętym po prof. Zygmuncie Weybergu, a po zakończeniu działań wojennych wykładał we Wrocławiu i w Szczecinie.

Profesor przeprowadził ze mną rozmowę, wypytał o zainteresowania, zdolności manualne. Poparła mnie pani P., która pozostawała z profesorem w bliskich relacjach i otrzymałem propozycję zatrudnienia od listopada 1951 r. Wcześniej musiałem dostarczyć pisemną zgodę rodziców, byłem przecież niepełnoletni i z dniem 1 listopada 1951 r. objąłem „obowiązki laboranta w Zakładzie Krystalografii na Wydziale Mat.- Fiz. - Chem., z uposażeniem według grupy ósmej, naukowo-technicznej”.

Praca była urozmaicona. Profesor chętnie zatrudniał mnie do pomocy przy konstruowaniu aparatury wykorzystywanej do badań i nauki studentów, dopuszczał do coraz bardziej skomplikowanych czynności przy urządzeniach wymagających wysokich próżni i zasilania napięciem rzędu kilkudziesięciu tysięcy volt. Porządkowałem bibliotekę, pisałem na maszynie, zajmowałem się zaopatrzeniem. Dużo się wtedy nauczyłem. Równocześnie myślałem o studiach i w wolnych chwilach przygotowywałem do powtórnego egzaminu na Politechnikę.

Prof. Ludwik Chrobak był wybitnym naukowcem w bardzo ważnych dla nowoczesnych technologii dziedzinach: krystalografii i rentgenografii, a równocześnie świetnym dydaktykiem i utalentowanym konstruktorem oraz wysokiej klasy mechanikiem precyzyjnym. Nieprzeciętne umiejętności techniczne zdobył wychowując się w specyficznej atmosferze tradycyjnej uczelni (był synem woźnego uniwersyteckiego) i asystując w warsztacie mechanicznym pana Calikowskiego (ojca Jana Calikowskiego, który do końca lat 1970. pracował w Instytucie Geologicznym w Warszawie). W warsztacie Calikowskiego seniora na Uniwersytecie Jagiellońskim powstało wiele urządzeń, które uczestniczyły w eksperymentach słynnych uczonych (m.in. prof. Olszewskiego).

Nie dysponując środkami na zakup niezbędnej w rentgenografii specjalistycznej aparatury, prof. Chrobak konstruował ją sam. W ten sposób powstała słynna lampa rentgenowska z nogi od zabytkowego łóżka, dzięki której wyszkoliło się wiele pokoleń polskich specjalistów w dziedzinie rent-

genografii. Ale tylko profesor i jego najbliżsi współpracownicy wiedzieli ile trudu kosztowało utrzymanie jej w stanie użyteczności.

Kiedyś profesor zauważył, że rozwiązuję zadania z fizyki. Zapytał, czy nadal zamierzam zdawać na Politechnikę; przysiadł i zaczął delikatnie odradzać studia techniczne. Potem kilkakrotnie wracał do tematu; mówił o znacznie ciekawszych studiach przyrodniczych, wreszcie zaczął mnie namawiać do zainteresowania się naukami o Ziemi, szczególnie piękną, jego zdaniem, mineralogią.

Przemyślałem to, co mi profesor zasugerował, sięgnąłem po małą książeczkę, którą kupiłem jeszcze przed maturą: „*Geologia z początkami mineralogii*” autorstwa Jana Samsonowicza i dokładnie ją przestudiowałem. Wróciłem pamięcią do lekcji prowadzonych przez panią prof. Kazimierę Monetę, która uczyła nas w liceum chemii i geologii, a z tego przedmiotu na świadectwie maturalnym miałem ocenę bardzo dobrą.

Zamiast fizyki zacząłem powtarzać chemię, z której egzamin obowiązywał na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi (Wydział Geologii powstał dopiero kilka miesięcy później), zapisałem się do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Kiedy nadeszła pora składania dokumentów profesor wystawił mi doskonałą opinię, w której było zdanie, że „w pełni zasługuje na przyjęcie na studia”; podpisał ją ówczesny przewodniczący ZZNP na UW, prof. Leśnodorski. Egzamin wstępny zdałem bardzo dobrze. Pamiętam pytanie z chemii zadane mi przez młodego asystenta, Karola Bielikowskiego; dotyczyło związków amfoterycznych, dostałem piątkę. W ten sposób z dniem 1 października 1952 r. zostałem studentem Uniwersytetu Warszawskiego, kierunek „mineralogia i geochemia”. Jeszcze przez wiele miesięcy drżałem na myśl, że wyjdzie na jaw starachowicka „prawda” o moim „antysocjalistycznym obliczu” i wyrzucą mnie z hukiem z uczelni, ale na szczęście nie wyszła, a mnie udało się pomyślnie i w terminie studia ukończyć.

Czas studiów wspominam dobrze; nie żałowałem ani przez moment zmiany kierunku zainteresowań, za co wdzięczny jestem profesorowi Chrobakowi. Zachowałem także w pamięci bardzo ciepłe wspomnienia o nauczycielach akademickich z czasu studiów. Niezwykle interesujące były wykłady prof. Jerzego Pniewskiego w wielkiej auli Instytutu Fizyki przy ul. Hożej w Warszawie, urozmaicane przez asystentów efektownymi doświadczeniami. Niezapomniane pozostaną kontakty z prof. Janem Samsonowiczem, Edwardem Passendorferem, Kazimierzem Smulikowskim i innymi.

Podczas studiów zacząłem uprawiać narciarstwo. Narciarstwo stało się na ponad 50 następnych lat moją ulubioną coroczną rozrywką i najlepszym relaksem zimowym. Zaliczyłem większość tatrzańskich tras po polskiej i słowackiej stronie, a także trasy beskidzkie w okolicach Szczyrku i Wisły oraz trasy we włoskich Dolomitach. Towarzyszem moich wypraw przez kilkanaście lat był Sławek Smoleński, ale najdłużej - bo blisko 40 lat - Staszek Przeniosło, z którym niespełna rok przed jego śmiercią szusowaliśmy jeszcze w Słowacji.

Z sentymentem wspominam pierwsze na studiach wycieczki geologiczne: do Łukowa po amonity, do Dobrzynia po kryształy kwarcu, a później kursy wakacyjne w Chęcinach, Krzeszowicach, Kirach, wreszcie praktyki w zakładach produkcyjnych, kopalniach. Często wykorzystywaliśmy wtedy akcesoria z niezbędnika geologa składającego się z 53 przedmiotów (talia kart do brydża plus korkociąg: 52+1).

Po drugim roku odbywałem praktykę w kopalni „Lena” w Wilkowie koło Złotoryi, w której pracowali więźniowie z długoletnimi wyrokami. Przestrzegano nas, żeby się z nimi pod ziemią nie kontaktować. Bywają agresywni, niebezpieczni. Podczas wędrówki po wyrobiskach zagadnął mnie jeden z więźniów. Twarz wydała mi się skądś znajoma, zatrzymałem się, zaczęliśmy rozmawiać, spytał mnie skąd jestem, odpowiedziałem, że ze Starachowic, ożywił się: „Ja też”. Zrobiło mi się gorąco, poznałem go, bo jego fotografie publikowały gazety; kilka lat wcześniej zabił żonę żelazkiem, sprawa była bardzo głośna.

Studia ukończyłem ze średnim wynikiem powyżej „4”. Jedyłą wpadką był egzamin z przedmiotu o nazwie „marksizm-leninizm” po drugim roku. Pani Edyta Blass, która wykładała ten ważny w owym czasie przedmiot, zadała mi pytanie o wypaczenia w rolnictwie, którymi zajmował się któryś kolejny Zjazd WKPb. Tematu nie znałem za dobrze, próbowałem się ratować głośnymi wtedy wypaczeniami na naszym polskim podwórku, chyba w Gryficach, ale nie spodobało się to egzaminatorce tak bardzo, że do wpisanej już w indeksie oceny „dst” dopisała „nie” i życzliwie poradziła, bym w czasie wakacji solidnie popracował, bo konsekwencje mogą być dla mnie bardzo niedobre. A trzeba pamiętać, że były to lata 1950-te, apogeum ideologicznego horroru i pogróżki mogły nie być gołosłowne. Wakacje miałem zepsute, ale na poprawkowym egzaminie dostałem „4”.

Na 4-ym roku studiów otrzymałem propozycję asystentury w Katedrze Krystalografii na Wydziale Chemii UW, początkowo na pół etatu. Z radością przyjąłem propozycję; wróciłem do znanego mi miejsca, w którym pra-

cowałem kilka lat wcześniej. Teraz byłem bardziej przydatny; nie tylko pomagałem profesorowi w różnych pracach technicznych, ale prowadziłem też zajęcia dydaktyczne z krystalografii, krystalochemii i rentgenografii. Dla wielu studentów, zwłaszcza pozbawionych wyobraźni przestrzennej, sporządzenie projekcji stereograficznej kryształu, czy rozpoznanie postaci krystalograficznych było bardzo trudne, więc studenci radzili sobie w ten sposób, że trudniejsze formy drewniane, tzw. michałki, po prostu ginęły. Asystenci musieli zdrowo się gimnastykować, bo profesor co jakiś czas michałki liczył.

Prof. Chrobak wspólnie z prof. Antonim Polańskim ustalili temat mojej geochemicznej pracy magisterskiej. Prof. Polański zaproponował materiał badawczy: amfibolity i serpentyny z okolic Dzierżoniowa, prof. Chrobak narzędzie badawcze: spektrograf rentgenowski jego konstrukcji, na którym miałem ilościowo oznaczyć pierwiastki chemiczne grupy żelaza. W owym czasie było to chyba jedyne w Polsce urządzenie do tego typu badań, a moja praca zapewne pierwszym w polskiej geologii zastosowaniem spektrometrii rentgenowskiej jako narzędzia analitycznego. Dopiero jakiś czas później Fabryka Akumulatorów w Poznaniu zakupiła spektrometr firmy Philips, a następnie Instytut Metalurgii Żelaza w Gliwicach spektrometr RigakuDenki.

Lata po ukończeniu studiów były beztroskie, miałem pracę w Warszawie, niewielkie, ale stałe dochody, mieszkanie początkowo w Domu Akademickim przy ul. Anielewicza, a później w Osiedlu „Przyjaźń” na Jelonkach. Za namową kolegów zapisałem się do Nauczycielskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Oświata”, w której wiceprezesował Włodek Kowalski, asystent na Wydziale Geologii, później profesor. Rodzice pomogli zgromadzić niezbędny wkład i w ciągu roku otrzymałem kawalerkę przy ul. Radnej na Powiślu. Kupiłem pierwszy mebel: solidny tapczan i na raty radio „Stolica”, a Janek Sz., architekt, zaprojektował i polecił mi kowala w Wawrze, który zespawał z prętów zbrojeniowych stelaże dwóch fotelików, a ja wyplotłem je pofarbowanym na czerwono sznurkiem. Pełniły swoją funkcję bardzo dobrze przez wiele lat, później na działce, chociaż moi goście, szczególnie panie, żalili się czasem, że nie są zbyt wygodne.

Lubiłem pracę na Uniwersytecie. Zajęcia ze studentami sprawiały mi dużą satysfakcję, coraz bardziej ceniłem decyzję o zmianie kierunku studiów, coraz większe widziałem możliwości stosowania metod wykorzystujących promieniowanie rentgenowskie w badaniach próbek geologicznych. Utrzymywałem bliskie stosunki towarzyskie z kolegami pracującymi na

Wydziale Geologii, głównie w Katedrze Mineralogii i Geochemii. W tym gronie był Ferdek Szumlas (vide *Przeł. Geolog. vol.59, nr 7*), człowiek niezwykle sympatyczny i towarzyski, którego poznałem kilka lat wcześniej, kiedy organizował Wydział Geologii, a niektóre Zakłady czasowo mieściły się na ul. Pasteura, w tym samym skrzydle i tuż obok Katedry Krystalografii, w której pracowałem. Zaprzyjaźniliśmy się i kilka lat później, kiedy ja byłem już pracownikiem Instytutu Geologicznego, a on pracował w Akrze, zaprosił mnie do siebie i dzięki temu poznałem Ghanę i odbyłem fascynującą podróżę statkami handlowymi: „Szczaźnicą” na trasie Szczecin – Las Palmas – Casablanca – Dakar – Takoradi i powrotną „Krakowem”: Tema – Las Palmas – Antwerpia – Hull - Gdynia.

LATA W INSTYTUCIE GEOLOGICZNYM

Z Instytutem Geologicznym związany byłem nieprzerwanie przez czterdzieści jeden lat, od połowy 1960, do połowy 2001 roku. Niemal przez czterdzieści lat z tego samego pokoju na parterze przybudówki budynku A spoglądałem codziennie na ten sam piękny krzak bzu i z roku na rok na coraz większe drzewko jarzębiny. Niezabudowany skrawek ziemi pomiędzy przybudówką a budynkiem B był jeszcze w latach 60. użytkowany przez pracowników jako przydomowy ogródek; rosły tam więc dorodne pomidory, kapusta i marchew. O zaradności gospodarzy świadczył fakt, że jeszcze w tym czasie o ścianę budynku B oparta była niewielka szklarnia na nowalijki, a wewnątrz, w piwnicy, hodowane były pieczarki. Pomiędzy budynkami A i B rósł też dorodny krzak bzu, posadzony przez prof. Stanisława Hrebńskiego, który przywiózł go z rodzinnej posiadłości na Litwie. Po bzie nie ma już śladu; nie służyło mu miejskie powietrze.

Później teren uporządkowano, posadzono drzewa iglaste, wytyczono alejki. Na początku lat osiemdziesiątych pojawił się nawet projekt, aby zbudować tam korty tenisowe, który na szczęście nie został zrealizowany i dzięki temu Instytut ma tam teraz własny mini-park, miejsce okolicznościowych pikników, a o przeszłości tego zielonego zakątka przypomina tylko kilka dorodnych krzaków pigwy. Rosną tam też dwa okazałe drzewa cedrowe z sadzonek podarowanych kilka lat temu przez doc. Zbigniewa Wernera.

Byłem świadkiem i współuczestnikiem zapisywania kart prawie połowy z ponad dziewięćdziesięcioletniej historii Instytutu Geologicznego. W jego sukcesach i w całym dorobku jest też jakaś częśćka mojego udziału. W

publikacjach, dokumentacjach odkrytych złoŹ i w opracowaniach archiwalnych, pracach doktorskich i habilitacyjnych pracowników s liczne ślady działalności mojej i zespołów ludzkich, z którymi współpracowałem. Przez ponad 30 lat byłem kierownikiem kilkusobowych pracowni, przez ponad osiem lat także blisko 70-osobowego zakładu, więc w szerokim zakresie poznałem problemy merytorycznej działalności, a także niektóre kulisy życia Instytutu. W okresie mojej pracy Instytut był zarządzany przez kolejnych 7 dyrektorów. Wszystkich dobrze wspominam.

Próbuję odnaleźć w pamięci obrazy sprzed lat, wygląd tej części Mokotowa, pierwsze moje kontakty z Instytutem, pierwsze dni i lata pracy. Przypominam sobie okolice Rakowieckiej, Puławskiej, placu Unii Lubelskiej sprzed ponad pół wieku. Tory tramwajowe okrężały plac, na środku był piękny kwiatowy klomb. Wzdłuż ul. Puławskiej kursowała kolejka wąskotorowa do Piaseczna i dalej przez Grójec do Nowego Miasta, którą dojeżdżało do pracy w Instytucie wielu kolegów mieszkających w Iwicznej. Odgałężenie kolejki przez Konstancin i Wilanów docierało aż do ul. Belwederskiej, do miejsca, gdzie dziś stoi elegancki hotel i znajduje się rosyjska ambasada. Korzystałem z tej kolejki, aby w Powsinie zimą pojeździć na nartach, a latem pokapać w basenie, w którym zawsze była bardzo zimna woda.

W drugiej połowie lat 1950-tych na rogu Skolimowskiej rozpoczęto budowę wieżowca dla Instytutu Geologicznego, w którym zamieszkało później wielu kolegów. W miejscu, gdzie stoi teraz ogromna bryła banku znajdowała się zajezdnia tramwajowa, a nieco dalej, przy ulicy funkcjonowały parterowe sklepiki, nie istniało kino „Moskwa”. Po drugiej stronie Puławskiej, tuż za rogiem Rakowieckiej, w kierunku Narbutta, mieścił się zakład fryzjerski p. Wróbla (zakład, już innego właściciela, działa do chwili obecnej), z którego usług korzystał mieszkający w tym domu Melchior Wańkiewicz. Strzygła się tam też cała generalicja z sąsiadujących instytucji wojskowych i profesura z instytutów na Chocimskiej. Nie było jeszcze Supersamu, nie było ulicy Waryńskiego. Na skraju Pola Mokotowskiego, aż do Rakowieckiej i Wiśniowej, czerwieniły się pozostałości budynków I pułku szwoleżerów i dawnego lotniska.

Północną stron Rakowieckiej biegły tory tramwajowe; kursowała m.in. 14-tka z Opaczewskiej, przez Plac Zbawiciela i Marszałkowsk do pętli przy SGGW. Ten wygodny środek lokomocji otrzymali mieszkańcy ul. Rakowieckiej dzięki staraniom kierownictw wyższych uczelni i Państwowego Instytutu Geologicznego. Aleje Niepodległóści były jednopasmow,

peryferyjną ulicą, którą jeździły trolejbusy od Parku Dreszera na Krakowskie Przedmieście (trolejbus nr 55) i do ul. Łazienkowskiej (trolejbus nr 56).

Ze względu na instytucje, które miały tam swoje siedziby, w tym sławne więzienie mokotowskie, władze bezpieczeństwa i wojskowe, nazwa ul. Rakowieckiej budziła i groziła i respekt. Kiedyś na początku lat 1970-tych jechałem starą „Warszawą” w kierunku Kielc i za Szydłowcem zatrzymał mnie milicjant, zapewne z zamiarem wklepienia mandatu za przekroczenie prędkości w miejscu zabudowanym. Pokazałem dokumenty i wówczas milicjant zapytał mnie, gdzie pracuję, a ja zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że w Instytucie na Rakowieckiej. Chyba zrozumiał, że w instytucji na Rakowieckiej, zareagował energicznie, zasalutował i życzył szczęśliwej podróży. Nie zapamiętałbym tego zdarzenia, gdyby nie dokładnie taki sam scenariusz kontroli drogowej, kilkanaście lat później, pod Płońskiem, w drodze na Wybrzeże. I znowu, kiedy zapytany przez funkcjonariusza, chyba już wtedy policji, odpowiedziałem, że pracuję na Rakowieckiej, uśmiechnął się, oddał dokumenty, przeprosił i życzył spokojnej jazdy.

To sąsiedztwo instytucji mających swoje siedziby przy Rakowieckiej było też w różnych okolicznościach odczuwane w Instytucie Geologicznym. Po październikowej „odwilży” w połowie lat pięćdziesiątych, część więzionych odzyskała wolność, zwolniona też została część dozoru, który szukał pracy w pobliżu, bo większość miała w okolicy służbowe mieszkania. W tym czasie do nowo zbudowanego budynku Instytut przyjmował ludzi do pracy. Wówczas, już w innych okolicznościach, dochodziło tam do powtórnego spotkania więzionych i strażników. Doświadczyli takiej bardzo niezręcznej sytuacji w Instytucie m.in. prof. Antoni Łaszkiwicz i inż. Wacław Iwaszkiewicz, którzy po wyjściu z więzienia, gdzie przebywali za działalność w AK, spotkali tutaj zatrudnionych w administracji Instytutu byłych, poznanych za murami, funkcjonariuszy więziennych. Relacje profesora i pana inżyniera, przekazywane zresztą bardzo niechętnie i skąpo tylko zaufanym osobom, były wstrząsające.

W latach osiemdziesiątych ub. wieku czułe laboratoryjne urządzenia pomiarowe w Instytucie rejestrowały częste zakłócenia, które skutecznie uniemożliwiały prace analityczne. Specjaliści sugerowali, że mogą to być fale radiowe z pracujących radiostacji w sąsiadującym z Instytutem Sztabie Generalnym. Podjęte przez dyrekcję Instytutu oficjalne próby ustalenia częstotliwości, z jakich korzystają wojskowi nie powiodły się, ale wzbudziły podejrzenia o intencje ciekawych geologów. Do poważniejszego konfliktu na szczęście nie doszło, ale po jakimś czasie zakłócenia ustały.

Okolice Instytutu były gastronomiczną pustynią. Najbliższa knajpa na rogu Rakowieckiej i Al. Niepodległości była droga i miała złą sławę. Sytuację poprawiło nieco otwarcie w pierwszej połowie lat 1960. Supersamu, a w nim baru samoobsługowego. Dlatego cały czas ważną rolę w życiu instytutowym odgrywały stołówka i bufet, szczególnie w latach 1980., w latach stanu wojennego. W latach 1960. bufet mieścił się na parterze przybudówki „pod zegarem”. Później przeniesiony został do piwnicy, a stołówka zajmowała dużą część parteru budynku B i stołowali się w niej także pracownicy Dzielnicowej Rady Narodowej, dochodzący z drugiej strony ulicy. Starsi pracownicy Instytutu pamiętają zapewne szefów stołówki: panią Halinkę, pana Stanisława i królową bufetu, panią Marysię. Wszyscy starali się żyć z nimi w zgodzie i przyjaźni.

W latach 1952–1957, kiedy byłem studentem nowopowstałego Wydziału Geologii, nie miał on jeszcze własnej siedziby, gościnnie zajmował budynek przy ul. Oboźnej, zajęcia odbywały się od rana do wieczora w kilkunastu miejscach w różnych rejonach miasta. Nie mogliśmy korzystać z jednej stołówki. Bywało biednie, często głodno, skromne stypendium nie zaspakajało elementarnych potrzeb, więc intensywnie poszukiwaliśmy możliwości podreperowania budżetu.

Przed wakacjami w 1953 r., albo w 1954 r., rozniosła się wśród kolegów wieść, że Instytut Geologiczny przy ul. Rakowieckiej zatrudnia studentów do prac terenowych podczas letnich miesięcy. Udałem się tam niezwłocznie, dojechałem na miejsce tramwajem. Wzdłuż ulicy stał już nowy, pachnący świeżością budynek Instytutu o charakterystycznej fasadzie wyróżniającej się pionowymi bruzdami.

Po wejściu do dużego holu zatrzymał mnie umundurowany i uzbrojony wartownik: wypytał, do kogo, po co? Wypisano mi przepustkę i wskazano do kogo mam się udać, ale pierwsze wrażenie najmiłsze nie było. Zostałem skierowany na trzecie piętro do kierownika jednego z Zakładów, którym okazał się pan o ciemnej, bujnej czuprynie i bardzo łagodnym usposobieniu. Odbył ze mną sympatyczną rozmowę, opowiedział o pracach poszukiwawczych, m.in. osadowych złóż miedzi prowadzonych wtedy w rejonie Lubina na Dolnym Śląsku.

Pracy nie otrzymałem, ale dzięki temu spędziłem uroczę wakacje asystując wraz z Jędrkiem Millerem profesorowi Edwardowi Passendorferowi podczas jego wędrówek po Tatrach. Profesor z małżonką i ulubieńcem, psem Astartem, mieszkali w Zakopanem w nowej willi przy ul. Za Strugiem, z pięknym widokiem na Giewont. My, praktykanci, kilkaset metrów

wyżej, w skromnym domku, którego gospodarz nie stronił od gorzałki, a konsumował ją w oryginalny sposób z talerza, łyżką, z kawałkami rozdrobionej bułki, dzięki czemu podobno znacznie zwiększał efektywność działania alkoholu. Nie mieliśmy odwagi, żeby to zweryfikować. W pogodne dni chodziliśmy z profesorem na wycieczki, nie zawsze zadawalając go naszym niezbyt entuzjastycznym zainteresowaniem pokazywanymi nam „cudami boskimi”, jak np. brekcjami w Żlebie Kirkora.

Ale wracając do mojej pierwszej wizyty na Rakowieckiej, po latach odkryłem, że moim sympatycznym rozmówcą w Instytucie Geologicznym, który nie zatrudnił mnie podczas studenckich wakacji, był Jurek Borucki (vide *Przegląd Geologiczny* vol. 56 Nr 8/2). Wiele lat później, po powrocie z kontraktów zagranicznych, pracował w kierowanym przeze mnie Zakładzie Geochemii i Chemii Analitycznej. Przypomniałem sobie o tym, kiedy 1 sierpnia 2008 r. żegnałem Jurka na cmentarzu w Rembertowie.

W styczniu 1956 r. odwiedziłem Instytut Geologiczny po raz drugi; tym razem w zupełnie innym charakterze. Kilku ówczesnych pracowników Instytutu było też wykładowcami na uczelni. Prelekcji dr Jana Czerwińskiego na temat dolomitów słuchałem podczas kursu w Chęcinach po pierwszym roku, później także cyklu jego wykładów z „Geologii złóż” na VII semestrze. Prof. Stanisław Krajewski wykladał nam „Wstęp do geologii” na I i II semestrze, a prof. Kazimierz Guzik „Kartografię geologiczną” na VI semestrze. Prof. Antoni Morawiecki prowadził wykłady dla 4-go roku Mineralogii i Petrografii z „Technologii surowców mineralnych”.

Prof. Morawiecki był człowiekiem bardzo zapracowanym, doradcą rządowym. Liczono się z nim w Komisji Planowania, często wyjeżdżał za granicę. Gabinet profesora w Instytucie, w którym pracował wraz ze swoją asystentką, panią Ewą Domaszewską, był wypełniony po brzegi próbkami, książkami, teczkami dokumentów. W tym gabinecie profesor również egzaminował, ale ustalić termin egzaminu było zawsze bardzo trudno. Po wielu próbach i dzięki pomocy p. Ewy wyznaczono mi termin na 10 stycznia 1956 r. Jedno z pytań egzaminacyjnych dotyczyło piasków cyrkonowych i stosowanych technik analitycznych do kontroli procesu wzbogacania cyrkonu. Problem znałem, bo pracowałem już wtedy jako asystent u prof. Ludwika Chrobaka na Wydziale Chemii UW i analizowałem rentgenospektralnie równocześnie cyrkon i hafn. Ze względu na bardzo silne powinowactwo chemiczne pierwiastki te są bardzo trudne do oznaczenia obok siebie tradycyjnymi metodami, ale rentgenospektralnie można to zrobić z łatwością.

Wiedzę na ten temat wykorzystałem odpowiadając obszernie na pytanie profesora; dzięki temu dostałem „5”.

Studia ukończyłem w czerwcu 1957 r. Od ponad roku pracowałem już w Katedrze Krystalografii. Wiedziałem, że największym problemem w analizie chemicznej i fazowej, badaniach struktur kryształów, jest brak aparatury pomiarowej, a metody rentgenowskie stwarzają bez porównania większe możliwości niż metody tradycyjne, które poznaliśmy w czasie studiów.

Prof. Chrobak poradził sobie z tym problemem, bo był świetnym konstruktorem, mistrzowskim mechanikiem i prawie całe aparaturowe wyposażenie kierowanej przez niego Katedry Krystalografii było jego dziełem. Wszystkie skonstruowane przez profesora urządzenia do rejestrowania efektu dyfrakcji promieni rentgenowskich, czy analizowania widma rentgenowskiego, miały bardzo prostą konstrukcję, a wyniki zapisywane były na kliszach fotograficznych, które trzeba było wywoływać, a następnie interpretować na podstawie położenia i intensywności zaczerńnienia prążków.

Znane firmy, np.: niemiecki Siemens, holenderski Philips, czy japońskie Rigaku produkowały już wówczas nowoczesne dyfraktometry i spektrometry, ale były one nieosiągalne dla polskich użytkowników ze względu na cenę. Przedstawiciele tych firm odwiedzali profesora, podziwiali jego dzieła, zostawiali wizytówki, ale na tym zazwyczaj kontakty się kończyły.

Pod koniec lat 1950-tych Polska eksportowała do Japonii duże ilości węgla i dzięki temu miała z tym krajem dodatni bilans handlowy. W połączeniu z pewnym odprężeniem politycznym zaistniała wówczas możliwość przeznaczenia niewielkich środków dewizowych na zakupy aparatury dla placówek naukowych za pośrednictwem CHZ „Varimex” i pierwsze zakupy zostały sfinalizowane przez instytuty przemysłowe na Śląsku.

Na początku 1960 r. za pośrednictwem Ferdynanda Szumlasa dotarła do mnie wiadomość, że Instytut Geologiczny CUG zamierza modernizować swoje zaplecze laboratoryjne, m.in. utworzyć nową komórkę organizacyjną, w ramach której prowadzone byłyby w szerokim zakresie także badania rentgenowskie. Skontaktowałem się z zastępcą dyrektora, dr Janem Czermińskim, który umówił mnie na rozmowę z dyrektorem Instytutu, prof. Edwardem Rühle. Sądziłem, że będzie to formalne, najwyżej kilkunastominutowe spotkanie, ale na wszelki wypadek przygotowałem się solidnie. Rozmowa trwała ponad 2 godziny, była niezwykle miła i urozmaicona, dotyczyła bardzo wielu tematów. Kiedy dyrektor zauważył w moim życiorysie, że urodziłem się w Kowlu, podjął tematykę swoich badań geologicznych na Wołyniu. Kiedy wspomniałem o stryju, współpracowniku o. Kolbe,

byłym misjonarzu, który przeżył wybuch bomby atomowej w Nagasaki przebywając 6 km od epicentrum wybuchu, rozwinął temat relacji J. Piłsudskiego z Japonią.

Profesor Rühle uzmysłowił mi ogrom zadań i szans stojących przed polską geologią, zwrócił uwagę na nadarzającą się być może niepowtarzalną szansę pełnego rozpoznania budowy geologicznej Polski. Podkreślił, że niezbędne są do tego zupełnie nowe narzędzia badawcze, którymi Instytut Geologiczny nie dysponował. Profesor rozumiał rolę metod fizycznych, w tym i rentgenowskich, w badaniach geologicznych i na zakończenie rozmowy zaproponował mi pracę w Instytucie Geologicznym. Moim zadaniem miało być stworzenie od podstaw komórki organizacyjnej zajmującej się wykorzystaniem promieniowania rentgenowskiego w badaniach próbek geologicznych. Zapytał mnie ile zarabiam na uczelni (1500 zł!) i zapewnił, że w Instytucie nie otrzymam mniej.

Przyjąłem propozycję, bo miałem także inne powody do zmiany dotychczasowego miejsca pracy. W Katedrze na Wydziale Chemii, w której pracowałem, wytworzyła się bardzo konfliktowa sytuacja z pracownikami i musiałbym się opowiedzieć za jedną ze stron, a chciałem być lojalny w stosunku do profesora, którego bardzo ceniłem i któremu wiele zawdzięczałem. Zdecydowałem się więc na odejście z Uniwersytetu i z dniem 1 lipca 1960 r. podjąłem pracę w Instytucie Geologicznym.

Wskazano mi pokój (chyba nr 163) na I piętrze budynku B, dokładnie nad kuchnią stołówek, gdzie stały 3 biurka z półkami nadbudówkami na podręczne książki, wykonanymi przez instytutowych stolarzy. Przy jednym z tych biurk rozpoczęłem „urzędowanie”, które trwało ponad 40 lat. Instytut miał wówczas bardzo dobrze wyposażone, bogate zaplecze warsztatowe: zakład naprawy samochodów, stolarnię, warsztat elektryczny i mechaniczny i bardzo dobrych fachowców. W budynku B mieszkało kilka rodzin, m.in. stolarz p. Maszke miał swój pokój z kuchnią na parterze, dokładnie tam, gdzie teraz jest portiernia. Pan Maszke nie tylko naprawiał meble, ale i robił nowe; jego dziełem był okazały kiosk na parterze budynku A, w którym przez kilkadziesiąt lat zaopatrywali się pracownicy w prasę, papierosy i inne drobiazgi.

Praca w Instytucie różniła się od pracy na uczelni. Była bardziej urozmaicona, ale brakowało mi dydaktyki, którą bardzo lubiłem. Również niedostateczne wyposażenie w aparaturę skutecznie ograniczało wykorzystanie moich umiejętności. Rozpocząłem starania zmierzające do zmiany sytuacji i pierwszym krokiem było sprowadzenie do Warszawy niewyko-

rzystywanego ze względów obiektywnych w Oddziale Górnośląskim, przestarzałego, dość prymitywnego aparatu rentgenowskiego VEM-TUR, produkowanego w NRD. Na mój wniosek aparat ten został wypożyczony do czasu zakończenia budowy nowej siedziby Oddziału Górnośląskiego w Sosnowcu i przetransportowany z Czeladzi, gdzie był w skrzyniach magazynowany. Własnoręcznie go zmontowałem i uruchomiłem, a po skompletowaniu niezbędnego oprzyrządowania, zakupie odczynników i błon fotograficznych wykonaliśmy pierwsze tzw. zdjęcia proszkowe.

Jednak ciągle przemyślałem o aparaturze z prawdziwego zdarzenia. O aparaturze produkowanej przez japońską firmę RigakuDenki miałem dość dokładną wiedzę, bo dyrektora tej firmy, dr Yoshichiro Shimurę, poznałem jeszcze pracując na uczelni. Zbieg okoliczności sprawił, że najbardziej realnie wydało mi się podjęcie starań o zakup aparatu właśnie tej firmy.

Tak się złożyło, że w Tokio mieszkał rodzony brat mojego ojca, czyli mój stryj, były misjonarz i współpracownik o. Kolbe. Napisałem do niego list, w którym szczegółowo przedstawiłem mu problem. Stryj udał się do siedziby firmy RigakuDenki w Tokio i zreferował sprawę. Musiał być bardzo przekonujący, bo firma przygotowała nadzwyczaj korzystną ofertę, w granicach skromnego limitu dewizowego przewidzianego w budżecie Instytutu na zakup aparatury.

Niezależnie od tego, firma zagwarantowała przeszkolenie jednej osoby w zakresie montażu i użytkowania sprzętu w fabryce w Haijima pod Tokio. A trzeba pamiętać, że wówczas nie było w Polsce żadnej możliwości obsługi serwisowej, montażu, przeszkolenia personelu na miejscu. Koszty wszystkich tych czynności, w przypadku sprowadzenia fabrycznych specjalistów, np. z Japonii, były porównywalne z kosztami zakupu samej aparatury. Stryj wypisał mi odpowiednie zaproszenie, które poświadczył w Polskiej Ambasadzie w Tokio, pod warunkiem, że ja pokryję koszt przejazdu, bo jego nie było na to stać, natomiast dla mnie okazało się to wówczas realne. W 1961 r. uruchomiona bowiem została linia żeglugaowa pomiędzy Nachodką, mało znanym wówczas nowym portem, kilkaset km na NE od Władywostoku i Jokohamą, przez cieśninę Tsuguru. Sprawdziłem, że bilet lotniczy z Warszawy do Władywostoku kosztuje około 130 rubli, bilet na statek do Jokohamy w I klasie 67 rubli i 50 kopiejek (dokładnie!). Po przeliczeniu według oficjalnego kursu były to kwoty naprawdę niewielkie.

Dyrekcja Instytutu popierała moje starania, ale cały koszt wyjazdu zobowiązałem się pokryć sam, z własnych środków. Nie przewidział jednak stryj, że władza ludowa jest pamiętliwa, a on przed wojną w Niepokalano-

wie redagował dział „Iskierki” w „Rykerzu Niepokalanej”. Tak długo, jak stryj był w Japonii, nie mogłem otrzymać paszportu. Dopiero, kiedy wyemigrował do Australii w końcu 1961 r. sprawa ponownie nabrała rumieńców.



Stryj Stefan Stępniewski (imię zakonne br. Alfons) przed wyjazdem na misję do Japonii był w Niepokalanowie sekretarzem redakcji "Małego Dziennika".

Nowe zaproszenie, tym razem wystosowane przez firmę Rigaku, zapewniało mi 30-dniowy pobyt i pełne utrzymanie oraz przejazdy na obszarze Japonii, w tym szkolenie w fabryce i stworzenie możliwości nawiązania kontaktów ze specjalistami geologami, mineralogami użytkującymi aparaturę rentgenowską produkowaną przez firmę.

Bilet lotniczy do Władystoku kupiłem bez trudu za złotówki. Statek pasażerski („Grigorij Ordżonikidze”, o wyporności 4760 t) kursował 12 razy w roku, od maja do października. Chciałem zdążyć na rejs 15 maja z

Nachodki, oddalonej od Władywostoku około 200 km, a od Chabarowska prawie 1000 km.

11 maja, z duszą na ramieniu, wystartowałem z Okęcia i z przygodami, bo we Władywostoku, mieście zamkniętym dla obcokrajowców, gdzie doleciałem przez pomyłkę obsługi lotniska w Chabarowsku, miałem poważne kłopoty. Pod strażą dowieziono mnie do Nachodki i dopilnowano, bym wsiadł na statek. Mimo sztormu na Morzu Japońskim, 17 maja dopłynąłem w dobrej formie do portu w Jokohamie, gdzie oczekiwali na mnie przedstawiciele firmy.



Budowa portu w Nachodce (fotografia wykonana z ukrycia), 1962 r.

Moim przełożonym i instruktorem był fizyk, Heihachiro Funabiki, pod okiem którego musiałem w fabryce RigakuDenki, w podtokijskiej dzielnicy Haijima, zmontować z części wyspecyfikowanych na zamówienie Instytutu i uruchomić później dyfraktometr Geigerflex w Warszawie. Dzięki rozległej wiedzy pana Funabiki i jego nadzwyczajnej życzliwości wiele się nauczyłem i po powrocie bez trudu wykonałem zadanie wysoko kwalifikowanego serwisu fabrycznego. W końcowym tygodniu pobytu spotkałem się z użytkownikami aparatury rentgenowskiej, m.in. na Uniwersytecie Tokijskim i w Geological Survey of Japan i zwiedziłem Japonię: Hiroshimę, Kioto, Nara.



Z inż. Heihachiro Funabiki z Rigaku Denki.

W drodze powrotnej, w Nachodce odszukała mnie przedstawicielka Inturistu, Lena i poinformowała, że byłem pierwszym Polakiem, który odbył tę podróż przez Syberię do Japonii, że mam zarezerwowane miejsce sypialne w pociągu do Chabarowska, skąd odlece samolotem wprost do Moskwy, tam nocleg w hotelu i następnego dnia rano odlot do Warszawy. Organizacja podróży była perfekcyjna i 24 czerwca po południu wylądowałem szczęśliwie na Okęciu.

Kiedy po wakacjach skrzynie z japońskim dyfraktometrem dotarły do Warszawy, do Instytutu Geologicznego, był to drugi w Polsce tak nowoczesny aparat (pierwszy został uruchomiony kilkanaście miesięcy wcześniej w Gliwicach). Trwał jeszcze remont pomieszczeń, w których miała być zainstalowana aparatura, wymagania Sanepidu były bardzo rygorystyczne, a wykonawca remontu nie bardzo sobie z tym radził. Musiałem na bieżąco uczestniczyć w ustalaniu wymogów instalacji uziemiającej, wentylacji, dostarczyć recepturę zaprawy barytovej, zabezpieczenia drzwi i okien. Z ówczesnym kierownikiem Działu Inwestycji, p. Filipskim, jeździliśmy po kraju do wytwórców opraw do świetlówek, których nabycie normalną drogą nie było wówczas możliwe.

Ponieważ termin zakończenia remontu wciąż był odległy, Dykcja Instytutu zdecydowała, żeby dyfraktometr jak najszybciej uruchomić prowi-

zorycznie w sąsiadującym przez ścianę pomieszczeniu tzw. edometrów. Tak się stało. Po tygodniu pracy trwającej po 12 godz. na dobę, uruchomiłem aparat i zarejestrowałem pierwszy dyfraktogram, jeśli dobrze pamiętam - kwarcu, który pokazałem dyrektorowi jako świadectwo, że mój wyjazd do Japonii popierany przez Instytut nie był bezowocny.

W czasie remontu pomieszczenia doszło do przykrego w konsekwencji incydentu: pracownicy firmy budowlanej do zamurowania niepotrzebnych drzwi wykorzystali fragmenty rdzeni wiertniczych, które w skrzynkach znajdowały się w sąsiednim pomieszczeniu. Dla nich były to zwykłe kamienie, dla geologów - fragmenty skał o wielkiej wartości poznawczej, olbrzymim kosztem wydobyte z dużej głębokości. Sprawa została upolityczniona i w rezultacie dyrektor Instytutu prof. Edward Rühle ustąpił ze stanowiska.



Przy właśnie uruchomionym w Instytucie dyfraktometrze japońskim Geigerflex. 1963 r.

Po kilkunastu miesiącach dyfraktometr został przeniesiony na właściwe miejsce do specjalnie przygotowanego pomieszczenia. Kilka lat później dokupiona została przystawka do analiz rentgenospektralnych, na której masowo oznaczana była cyna, a jeszcze kilka lat później - nowoczesny sekwencyjny spektrometr rentgenowski i przenośny spektrometr PORTARIX, też firmy Rigaku. Ten ostatni przyrząd okazał się bardzo przydatny w pracach terenowych do ilościowych oznaczeń zawartości pierwiastków w kawałkach skał i fragmentach rdzeni, m.in. dolomitów kruszczońskich. Dzięki zdobytym doświadczeniom w Instytucie Geologicznym, zastosowanie podobnego przenośnego spektrometru miało decydujące znaczenie przy realizacji ONZ-go projektu poszukiwania miedzi na Haiti, prowadzonego przez doc. Stanisława Przeniosło.



W Pracowni Rentgenowskiej wśród współpracowników. 1974 r.

W połowie lat 1970. Instytut Geologiczny posiadał najnowocześniejsze i najbogatsze w kraju wyposażenie w aparaturę rentgenowską do badań skał i minerałów. Firma Rigaku rekomendowała zestaw aparatury w Instytucie jako wzorcowe wyposażenie laboratorium dla geologii. I teraz z per-

spektywy lat nasuwające się pytanie: czy byłoby to wszystko możliwe, gdyby obowiązywała wówczas ustawa o przetargach?

Połączenie dwu fizycznych technik badawczych: rentgenowskiej analizy strukturalnej i analizy chemicznej na podstawie widma rentgenowskiego było oryginalnym rozwiązaniem skupiającym 2 różne narzędzia i techniki badawczej w jednej komórce organizacyjnej Instytutu. Zazwyczaj techniką rentgenospektralną dysponują chemicy, dyfrakcją rentgenowską petrografowie, a wymiana bieżących informacji pomiędzy tymi specjalnościami najczęściej nie jest doskonała.

W kierowanej przeze mnie Pracowni Instytutu przyjęto zasadę obowiązkowych konsultacji ze zleceniodawcami przed przystąpieniem do badań, a następnie do bieżących kontaktów w trakcie wykonywania badań. Dzięki temu analitycy znali cel badań, charakter próbek, a zleceniodawcy uzyskiwali informacje dodatkowe, których często nawet nie oczekiwali. Taka organizacja pracy dawała bardzo dobre wyniki np. przy rozwiązywaniu problemów genetycznych. W ten sposób prowadzone były badania m.in. ewaporatów, czy karbonatytów.

W latach 1980. przez blisko 9 lat kierowałem równocześnie prawie 70-osobowym Zakładem Geochemii i Chemii Analitycznej Instytutu, skupiającym chemików Centralnego Laboratorium Instytutu i zespołu geochemików. Zapoczątkowany wówczas został proces modernizacji zaplecza laboratoryjnego Instytutu, wdrażania nowoczesnych technik analitycznych, nawiązane zostały kontakty z najznakomitszymi ośrodkami badań geochemicznych w kraju i za granicą. We współpracy z Komitetem Chemii Analitycznej PAN zainicjowane wówczas zostały cykliczne konferencje, najpierw pod hasłem „Analityka w służbie geologii”, później aktualizowane jako „Analityka w służbie geologii i ochrony środowiska”, a w ostatnich latach - „Analityka w służbie hydrogeologii, geologii i ochrony środowiska”, które przez ostatnie prawie 30 lat znalazły swoje trwałe miejsce w kalendarzu spotkań naukowych specjalistów z dziedziny geochemii, hydrochemii i kartografii środowiskowej.

Znaczącym osiągnięciem Zakładu, którym kierowałem, było przygotowanie zespołu analityków chemicznych i geochemików do całkowicie nowej sytuacji w geologii po okresie transformacji na przełomie lat 1980. i 1990. Dzięki doświadczeniu doc. Jerzego Boruckiego, który przez wiele lat był ekspertem ONZ i realizatorem projektów geochemicznych za granicą, powstała pierwsza „Mapa geochemiczna okolic Warszawy”. W wyniku zapoczątkowanej wówczas przeze mnie, a następnie konsekwentnie prowa-

dzonej przez moich następców modernizacji zaplecza laboratoryjnego Instytutu, powstało największe akredytowane laboratorium chemiczne w kraju (Certyfikat akredytacji nr AB 283). Zakres akredytacji laboratorium Instytutu dotyczy zarówno związków organicznych, jak i składników nieorganicznych; łącznie obejmuje oznaczanie około 400 cech, zarówno w próbkach ciekłych, jak i stałych.

W połowie lat 1990. dyrektor Instytutu, Stanisław Speczik, podjął decyzję o likwidacji Pracowni Rentgenowskiej w dotychczasowym kształcie. Działanie to uznałem za uzasadnione: szef (czyli ja) zbliżał się do wieku emerytalnego, aparatura była już mocno wyeksploatowana, wchodziła do użytku nowa generacja urządzeń skomputeryzowanych, a także całkowicie nowe procedury analityczne. Zmieniła się tematyka prac Instytutu, zmieniło się znaczenie badania próbek geologicznych na korzyść próbek środowiskowych i hydrogeologicznych.



Ważący 16 kg meteoryt, który spadł w Baszkówce koło Warszawy latem 1994 r. Jeden z najcenniejszych okazów w Muzeum Geologicznym Instytutu.

Niespodziewanie otrzymałem od losu prezent w postaci unikalnego tematu badawczego dotyczącego materii planetarnej. W sierpniu 1994 r. spadł w pobliżu Warszawy prawie 16-kilogramowy meteoryt, zarył się w

miękką ziemię na głębokość około 30 cm. Świadek tego niezwykłego zdarzenia przyrodniczego szybko go wydobyl i zabezpieczył. Dzięki moim zabiegom doprowadziłem do przejęcia okazu przez Muzeum Geologiczne Instytutu, a następnie podjąłem starania o przyznanie środków finansowych na wykonanie bardzo specjalistycznych badań w kraju i zagranicą. Przyznano mi dwa kolejne granty, w ramach których w ciągu 6 lat meteoryt został dokładnie zbadany. Wyniki badań pokazały, że materia tego meteorytu nie została zmieniona w wyniku procesów wtórnych, jego skład chemiczny pozostał niezmienny od chwili powstania. Zwrócili na to uwagę badacze z USA, którzy uznali, że wobec tego jego skład chemiczny można uznać za wzorcowy dla materii planetarnej. Wyniki badań meteorytu, który otrzymał nazwę „Baszkówka” (od wioski, w której spadł), prezentowałem na międzynarodowych konferencjach organizowanych przez *Meteoritical Society* w Berlinie, Dublinie, Johannesburgu i Chicago. Ukazało się kilkadziesiąt artykułów w czasopismach krajowych i zagranicznych. Dzięki temu Polska znalazła się w elitarnym gronie krajów zajmujących się badaniami materii planetarnej.

Podsumowując prawie 40-letni okres istnienia kierowanej przeze mnie Pracowni Rentgenowskiej podliczyłem, że łącznie wykonaliśmy tam prawie czterysta tysięcy różnych oznaczeń chemicznych i blisko trzydzieści tysięcy identyfikacji fazowych, w tym kilka tysięcy ilościowych. Przez cały czas prowadzone były różnego rodzaju prace metodyczne i działalność naukowa w szerokiej współpracy z innymi ośrodkami naukowymi. Wyniki badań wykonanych w pracowni znalazły się w wielu pracach doktorskich i habilitacyjnych, a moja wyprawa po nowoczesność do „krajów kwitnącej wiśni” w 1962 r. była znaczącym krokiem w kierunku zmniejszenia naszego dystansu do światowego poziomu analityki geologicznej.

Instytut Geologiczny dał mi niepowtarzalną szansę poznania świata, odwiedzenia wielu ciekawych miejsc, dotarcie do których nawet dla kogoś bardzo bogatego, czy utytułowanego nie zawsze jest możliwe. Byłem w „piekielnej” kopalni złota w Tarkwie na Złotym Wybrzeżu, gdzie temperatura przekracza 50 stopni, a wilgotność 100% i pracuje się po kolana w wodzie, zwiedzałem Muzeum i Park Pokoju w Hiroszynie, chodziłem po murach portugalskich fortyfikacji w El Jadida w Maroku i zachwycałem katedrą w Casablance, opalałem się na słynnej bielutkiej plaży w Varadero i wędrowałem po czarnej plaży nad Pacyfikiem w pobliżu Jokohamy, piłem kumys w mongolskiej jurcie i kąpałem w termach nieopodal Mount Fuji, chodziłem po dnie krateru meteorytowego Tswaing pod Pretorią, a także

uczestniczyłem w bankiecie w najsłynniejszym miejscu Johannesburga, w Wenderers Club. W Castel Gandolfo w papieskiej bibliotece siedziałem w białym skórzanym fotelu, w którym odpoczywali papieże. Podczas zwiedzania obserwatorium astronomicznego, kiedy oprowadzający nas jezuita, ojciec S., zauważył, że powiedziałem coś po polsku do towarzyszącego mi Wieśka Sz., dodał „No cóż, nie dziwicie się, my też ciekawi jesteśmy, jak to niebo naprawdę wygląda”.

Wizja prof. Edwarda Rühle, dotycząca przyszłości Instytutu Geologicznego i roli nowoczesnych metod fizycznych w badaniach geologicznych, świadczyła o rozległej wiedzy i mądrości Profesora. Jestem Mu wdzięczny, że dał mi szansę pracy w tym „największym z możliwych warsztatów pracy” i uczestniczenia we współtworzeniu historii Państwowego Instytutu Geologicznego, który już za kilka lat będzie świętował 100-lecie swojej działalności.

**MARIAN STĘPNIEWSKI*

Urodzony w 1935 r. w Kowlu. Absolwent Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Dr nauk przyrodniczych. Specjalista mineralog i geochemik. W (Państwowym) Instytucie Geologicznym pracował w latach 1960-2001. W latach 1981-1989 był kierownikiem Centralnego Laboratorium Chemicznego IG. W roku 2001 odszedł na emeryturę.

Irena Olkiewicz Paprocka*

UKOCHAŁAM SUROWCE SKALNE (1963-1997)

Urodziłam się 27 sierpnia 1934 r. w Warszawie. Dzieciństwo moje przypadło więc na ciężkie czasy związane z II Wojną Światową, które na zawsze zapisały się jak najgorzej w mojej pamięci. Przez cały okres okrutnej wojny, aż do Powstania Warszawskiego, byłam z rodzicami i siostrą w Warszawie. Powstanie nas rozdzieliło. Oni pozostali w mieście, a my w Głuskowie pod Warszawą, nie wiedząc nic o nich przez długie miesiące. Dramatyzm sytuacji podkreślał zapamiętany na całe życie widok potężnego „czarnego grzyba” unoszącego się nad miastem, który w nocy przybierał barwę czerwona oraz świadomość, że tam są nasi rodzice.

Na czas wojny przypadło mi pójście do szkoły, wówczas powszechnej nr 167. Pierwsze świadectwo ukończenia klas I–III miały oceny *”bardzo dobry”*, ale po ich lewej stronie widniały oceny *„sehr gut”* w zniechęcającym języku okupanta.

W 1948 r. rozpoczęłam naukę w liceum ogólnokształcącym im. Powstańców Warszawy przy ul. Boremłowskiej, a następnie, po uzyskaniu świadectwa maturalnego w 1952 r., starałam się o przyjęcie na Wydział Chemii Politechniki Warszawskiej. Mimo zdanego egzaminu nie zostałam przyjęta. Nie należałam bowiem do Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) i tzw. czynnik społeczny, członek komisji rekrutacyjnej, na moje pytanie *”dlaczego?”* zawyrokował: *„wy nigdy nie dostaniecie się na żadną uczelnię”*. Popłakałam się.

Jednakże 2 lata później, w 1954 roku, zostałam przyjęta na Wydział Geologii Uniwersytetu Warszawskiego (użyłam małego fortelu, ale nie mającego najmniejszego wpływu na wyniki egzaminów i załączonego szeregu cennych opinii znaczących person z Instytutu Tworzyw Sztucznych, w którym pracowałam przez te 2 lata).

Studia ukończyłam w marcu 1960 roku uzyskując tytuł magistra petrografii i mineralogii po obronie pracy *„Dewon górny i kuhl okolic Mokreszowa i Pogorzały”* (depresja Świebodzić - Sudety), wykonanej pod kierunkiem pani prof. Marii Turnau–Morawskiej.

Zaraz po studiach rozpoczęłam pracę w Przedsiębiorstwie Geologicznym w Warszawie, ale już od pierwszego dnia, tj. od 1 maja 1960 r. oddele-

gowana zostałam do pracy w Zakładzie Złóż Metali Instytutu Geologicznego, którego etatowym pracownikiem zostałam od 1 stycznia 1963 r. W tym samym roku podjęłam pracę w Zakładzie Geologii Złóż Surowców Skalnych, najpierw na stanowisku asystenta, potem starszego asystenta, a od 1969 roku adiunkta. W tym też roku uzyskałam uprawnienia geologiczne nadane w Centralnym Urzędzie Geologii na wykonywanie projektów i dokumentacji geologicznych. Stałam się geologiem surowcowym, co bardzo odpowiadało moim zainteresowaniom i temperamentowi. Lubiłam tworzyć rzeczy wielkie (może to jednak podświadomy wpływ epoki, w której przypadło mi żyć, a może charakteru), dlatego zrezygnowałam ze ślęczenia przy mikroskopie na rzecz badania surowców.

W Zakładzie Geologii Złóż Surowców Skalnych prowadziłam z wielkim zainteresowaniem metodyczne prace geologiczno-surowcowe mające na celu określenie charakterystyki litologicznej, jakości i przydatności przemysłowej oraz zasobów perspektywicznych serii węglanowej dewonu środkowego i górnego wschodniej części synklinorium kielecko-łagowskiego (Góry Świętokrzyskie). Region ten pod nazwą Okręg Iwanińska-Opatów na mocy Uchwały Rady Ministrów z 1974 r. został włączony do grupy projektowanych w kraju okręgów eksploatacji jednostek terytorialnych, które ze względu na budowę geologiczną i uwarunkowania gospodarcze predysponowane były do wszechstronnego i społecznie optymalnego zagospodarowania.

Do chwili podjęcia moich prac skały węglanowe dewonu w tym rejonie użytkowano jako surowce od dość dawna, ale jedynie okresowo, na niewielką skalę i tylko na potrzeby lokalne. J. Czarnocki i J. Samsonowicz znaczyli je w swoich pracach geologiczno-kartograficznych łącznie (wapień i dolomity) jako niezaburzoną tektonicznie serię skał węglanowych występujących szerokim pasem od Łagowa na zachodzie po Opatów na wschodzie.

Z uwagi na ograniczoną głębokość wykonywanych wierceń w Zakładzie (na ogół 100 m ze względu na uwarunkowania kryteriami bilansowości), a dużą miąższość osadów węglanowych oraz (jak się okazało) zaangażowaną ich tektonikę, uzyskiwałam materiały umożliwiające zbadanie tylko niewielkich fragmentów profilu dewonu środkowego i górnego. Dlatego też opracowałam projekt robót geologicznych na wykonanie otworu głębokiego, Janczyce I, w celu poznania pełnego profilu dewonu środkowego i górnego. Odwiercenie pełnordzeniowego otworu Janczyce I zlokalizowałam w centralnej części synklinorium, w obrębie jednostki synklinalnej o dość nie-

dużych upadach warstw. Zatwierdzenie projektu w CUG i uzyskanie zgody na wykonanie otworu głębokiego przez Zakład Geologii Złóż Surowców Skalnych nie było sprawą łatwą. Jednakże udało mi się przekonać Komisję o sensie i nawet konieczności wykonania projektowanego otworu. Projekt został przyjęty i zatwierdzony bez żadnych zmian. Pełnordzeniowy otwór obejmował osady dewońskie, od stropu serii detrytycznej dewonu dolnego, po dewon górny (famen).

Otwór Janczyce I (o głębokości 1251,6 m) stał się podstawą opracowania wzorcowego profilu grubej serii węglanowej dewonu środkowego i górnego wschodniej części synklinorium kielecko-łagowskiego, wydzielenia jednostek stratygraficznych (przy współpracy z Markiem Narkiewiczem) oraz wydzielenia jednostek litologiczno-surowcowych, które scharakteryzowałam pod względem ich cech chemicznych i fizycznych przewidzianych normami surowcowymi oraz określiłam możliwość zastosowania ich w różnych gałęziach przemysłu. Z uzyskanym profilem skorelowałam wszystkie odwiercone otwory płytkie i wstępnie rozpoznane złoża.

Reasumując, we wschodniej części synklinorium kielecko-łagowskiego rozpoznaliśmy łącznie 38 nowych złóż surowców węglanowych, określając ich ogromne zasoby w kategoriach D₁ i D₂, a dwa złoża (wapieni „STOBIEC” i dolomitów „GROCHOLICE”) udokumentowałam w kategorii C₂. Prace te stały się następnie podstawą do opracowania dokumentacji geologicznych poszczególnych złóż w kat. C₂, C₁ i B przez geologów z Przedsiębiorstw Geologicznych w Kielcach i w Krakowie.

Oprócz pozytywnych rezultatów surowcowo-złożowych wykonane prace dostarczyły również wiele nowych danych, które uzupełniają w znacznym stopniu znajomość budowy geologicznej regionu. Zgromadzony materiał badawczy umożliwił m.in. zestawienie mapy geologicznej odkrytej 1: 25 000 tej części synklinorium, która przedstawia zawiłą budowę tektoniczną utworów dewońskich, wyrażającą się obecnością licznych dyslokacji poprzecznych oraz podłużnych. W zasięgu wschodniej części synklinorium stwierdziłam występowanie nieznanego dotąd elementu tektonicznego, który nazwałam „antykliną Ublinka”. Zbudowana jest ona z osadów terygenicznych starszego paleozoiku. Osady te w znacznym stopniu zawężają zasięg występowania dewońskiej serii węglanowej w tym regionie.

Podkreślić należy, że w Zakładzie Geologii Złóż Surowców Skalnych opracowana została pierwsza w Polsce kompleksowa dokumentacja geologiczna dla omawianego regionu, której byłam główną wykonawczynią. Obejmowała ona całą wschodnią część synklinorium kielecko-łagowskiego.

Nie sposób nie wspomnieć o tym, jak trudne były wówczas warunki pracy w omawianym terenie. Pomijając ogromne trudności z zaopatrzeniem, wręcz z niemożliwością kupienia kawałka chleba. Zdarzało się, że cały tydzień jadłam samą kapustę w dwóch wersjach: rozcieńczonej – zupa i zagęszczonej - jarzyna, ale bez żadnych dodatków. Potężne kłopoty miałam również z wierceniem otworów (na koncie mam ich dziesiątki), z ustawicznymi awariami zestawów wiertniczych, pozyskaniem wymaganej jakości (uzysku) rdzenia itp. Nie mówiąc już o jakości komunikacji PKS-em (samochód służbowy należał wtedy do rzadkości) oraz trudnościach w połączeniu telefonicznym z Instytutem w razie nagłej potrzeby.

Zdarzały się też sytuacje zabawne. Po moich wielokrotnych interwencjach w PG Kielce, które odwiercało moje liczne otwory, w sprawach niedostatecznego uzysku rdzenia, awarii aparatury wiertniczej itp.itp., Dyrekcja przedsiębiorstwa zwołała spotkanie robocze.

Przed jego rozpoczęciem, oczekując na nadejście dyrektora podszedł do mnie jeden z pracowników PG i przedstawił się. Ja też wymieniłam jedno z moich dwóch nazwisk (Olkowicz) i powiedziałam, że jestem z Instytutu Geologicznego w Warszawie. Ucieszył się i zaraz zapytał, czy znam panią Paprocką z Instytutu (moje drugie nazwisko). Powiedziałam, że tak, trochę. A on na to: *„Czy wie pani jaka to straszna baba? Ciągle ma do nas pretensje, wymagania, roszczenia itp. Czy w Instytucie jest ona również tak gorliwa?”* Moja nieśmiała próba obrony tej „baby”, że może ma rację, bo przecież obowiązują różne wymagania, kryteria, przepisy, nie dała rezultatu. Gromy się sypały. Wreszcie zapytał, czy może na tym spotkaniu usiąść przy mnie. Zgodziłam się.

Dyrektor PG otwierając posiedzenie witając zebranych w pewny, momencie zwracając się do mnie wymienił obydwie moje nazwiska. Nigdy nie zapomnę miny siedzącego obok mnie „narzekacza”. Chciał „wejść pod stół”. Zaczął przeproszać, schwylił moją rękę i zaczął ją obcałowywać. To jego zachowanie wzbudziło zdziwienie zebranych, a ja się zaśmiewałam.

Wszystkie jednak te trudności i przygody nie zrażały mnie nigdy. Stawiałam im czoło i radziłam sobie z nimi dobrze. Osiągałam też porozumienie z nie zawsze „dysponowanymi” wiertaczami (lepiej nie wspominać, w jak prymitywnych warunkach oni wtedy żyli!). Mimo wszystkich problemów chętnie jeździłam w „mój” teren ubogi gospodarczo, ale piękny krajobrazowo, z Pasmem Jeleniowskim w tle. Rekompensowało to mankamenty i trudy terenowego bytowania.

Wspominam też z pewnym rozrzewnieniem kwaterę u „króla” Władysława Jagiełły – gospodarza, u którego pomieszkowałam w Janczycach. Trafiła się tam nawet niekiedy wiejska kielbasa; był to wówczas prawdziwy rarytas. Udało mi się też rządzącą tam niepodzielnie babcią, aby zmieniła mi pościel, mimo zapewnień z jej strony, że jest czysta, bo przecież pan inżynier z Kielc spał w niej tylko trzy noce.

Było mi niezwykle miło, gdy po kilku latach od zakończonych prac w tym regionie znów pojawiłam się tam na zlecenie firmy LAFARGE i zobaczyłam na moim terenie badań otwartą, czynną kopalnię złoża dolomitów we Wszachowie, dla którego w przeszłości określiłam jakość surowca i jego zasoby w kategorii D₁. Kopalnia ta w pewnym sensie stanowi krok do aktywizacji gospodarczej zaniedbanego pod tym względem regionu. Pracę w kopalni znalazło kilkunastu pracowników.

W późniejszych latach zajmowałam się problematyką związaną z opracowywaniem arkuszy Mapy Geologiczno – Gospodarczej Polski w skali 1: 50 000 z objaśnieniami. Tych arkuszy wykonałam kilkanaście (trzy we współautorstwie z Ryszardem Podstolskim). Pierwszą wydrukowaną mapę z tego cyklu, którą opracowałam samodzielnie, mianowicie arkusz Szydłowiec z objaśnieniami, prezentował Państwowy Instytut Geologiczny na światowej wystawie w Korei Południowej w 1993 r.

Do Mapy Surowców Mineralnych Polski 1: 500 000 (pod red. Romana Osiki) opracowałam razem z Moniką Błaszak występowanie w Polsce surowców krzemionkowych, takich jak kwarc żyłowy, piaskowce kwarcytowe, kwarcyty, diatomity, chalcedony i ziemia krzemionkowa.

Na zlecenie Departamentu Geologii Ministerstwa Środowiska razem z R. Podstolskim i E. Tołkanowicz wykonaliśmy opracowanie dotyczące torfów po ponownym ich włączeniu do kategorii kopalin. Dotyczyło ono uwarunkowań prawnych, finansowych i technicznych eksploatacji torfu w Polsce. Została ona wydrukowana w Przeglądzie Geologicznym i wzbudziła zainteresowanie geologów niemieckich, którzy poprosili nas o napisanie artykułu pod tytułem „*Peat in Poland*”. Artykuł pod zaproponowanym tytułem napisałam z R. Podstolskim. Opublikowano go w wydawnictwie „*10th International Peat Congress Bremen, Germany*”, vol. 2, *Proceedings*, p.101-106, Stuttgart 1996. Wydawnictwo obejmowało materiały 10-tego Międzynarodowego Kongresu Torfowego.

Przez pewien czas zajmowałam się też problematyką poszukiwania bursztynów w Polsce północnej, w rejonie Chłapowa, w dawnym województwie gdańskim. Była to spuścizna po Monice Błaszak. Prace poszuki-

wawcze bursztynu potwierdziły obecność tego surowca w osadach starszego trzeciorzędu północnej Polski. Na ich podstawie ustalono pozycję stratygraficzną osadów bursztynonośnych, ich charakterystykę litologiczną oraz warunki sedymentacji. Dały one również podstawy do dalszych prac poszukiwawczych. Obliczyłam też zawartości bursztynu w g/m^3 , a następnie w kg/t w warstwie bursztynonośnej w Chłapowie.

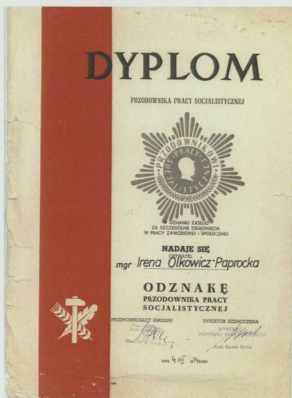
Do współpracy w tych badaniach zaprosiłam kilku specjalistów, zajmujących się tą problematyką. Jej efektem było napisanie kilku artykułów, opublikowanych w wydawnictwach Państwowego Instytutu Geologicznego i Muzeum Ziemi PAN. Wyniki badań zaprezentowano też na CVIII sesji naukowej PIG, na temat „*Bursztynonośne osady paleogenu w północnej Polsce*”.

Przy okazji tych prac stwierdziłam w pobliskim Strzelnie występowanie trzeciorzędowych piasków kwarcowych o znaczeniu złożowym. Opracowałam projekt robót geologicznych i po ich wykonaniu uzyskane wyniki pozwoliły mi na udokumentowanie złoża „STRZELNO” w kategorii C₂ dla przemysłu formierskiego.

W ostatnich latach pracy zajmowałam się m.in. opracowaniem prognoz występowania trzeciorzędowych piasków kwarcowych dla potrzeb przemysłu odlewniczego i szklarskiego w Polsce północnej, w rej. Pomorza Zachodniego. Następnie wykonałam szereg map z tekstem informującym o występowaniu w Polsce surowców przydatnych do budowy autostrad (razem z R. Podstolskim) oraz o wpływie tej inwestycji na środowisko geologiczne i hydrogeologiczne. Problematyka ta stanowiła temat szeregu nadszych publikacji, które ukazywały się poza wydawnictwami geologicznymi, m.in. na łamach prasy.

Byłam również z Ryszardem Podstolskim w Zespole powołanym przez Ministerstwo Środowiska do prowadzenia kontroli realizacji koncesji geologicznych na eksploatację złóż surowców, wydanych przez Ministra, lub Wojewodę. Kontrole te prowadziliśmy głównie na obszarze Polski zachodniej i północnej.

Opracowałam również szereg ekspertyz na zlecenie firm niemieckich, belgijskiej (LHOIST), francuskiej (LAFARGE) i in. Dotyczyły one głównie aktów prawnych górnictwa skalnego w Polsce., surowców do budowy dróg, przemysłu cementowego i ochrony środowiska itp. Poza tymi firmami współpracowałam m.in. z AGH, Politechniką Warszawską, PPG i Komisją Zasobów Kopalni (CUG, później Ministerstwo Środowiska).



Dyplom Przodownika Pracy Socjalistycznej, 4.12.1974 r.



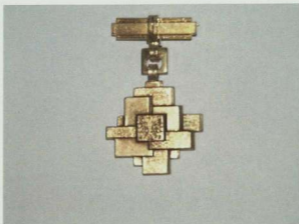
Odnaka Przodownika Pracy Socjalistycznej

Często byłam zapraszana na konferencje, zjazdy, sympozja (w tym zagraniczne), seminaria naukowe związane z różnorodną problematyką geologiczną. Niejednokrotnie na spotkaniach tych wygłaszałam referaty. Np. na Litwie, w Oddziale PIG w Kielcach, na Warsztatach Bursztynowych w Gdańsku i in.

Jestem autorką 86 prac archiwalnych (w tym 10 projektów robót geologicznych) oraz autorką lub współautorką 80 prac opublikowanych, w tym m.in. w wydawnictwach książkowych, takich jak *Budowa Geologiczna Polski, T. VI., Geology of Poland, Mineral Deposits, Surowce Krzemionkowe Polski, International Peat Congress, Bremen, (Germany)*.

Za pracę zawodową uhonorowana zostałam różnymi dyplomami i wyróżnieniami resortowymi, a więc Złotą Odznaką „Zasłużona dla Geologii Polskiej”, Złotą Odznaką Instytutu Geologicznego, Złotą Odznaką „Zasłużona dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych”. W 1996 r. nadano mi stopień Inżyniera Górniczego I stopnia. A pierwszą była odznaka z 1974 r. „Przodownika Pracy Socjalistycznej” (!!!).

Byłam ekspertem Komisji Zasobów Kopalin w CUG, a następnie w Ministerstwie Ochrony Środowiska i Zasobów Mineralnych. W ramach tej funkcji wykonałam ponad 80 koreferatów (ocen) dokumentacji geologicznych oraz projektów robót geologicznych, dotyczących różnych surowców skalnych. W drugiej połowie 1997 roku przeszłam na emeryturę.



Złota Odznaka „Zasłużona dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych”



Odznaka „Zasłużony Pracownik Instytutu Geologicznego”



Instytutowy medal Stanisława Staszica



Instytutowy medal Stanisława Staszica, rewers

Poza geologią moją szczególną pasją są podróże. Poznawanie nowych krajów, cudów przyrody, architektury i sztuki. Tak się szczęśliwie złożyło, że niektóre mogłam zobaczyć, zarówno w Europie, jak i w Azji, w Afryce i w Ameryce Północnej. Wśród nich np. piramidy, mur chiński, terakotową armię chińską, Akropol, Świątynię Skały w Jerozolimie, Petrę, Stonehenge, cudowne parki narodowe w Stanach Zjednoczonych: Yellowstone, Wielki Kanion Rzeki Kolorado, Bryce Canyon. Poza tym bajeczną Kapadocję i dużo, dużo innych, no i oczywiście, muzea, również te ze wspaniałymi kolekcjami mineralogicznymi, jak np. w Waszyngtonie – Smithsonian Institution.

Poza tym zawsze dużo czytałam i czytam, lubię poezję, znam na pamięć sporo wierszy. Ulubionymi moimi zwierzakami są koty. Spędziłam z nimi ponad 30 lat. One też darzyły mnie sympatią.

Sporo czasu w moim życiu zajmuje działalność społeczna; zawsze starałam się i staram coś zrobić w tej kwestii. Jestem członkiem Towarzystwa Rapperswilekiego, Towarzystwa Archiwistów Polskich, Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna oraz Fundacji Pomocy Rodakom na Wschodzie im. ks. Niedzielaka.

**IRENA OLKOWICZ-PAPROCKA*

Urodzona w 1934 r. w Warszawie. Absolwentka Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego (1960). Specjalistka w zakresie złóż surowców skalnych. W (Państwowym) Instytucie Geologicznym pracowała w latach 1963-1997. W tym samym roku przeszła na emeryturę.

Elżbieta Bareja*

PRACA Z PIERWIASTKAMI PROMIENIOTWÓRCZYMI
(1968-1991)

POCZĄTKI

Pracę w Instytucie Geologicznym podjęłam w roku 1968. Państwowy Instytut Geologiczny nazywał się wtedy Instytutem Geologicznym (do roku 1985). Pracę rozpoczęłam w Zakładzie Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych, ale moja „przygoda z uranem” rozpoczęła się 12 lat wcześniej, bo już w roku 1956, w Zakładach Przemysłowych R-1 w Kowarach. Przedtem, od roku 1953 do roku 1956 byłam zatrudniona w charakterze zastępcy asystenta w Katedrze Geologii Dynamicznej u Profesora Edwarda Passendorfera, na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego.

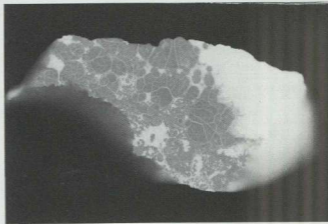
Do Kowar „wyemigrowałam” z powodu braku mieszkania w Warszawie. W Kowarach zostałam zatrudniona w Laboratorium Mineralogicznym, w Zakładach Przemysłowych R-1. Zakłady miały początkowo nazwę „Kopalnie Kowarskie” i były tajną jednostką gospodarczą, która powstała w Polsce w roku 1947 na mocy umowy zawartej pomiędzy rządem P.R.L. a Z.S.R.R. Powołano wówczas specjalne przedsiębiorstwo do wydobywania i poszukiwania rud uranu. Odbiorcą rudy uranowej miał być w całości Związek Radziecki. W Zakładach główną kadrę stanowili w tych latach specjaliści radzieccy i oni obsadzali najważniejsze stanowiska, takie jak główny inżynier, główny geolog, kierownicy grup geologiczno - poszukiwawczych, główny wiertnik i kierownik laboratorium.

W październiku 1956 roku, z uwagi na zmiany polityczne w Polsce specjaliści radzieccy opuścili Kowary w wielkim pośpiechu. Decyzje o ich wyjeździe zostały podjęte w związku z wydarzeniami na Węgrzech, gdzie według nieoficjalnych wiadomości, w wyniku rozruchów na terenie kopalń uranowych miały miejsce wypadki wieszania specjalistów radzieckich. U nas w Polsce w wyniku nagłego wyjazdu specjalistów z ZSRR koniecznym stało się zastąpienie radzieckiej kadry technicznej kadrą polską. Czasowo pozostawiono tylko dwóch radzieckich geofizyków i jedną panią chemiczkę.

W Zakładach Przemysłowych R-1 pilnie potrzebowano polskich specjalistów: geologów, geofizyków, górników, wiertników, chemików itp. W Laboratorium Mineralogicznym zwolnił się etat po Rosjance, która wróciła do siebie do Leningradu. Na jej miejsce w laboratorium zatrudniono mnie. Laboratorium podlegało głównemu geologowi, mgr inż. Władysławowi Adamskiemu, który przed podjęciem pracy na tym stanowisku w Kowarach pracował w Instytucie Geologicznym w Warszawie. Kierownikiem Laboratorium Mineralogicznego został mgr Henryk Sadkiewicz, petrograf, absolwent UJ w Krakowie.

W Laboratorium w Kowarach pracowałam w latach 1956-1963. Opracowywałam zagadnienia mineralogiczne i petrograficzne z obszarów poszukiwawczych oraz złóż rud uranu w Sudetach. Opracowania stanowiły odrębne tematy, lub wchodziły w skład kompleksowych projektów i dokumentacji geologicznych. Pracownicy laboratorium byli upoważnieni do pobierania i badań próbek geologicznych z ówczesnie eksploatowanych kopalń uranowych. Miałam więc prawo do zjazdu na dół do eksploatowanych wyrobisk w celu obserwacji stref rudnych i pobierania prób do badań laboratoryjnych.

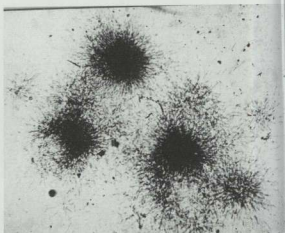
Radiografia na kliszy fotograficznej. Widoczne sferolity blendy uranowej. Czas ekspozycji 5 dni, Wielkość naturalna. Kopalnia „Wolność”. Wykonała E. Bareja.



W eksploatacji były wówczas 3 złoża uranu typu żyłowego. Dwa z nich: „Podgórze” i „Wolność” eksploatowane były w osłonie metamorficznej masywu karkonoskiego w pobliżu Kowar. Trzecie złożo, to złożo „Radoniów”, występujące w skałach metamorfiku Izerskiego, na północny zachód od Jeleniej Góry koło Lubomierza. Pobierałam próby z tych wszystkich kopalń dla bieżących badań stref eksploatowanych i kompleksowych badań mineralogicznych. Z uwagi na warunki górnicze najtrudniejszą była

kopalnia „Radoniów” ze względu na wąskie i niskie wyrobiska górnicze, duże ich zawodnienie i konieczność wspinaczki po drabinach na różne poziomy eksploataowanych prozdoków.

Centra torów cząstek alfa /czarne/ pochodzących z blendy uranowej. Mikroradiografia szlif u polerowanego, wykonana na szkiełku stykowym pokrytym emulsją jądrową. Czas ekspozycji 2 dni. Pow. x 200. Kopalnia „Podgórze”. Wykonała E. Bareja



W latach 1957 - 1960 podjęto w ZPR-1 dokumentowanie wcześniej odkrytego złoża uranu w utworach górnokarbońskich (ottweilerskich) Niecki Śródsudeckiej, w miejscowości Grzmiąca. Jestem współautorką dokumentacji złoża „Grzmiąca”, dla której opracowałam petrografię i mineralizację uranową. W trakcie prac wykonałam wiele badań specjalistycznych stosowanych w przy oznaczaniu minerałów uranowych, takich jak odbitki stykowe, radiografie, mikroradiografie, badania luminescencyjne.

Oprócz prac związanych z dokumentacją i eksploatacją złóż zajmowałam się opracowywaniem mineralizacji uranowej z obszarów objętych pracami geologiczno – poszukiwawczymi, prowadzonymi na obszarze Sudetów przez grupy poszukiwawcze ZPR-1. W ramach poszukiwań uranu Zakłady Przemysłowe R-1 współpracowały z Instytutem Geologicznym w Warszawie, z Akademią Górniczo Hutniczą w Krakowie oraz w zakresie przeróbki i wzbogacania rud uranowych z Instytutem Badań Jądrowych w Świerku.

W 1956 roku w Instytucie Geologicznym utworzono w Zakładzie Metali Nieżelaznych nową pracownię - Pracownię Pierwiastków Promieniotwórczych. Pracownia miała za zadanie podjęcie specjalistycznej działalności geologicznej, którą nazwano „badaniami równoległymi”. Badania równoległe miały objąć pomiarami radiometrycznymi (rejestracja promienio-

wania gamma) wszystkie ważniejsze wyrobiska górnicze i wiercenia z całego kraju. Pracownia ta rozwinęła się w Zakład Złóż Pierwiastków Promieniotwórczych, którego kierownikiem został mgr Aleksander Jeliński.

Zakład miał opracowywać koncepcję i metodykę prac poszukiwawczych za złożami uranu oraz nadzorować i koordynować „prace rewizyjne” i „prace równoległe”, prowadzone przez inne jednostki geologiczne w kraju. Na początek przewidziano wykonanie dwóch głównych tematów: metalogenezę pierwiastków promieniotwórczych w Sudetach i ustalenie perspektyw poszukiwawczych złóż uranu w Polsce, przy wykorzystaniu wyników z „prac równoległych”. W ramach tych prac mgr Jerzy Borucki przygotował w 1958 roku opracowanie „*Sudecka subprowincja uranowa*”, które zawierało poglądy na genezę złóż uranowych w Polsce oraz na perspektywy ich poszukiwań na podstawie wyników dotychczasowych prac i danych z literatury.

W 1957 roku ukazało się Zarządzenie Prezesa Centralnego Urzędu Geologii zobowiązujące Zakłady Przemysłowe R-1 do udostępniania CUG-owi wszystkich materiałów geologicznych. Jednocześnie, w ramach programu kształcenia kadr pracownicy ZPR-1 i IG z Zakładu Złóż Pierwiastków Promieniotwórczych byli wysyłani na praktyki szkoleniowe do Związku Radzieckiego i Jugosławii, a w późniejszych latach do Francji.

Pierwszy wyjazd zagraniczny miał miejsce w roku 1958 do Związku Radzieckiego. Zorganizowano wówczas wyjazd grupy specjalistów, składającej się z przedstawicieli CUGiGi ZPR-1: Bronisław Orłowski (CUG), Aleksander Jeliński i Marian Sałdan (IG) oraz Jerzy Bareja (ZPR-1).

W ramach współpracy z Jugosławią odbyła się w październiku 1960 roku w Karpaczu „*I-sza Polsko-Jugosłowiańska Narada z Zakresu Geologii i Metodyki Poszukiwań Złóż Mineralnych*”. W konferencji brali udział pracownicy Zakładów Przemysłowych R-1instytutu Geologicznego z Warszawy, Savezni Geološki Zavod w Belgradzie i zaproszeni goście z UW i AGH. Uczestnikami konferencji ze strony IG uczestniczyli: Aleksander Jeliński, Jerzy Borucki, Augustyn Jęczalik, Tadeusz Depciuch i Józef Lis. Zaproszonymi gośćmi ze strony AGH byli: prof. Stanisław Jaskólski i Marian Banaś z Katedry Złóż Rud, a ze strony UW, z Wydziału Geologii, doc. dr Eugenia Zimnoch. Konferencja odbywała się w Karpaczu w hotelu „Orlinek”. W trakcie konferencji pracowałam w jej sekretariacie załatwiająca sprawy organizacyjne. W tych okolicznościach w roku 1960 poznałam pracowników Zakładu Złóż Pierwiastków Promieniotwórczych IG. Nie przypuszczałam wtedy, że za kilka lat zostanę pracownikiem tego Zakładu.

Do Warszawy wróciłam w 1968 roku po uprzednim 5-cio letnim pobycie w Łodzi, gdzie w latach 1963-1968 pracowałam w Przedsiębiorstwie Hydrogeologicznym.

PRACA W INSTYTUCIE GEOLOGICZNYM W WARSZAWIE

W 1968 roku Zakład Złóż Pierwiastków Promieniotwórczych istniał już 12 lat i zdążył zmienić nazwę na Zakład Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych. Kierownikiem Zakładu był w dalszym ciągu dr Aleksander Jeliński. Sekretariat prowadziła pani Regina Frontczak. W Zakładzie pracowało około 25 osób. Kierownikiem Pracowni Badań Radiometrycznych był mgr inż. Marian Saldan, Pracowni Złóż Pierwiastków Rzadkich dr Jerzy Kanasiewicz, Pracowni Geochronologii i Geochemii Izotopów dr Tadeusz Depciuch (wcześniej dr Jerzy Borucki), a najliczniejszej Pracowni Chemiczna dr Augustyn Jęczalik.

W Pracowni Chemicznej zatrudnione były mgr Barbara Lis i mgr Teresa Morawska, moje koleżanki z Wydziału Geologii UW. Znałam również dr Józefa Lisa i dr Huberta Sylwestrzaka, którzy pracowali wówczas w Pracowni Geochronologii i Geochemii Izotopów.

Zakład, w którym rozpoczęłam pracę, wyróżniał się na tle innych zakładów w Instytucie ze względu na dużą ilość wyjazdów zagranicznych na praktyki (stypendia) oraz ze względu na dużą ilość obronionych prac doktorskich.

W okresie poprzedzającym moje zatrudnienie były to wymienione wcześniej wyjazdy do Związku Radzieckiego oraz wyjazdy do Francji Tadeusza Depciucha, Józefa Lisa, Stanisława Przeniosło, Huberta Sylwestrzaka i Włodzimierza Zajączkowskiego. Były to wyjazdy kilkumiesięczne, które pozwalały, oprócz zdobywania wiedzy zawodowej, na ugruntowanie posiadanych znajomości języka francuskiego. Dodać tu należy, że wyjazdów indywidualnych, prywatnych, za granicę zachodnią, w zasadzie nie było w tym czasie. W tych też latach napisali i obronili prace doktorskie: Jerzy Borucki, Tadeusz Depciuch, Aleksander Jeliński, Augustyn Jęczalik, Jerzy Kanasiewicz, Józef Lis, Stanisław Przeniosło, Hubert Sylwestrzak, Janusz Uberna i Włodzimierz Zajączkowski.

W Zakładzie Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych otrzymałam w dniu 1.X.1970 roku tytuł adiunkta i stanowisko Kierownika Pracowni Badań Radiometrycznych. W roku 1970 kierownikiem Zakładu

został dr inż. Marian Saldan, a dr Aleksander Jeliński awansował na Dyrektora Instytutu do Spraw Geologii Podstawowej.



Pracownicy Zakładu Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych IG, marzec 1970 r.

Górny rząd, od lewej: Mieczysław Kruszewski, Jerzy Kanasiewicz, Ewa Przeniosło, Aleksander Jeliński, Irena Pietrzak, Augustyn Jęczalik. Środkowy rząd: Regina Frontczak, Elżbieta Jancelewicz, Magdalena Jęczmyk, Elżbieta Bareja, Barbara Lis, Teresa Morawska, Bożena Budzicka. Dolny rząd: Jerzy Mikuszewski, Tadeusz Wątkowski, Tadeusz Depciuch, Marian Saldan, Józef Lis.

W tym czasie dr A. Jeliński poinformował mnie, że zostałam wytypowana na staż naukowo - techniczny do Francji. Warunkiem wyjazdu było zdanie w Ambasadzie Francuskiej egzaminu z języka francuskiego. Czasu było mało, bo termin wyjazdu był określony na 1 stycznia 1971 r. Przeżywałam wielki stres, bo język francuski znałam tylko z nauki w szkole i na studiach. Przed wizytą w ambasadzie uczyłam się więc języka francuskiego prywatnie. Egzamin zdałam pozytywnie i zostałam zakwalifikowana na staż do Francji.

Staż organizowała francuska organizacja współpracy technicznej z zagranicą A.S.T.E.F. (*Association pour l'organisation de stages en France*) i Komisariat Energii Atomowej C.E.A. (*Commissariat à l'Énergie Atomique*) – Direction des Productions du Centre d'Étude Nucleaire w Fontenay-aux-Roses koło Paryża. Celem mego wyjazdu była praktyka według programu opracowanego przez francuski Komisariat Energii Atomowej dla geologów z zagranicy pracujących przy poszukiwaniach i badaniach uranu.

Na okres wyjazdu miałam przygotowaną instrukcję z Instytutu Geologicznego, zawierającą wytyczne w sprawie zapoznania się z metodami poszukiwań złóż uranu w skałach osadowych, z petrografią, mineralizacją i geochemią złóż U, V, Mo i pierwiastków rzadkich w łupkach ilasto – bitumicznych oraz z zagadnieniami surowcowymi i technologicznymi.

Centralny Urząd Geologii załatwił dla mnie paszport, ale z wizą były kłopoty. Termin wyjazdu się zbliżał, a wizy ciągle nie było. Był to grudzień 1970-go roku i w Polsce na Wybrzeżu trwały burzliwe wydarzenia, które zakłóciły stosunki międzynarodowe Polski. Termin mego wyjazdu, ustalony i uzgodniony na 5-go stycznia, minął! Minął też styczeń - a wizy wciąż nie było. Staż dla stypendystów we Francji rozpoczął się, a ja wciąż czekałam.

Wizę dostałam dopiero w lutym i 4-tego lutego 1971 r. miałam być w Paryżu. W tym właśnie dniu nad Polską i nad Francją rozszalała się śnieżycą. Samolot z Warszawy wystartował, ale zamiast do Paryża został skierowany do Zurychu. Całe szczęście, że nie byłam wtedy sama, bo razem ze mną na staż do Francji leciała Anna Raczyńska z Zakładu Geologii Niżu. Razem we dwie zwiedzałyśmy miasto z oświetlonymi sklepami, mostami i bulwarami. Nocleg i kolację miałyśmy zapewnioną w Zurychu na koszt „Lotu”. Na kolację zamówiłyśmy francuskie dania - oczywiście po francusku. W tym czasie, organizatorzy naszego stażu we Francji, czekali na nas bezskutecznie na lotnisku w Paryżu. Wtedy nie było jeszcze w użyciu telefonów komórkowych.

Następnego dnia dotarliśmy szczęśliwie do Paryża, ale tu już nikt na nas nie czekał. Zgodnie z rygorystycznymi przepisami socjalistycznymi miałyśmy przy sobie tylko po 10 dolarów i nie wiedziałyśmy, czy ta kwota wystarczy nam na opłacenie „taxi” za dojazd na adres wskazany przez organizatorów, do polskiej szkoły na Rue Lamandé, która stała się naszą siedzibą w Paryżu.

Po załatwieniu formalności w dyrekcji w Fontenay-aux-Roses, wyjechałam do Limoges (Masyw Centralny), a Hania do Pau, u stóp Pirenejów, gdzie rozpoczynała swój staż. Program mego stażu składał się z Kursu In-

formacji Ogólnej dla inżynierów zagranicznych oraz ze stażu indywidualnego. Program Kursu Informacji Ogólnej był zorganizowany przez C.E.A. w ośrodku szkoleniowym w Razés pod Limoges. Obejmował on geochemiczne i geofizyczne poszukiwania uranu, uranowe złoża Francji, prace związane z rozpoznaniem złóż, prace laboratoryjne, obliczanie zasobów oraz produkcję uranu we Francji i na świecie. Kurs odbył się w terminie 18.01 - 7.05.1971 r.



*Elżbieta Bareja na terenie kopalni uranowej w Masywie Centralnym, 1971 r.
Z prawej obok - stażystka z Brazylii i stażystki z Afryki.*

W związku z moim opóźnionym przyjazdem do Francji nie uczestniczyłam w części wykładów. W czasie kursu odbywały się również zajęcia praktyczne przy poszukiwaniach uranu w terenie oraz zwiedzanie kopalń uranu, zakładów przeróbki i metalurgii uranu, ośrodków badań jądrowych oraz elektrowni atomowej. Grupa stypendystów miała do swej dyspozycji specjalny autokar przeznaczony do tych podróży. W roku 1971 było 19-tu uczestników - stypendystów z Europy, Azji, Afryki i Ameryki Południowej.

Program stażu indywidualnego dostosowany był do zainteresowań poszczególnych stypendystów. Program mego stażu wynikał z tematyki Zakładu Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych IG. W tym czasie Pracownia, której byłam kierownikiem, zajmowała się przede wszystkim rozpoznawaniem mineralizacji uranowej łupków dictyonemowych obniżenia podlaskiego. W związku z tym przebywałam w Lodève, gdzie zapoznałam się z permskimi złożami osadowymi uranu w łupkach ilasto-bitumicznych basenu Lodève.

Podczas pobytu we Francji poznałam także pracę laboratorium. Poza tym miałam możliwość poznania wybitnego mineraloga złóż uranu, prof. Jacques'a Geffroy'a oraz jego kolekcję minerałów uranu. Opiekunem stażystów był Pan Léon Duval, który służył nam radą i pomocą, a jego mieszkanie w Paryżu było miejscem spotkań i konsultacji. Edukację teoretyczną i praktyki terenowe we Francji zakończyłam w lipcu 1971 roku.

Na staże naukowe do Francji w następnych latach z Zakładu wyjechali również: Magdalena Jęczmyk, Teresa Morawska, Jerzy Mikuszewski, Barbara Lis, Elżbieta Jancelewicz, Jerzy Miecznik i Stanisław Wołkowicz.

W latach 1971-1978 w Pracowni prowadzone były dwa tematy: „*Badania równoległe*” i „*Rozpoznanie i dokumentowanie mineralizacji uranowej w łupkach dictyonemowych obniżenia podlaskiego*”. W ramach badań równoległych systematycznie zestawiano anomalie promieniowania γ z otworów wiertniczych, wykonanych na terenie Polski oraz badano anomalie uranowe w kopalniach węgla kamiennego, łupków miedzionośnych Zagłębia Lubńskiego oraz innych surowców mineralnych. Odcinki rdzeni wiertniczych oraz próbki z kopalń, w których zarejestrowano podwyższoną radioaktywność, były kierowane do badań chemicznych i mineralogicznych. We wszystkich tematach i opracowaniach realizowanych w Pracowni uczestniczył dr inż. Marian Sałdan. Jednocześnie Pracownia zmieniła nazwę na Pracownię Złóż Pierwiastków Promieniotwórczych.

W 1975 roku dr inż. Marian Sałdan został powołany na Dyrektora d/s. geologii złóż i prognoz surowcowych Instytutu. Kierownikiem Zakładu został dr inż. Jerzy Kanasiewicz, a sekretariat prowadziła p. Krystyna Kosińska. W mojej pracowni było zatrudnionych 6 osób: 3 pracowników naukowych i 3 pracowników technicznych. Oprócz mnie pracownikami naukowymi do roku 1975 byli: mgr Wojciech Morawski i mgr Jerzy Mikuszewski. W roku 1973 zatrudniony został mgr Ryszard Strzelecki, a w 1974 r. mgr Jerzy Miecznik. Pracownikami technicznymi byli technicy: Marek Dolecki, Elżbieta Jancelewicz i Jacek Strąk. Po odejściu z IG Marka Doleckiego

go został przyjęty do pracy technik Wojciech Markowski. W tym właśnie składzie zespół pracował ze mną do końca mojej pracy w Instytucie Geologicznym.

Na podstawie projektów badań, opracowanych przez dr inż. Mariana Sałdanę, w latach 1970-1976 zostało wykonanych w okolicach Bielska Podlaskiego około 60 otworów wiertniczych, o głębokości 600 - 800 m. Trwały intensywne prace wiertnicze, a więc potrzebny był ciągły nadzór i dozór wierceń, dokumentowanie i opróbowanie rdzeni wiertniczych, badania laboratoryjne, zestawianie otrzymywanych wyników i bieżąca kompleksowa analiza całości rezultatów poszukiwań.

Łupki dictyonemowe obniżenia podlaskiego stanowią typową formację czarnych łupków staropaleozoicznych z mineralizacją U, V, Mo. oraz Pb, Zn, Ni i Co. W związku z tym badania łupków obejmowały, oprócz oznaczeń chemicznych uranu, również oznaczenia wielu innych, wymienionych powyżej pierwiastków. Oznaczenia chemiczne wykonywane były w pracowni chemicznej Zakładu Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych oraz w Centralnym Laboratorium Instytutu. Wykonywano również bardzo różnorodnie badania mineralogiczne w celu określenia form występowania uranu oraz innych pierwiastków. Kompleksowe badania mineralogiczne łupków dictyonemowych były konieczne dla prawidłowego przeprowadzenia badań nad metodą przeróbki i wzbogacania uranu oraz wykorzystania innych pierwiastków.

Zagadnieniem przeróbki zajmował się zespół pod kierunkiem doc. dr inż. Karola Pinkasa z Instytutu Badań Jądrowych na Żeraniu w Warszawie. Termin opracowania dokumentacji geologicznej mineralizacji uranowej w łupkach dictyonemowych obniżenia podlaskiego z rejonu Bielska Podlaskiego wyznaczony był na 31.12.1976 roku. Z zasobami uranu z tego rejonu władze państwowe wiązały nadzieje na uzyskanie surowca niezbędnego w przyszłości, dla uzupełnienia tzw. „wsadu” dla planowanej i projektowanej w tym czasie elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Do udokumentowania została wydzielona centralna strefa złożowa: Rzepniewo-Hacki-Husaki, określona jako „Rajsk”, od nazwy otworu wiertniczego Rajsk IG-1. W otworach wiertniczych prowadzone były również badania hydrogeologiczne. Wyniki badań przedstawione zostały w dokumentacji złoża. Prace hydrogeologiczne wykonał mgr Zenon Duchnowski wraz z technikiem Henrykiem Białym z Zakładu Hydrogeologicznego IG.



Uroczyste wręczenie nagrody Państwowej Rady ds. Wykorzystania Energii Atomowej. 6.02.1978 r.

Autorzy dokumentacji geologicznej: w środku, piąty od prawej - mgr Ryszard Strzelecki, kolejno - mgr Zenon Duchnowski, mgr Elżbieta Bareja, mgr Barbara Lis, V-ice Prezes CUG, dr Jan Żytka, doc. dr inż. Marian Sałdan.

Dokumentacja została opracowana w terminie i w pełni zostały udokumentowane i obliczone zasoby uranu w łupkach dictyonemowych w strefie złożowej „Rajsk”. W Instytucie Badań Jądrowych została opracowana technologia przerobu i obliczony uzysk uranu z łupków dictyonemowych. Opracowanie dokumentacji „Rajsk”, jak również opracowanie technologii przerobu łupków złożowych, zostały nagrodzone przez Państwową Radę ds. Wykorzystania Energii Atomowej. Nagroda II-go stopnia została przyznana uchwałą z dn. 12.12.1977 r. za „Geologiczne rozpoznanie i udokumentowanie złoża Rajsk w łupkach dictyonemowych”. Otrzymał ją zespół pracowników Instytutu Geologicznego: doc. dr inż. Marian Sałdan, mgr Elżbieta Bareja, mgr Barbara Lis, mgr Ryszard Strzelecki i mgr Zenon Duchnowski. Uroczyste wręczenie nagród odbyło się w dn. 6.02.1978 r. w Ministerstwie Energetyki i Energii Atomowej.



Laureatki Instytutu Geologicznego i Instytutu Badań Jądrowych z dyplomami Państwowej Rady ds. Wykorzystania Energii Atomowej. Z lewej strony stoi mgr Barbara Lis, w środku mgr Elżbieta Bareja z IG. Pozostałe laureatki są z Instytutu Badań Jądrowych.

Prace dokumentacyjno-rozpoznawcze łupków dictyonemowych na obszarze obniżenia podlaskiego na N od linii Brańsk - Bielsk Podlaski zakończono w 1978 roku opracowaniem „Wyniki poszukiwań geologicznych złóż pierwiastków rzadkich na obszarze północno-wschodniej części obniżenia podlaskiego”. Opracowanie to zajęło II-gie miejsce w VI-tym Konkursie na Najlepsze Opracowanie Geologiczne w resorcie CUG, zorganizowanym przez Zarząd Oddziału SITG w Warszawie. Autorami opracowania byli: doc. dr inż. Marian Sałdan, mgr Elżbieta Bareja, mgr Ryszard Strzelecki, mgr Barbara Lis, mgr Jerzy Miecznik, mgr Zenon Duchnowski oraz technicy: Elżbieta Jancelewicz, Wojciech Markowski, Jacek Strąk i Henryk Biały. W opracowaniu zawarto ocenę zasobów uranu.

Ówczesne opracowania z IBJ wykazały, że zasoby uranu z tych łupków nie mogą być wykorzystywane ze względu na trudną i nieekonomiczną technologię uzyskiwania z nich uranu. Pozostał poza tym nierozwiązany

sposób zagospodarowania dużej ilości odpadów, co zdecydowało o nieprzydatności tych rud. Ługowanie podziemne uranu z tego typu utworów geologicznych, nie było również możliwym. W związku z tym zasoby uranu w łupkach dictyonemowych są zaliczane do zasobów pozabilansowych.

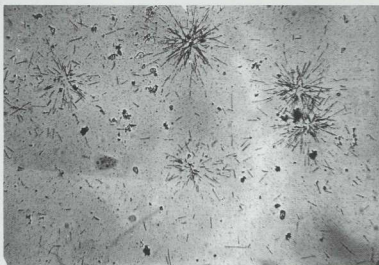
Podczas badań mineralizacji uranowej w łupkach dictyonemowych obniżenia podlaskiego zgłosiłam w grudniu 1972 roku do Rady Naukowej IG wnioski o otwarcie przewodu doktorskiego. Zaproponowałam pracę na temat petrografii łupków dictyonemowych i ich mineralizacji na obszarze obniżenia podlaskiego. Temat ten wchodził w zakres prac naukowych i zainteresowań Zakładu Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych. Rada Naukowa IG zatwierdziła tytuł rozprawy doktorskiej i na promotora pracy został wyznaczony prof. dr Jan Czermiński. Z promotorem ustaliłam tezy rozprawy doktorskiej oraz konsultowałam na bieżąco przebieg i wyniki pracy. We wrześniu 1974 roku przedstawiłam wstępne opracowanie wyników badań oraz nakreśliłam kierunki dalszych badań mineralogiczno-petrograficznych.

W 1974 roku ukończyłam także studium podyplomowe mineralogii i petrografii surowców mineralnych na Wydziale Geologiczno-Poszukiwawczym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Z powodu nagłej śmierci prof. dr Jana Czermińskiego, ówczesnego Dyrektora Naczelnego Instytutu Geologicznego, w dniu 2.03.1976 r., nastąpiła zmiana promotora mojej pracy doktorskiej. Decyzją Rady Naukowej IG na promotora pracy został wyznaczony doc. dr inż. Marian Saldan. W dniu 17.12.1979 roku obroniłam pracę przed Radą Naukową IG. Recenzentami byli: prof. dr hab. Hubert Gruszczyk z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i doc. dr Henryk Pendias z Zakładu Geochemii IG. Przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej był prof. dr hab. Waclaw Ryka. Z uwagi na obowiązujące wówczas przepisy dotyczące tajemnicy państwowej, obrona pracy doktorskiej miała charakter poufny i odbyła się tylko w obecności Rady Naukowej IG w pełnym jej składzie. Przewodniczącym Rady Naukowej był wówczas prof. dr hab. Witold C. Kowalski.

W pracy przedstawiłam charakterystykę petrograficzno - mineralogiczną łupków dictyonemowych, ze szczególnym uwzględnieniem mineralizacji uranowej. Rozkład uranu w łupkach dictyonemowych, badany na mikroradiografiach oraz w mikrosondzie elektronowej, jest regularnie rozproszony, co wskazuje, że był on zaadsorbowany z wody morskiej przez rozkładającą się substancję organiczną i minerały ilaste i nie tworzył mine-

rałów własnych. W części próbek stwierdzono pojedyncze centra o zawartości 0,1 – 0,25 % U, w których uran koreluje się z C org.

W pracy omówiono również występowanie w łupkach wanadu i molibdeny oraz innych metali. Pracę doktorską obroniłam pracując w Zakładzie Geologii Złóż Rud Metali, bowiem od 1.01.1977 roku Zakład Złóż Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych przestał istnieć. Uległa również zmianie nazwa pracowni z Pracowni Złóż Pierwiastków Promieniotwórczych na Pracownię Geologii Złóż Rud Uranu.



Pojedyncze centra torów α na tle rozproszonych torów α w masie łupka ditynonemowego. Mikroradiografia płytki cienkiej wykonana na szkiełku stykowym, pokrytym emulsją jądrową. Czas ekspozycji 30 dni. Pow. x 200. Otwór Ryboły IG-1. Głębokość 531,30 - 532,50 m. /Wykonała E. Bareja/

Nowy Zakład Geologii Złóż Rud Metali powstał z połączenia kilku Zakładów zajmujących się poszukiwaniem złóż miedzi, cynku i ołowiu, żelaza, polimetali, pierwiastków rzadkich i promieniotwórczych, glinu oraz złota. Kierownikiem nowego Zakładu został dr Andrzej Rydzewski. W tym czasie stan osobowy pracowni powiększył się o dwóch pracowników: technika Longina Kaletę oraz mgr Stanisława Wołkowicza.

W latach 1977-1990 najważniejszym tematem Pracowni były badania geologiczno-poszukiwawcze złóż rud uranu w utworach triasu Syneklizy

Perybałtyckiej (E. Bareja, M. Saldan, R. Strzelecki i S. Przeniosło). Prowadzono również poszukiwania mineralizacji uranowej w Sudetach w utworach permo-karbonu depresji śródsudeckiej (J. Miecznik) oraz w dolnopermskich łupkach walchiowych Depresji Śródsudeckiej (S. Wołkowicz), wreszcie badania mineralizacji uranu i ziem rzadkich w elekim masywie syenitowym (E. Bareja, S. Kubicki). Wszyscy pracownicy naukowci Pracowni Geologii Złóż Rud Uranu: mgr Ryszard Strzelecki, mgr Jerzy Miecznik oraz mgr Stanisław Wołkowicz, napisali prace doktorskie i obronili je w przepisowych terminach.

Na stanowisku Kierownika Pracowni Geologii Złóż Rud Uranu pracowałam do stycznia 1991 roku, to jest do zakończenia mojej pracy w Instytucie i przejścia na emeryturę. Kierownikiem Zakładu był w tym okresie dr Maciej Podemski.

Na zakończenie chcę podkreślić duże zaangażowanie pracowników Zakładu Pierwiastków Rzadkich i Promieniotwórczych w wyjazdach do pracy za granicą. Pracownicy, dobrze przygotowani zawodowo, ambitni i znający języki obce, uczestniczyli w licznych zagranicznych ekspedycjach geologicznych. Wiele prac geologicznych za granicą prowadzonych było w ramach kontraktów indywidualnych, np. w projektach ONZ lub realizowanych za pośrednictwem "PolSERVICE", „Kopex” i innych. Już w 1966 r. wyjechali z Instytutu za granicę dr Jerzy Borucki i dr Włodzimierz Zajączkowski.

Dr Jerzy Borucki był jednym z uczestników projektów ONZ realizowanych w Nigrze, na Madagaskarze, w Górnej Wolcie, a w latach 1981-1986 - w Mauretanii i Algierii. Dr Włodzimierz Zajączkowski pełnił przez okres siedmiu lat funkcję dyrektora Service des Mines w Nigrze, był organizatorem służby geologicznej tego kraju, później pracował również w Algierii i w Maroku.

Dr Tadeusz Depciuch od 1974 roku pełnił funkcję kierownika laboratorium geochemicznego w Cotonou w Beninie, a z ramienia ONZ uczestniczył w poszukiwaniach złóż fosforytów w basenie Wolty oraz złóż rud kruszców w paśmie Atacora. Dr Stanisław Przeniosło w 1973 roku pracował w Gabonie, a w latach 1974-1979, jako ekspert ONZ brał udział w poszukiwaniach złóż rud kruszców na Haiti. W latach 1967-1977 w służbie geologicznej Nigru pracowali dr Józef Lis i dr Hubert Sylwestrzak. Dr Józef Lis pracował też w Burundi w latach 1981-1984 jako ekspert ONZ w dziedzinie geochemii, a dr Hubert Sylwestrzak w Maroku (1979-1982) i w Algierii w 1983 r.

Dr Jerzy Kanasiewicz w latach 1979-1981 pracował w Indiach jako ekspert ONZ przy poszukiwaniach złóż rud kruszców, a później w 1982 roku w Libii i w 1990 r. w Wietnamie. Dr Janusz Uberna pracował w Libii w 1971 r., w Algierii w 1977 roku oraz dwukrotnie w Mongolii: w latach 1978-1979 oraz 1984-1990. Mgr Ryszard Podstolski uczestniczył w kilku ekspedycjach geologicznych w Mongolii, pełniąc funkcję kierownika kontraktu i zastępcy głównego geologa Międzynarodowej Ekspedycji Geologicznej w różnych okresach, od 1978 do 1987 r. Mgr Tadeusz Wątkowski również pracował w ekspedycji geologicznej w Mongolii, w latach 1980-1981 oraz w Algierii w latach 1985-1987. Dr Wojciech Morawski pracował w Algierii w latach 1980-1981 i 1983-1984.

W późniejszych ekspedycjach geologicznych za granicą z Pracowni Geologii Złóż Rud Uranu uczestniczyli: dr Ryszard Strzelecki w Algierii w latach 1980-1981 i 1985-1990 oraz w Mauretanii, dr Jerzy Miecznik w Mongolii w latach 1983-1984 oraz w Algierii w latach 1985-1987, technik Jacek Strąk w Mongolii w latach 1980-1981 oraz 1984-1986 i technik Longin Kaleta w Mongolii w latach 1978-1980 i 1984-1986.

Mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że praca w Państwowym Instytucie Geologicznym dała mi pełną satysfakcję osobistą i zawodową. Wielokrotnie odczuwałam dużo zadowolenia z uczestnictwa przy poszukiwaniach i badaniach mineralizacji uranowej. Była to zawsze praca zespołowa, z wyjazdami w teren i przy zastosowaniu wielu metod badawczych. Obecnie, będąc już emerytowanym pracownikiem Państwowego Instytutu Geologicznego z przyjemnością go odwiedzam.

**ELŻBIETA BAREJA*

Urodzona w 1933 r. w Warszawicach, pow. Garwolin. Absolwentka Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Dr nauk przyrodniczych. Geolog, specjalistka w zakresie geologii złóż pierwiastków promieniotwórczych. Od roku 1953 do roku 1956 - zastępca asystenta w Katedrze Geologii Dynamicznej na Wydziale Geologii UW. W latach 1956-1963 pracowała w Zakładach Przemysłowych R-1 w Kowarach. Od 1968 r. do 1991 r. była zatrudniona w (Państwowym) Instytucie Geologicznym w Warszawie. Sprawowała tam funkcję Kierownika Pracowni Badań Radiometrycznych, a od 1977 r. - Kierownika Pracowni Geologii Złóż Rud Uranu. W 1991 r. przeszła na emeryturę.

AUTORZY WSPOMNIENÍ

Aleksander Jeliński

Adam Józef Dąbrowski

Eugeniusz Cieśla

Wiesław Jan Śliżewski

Sławomir Smoleński

Bolesław Kubica

Teresa Marcinkiewicz

Maciej Podemski

Marian Stępniewski

Irena Olkowicz-Paprocka

Elżbieta Bareja

ISBN 978-83-62989-75-1